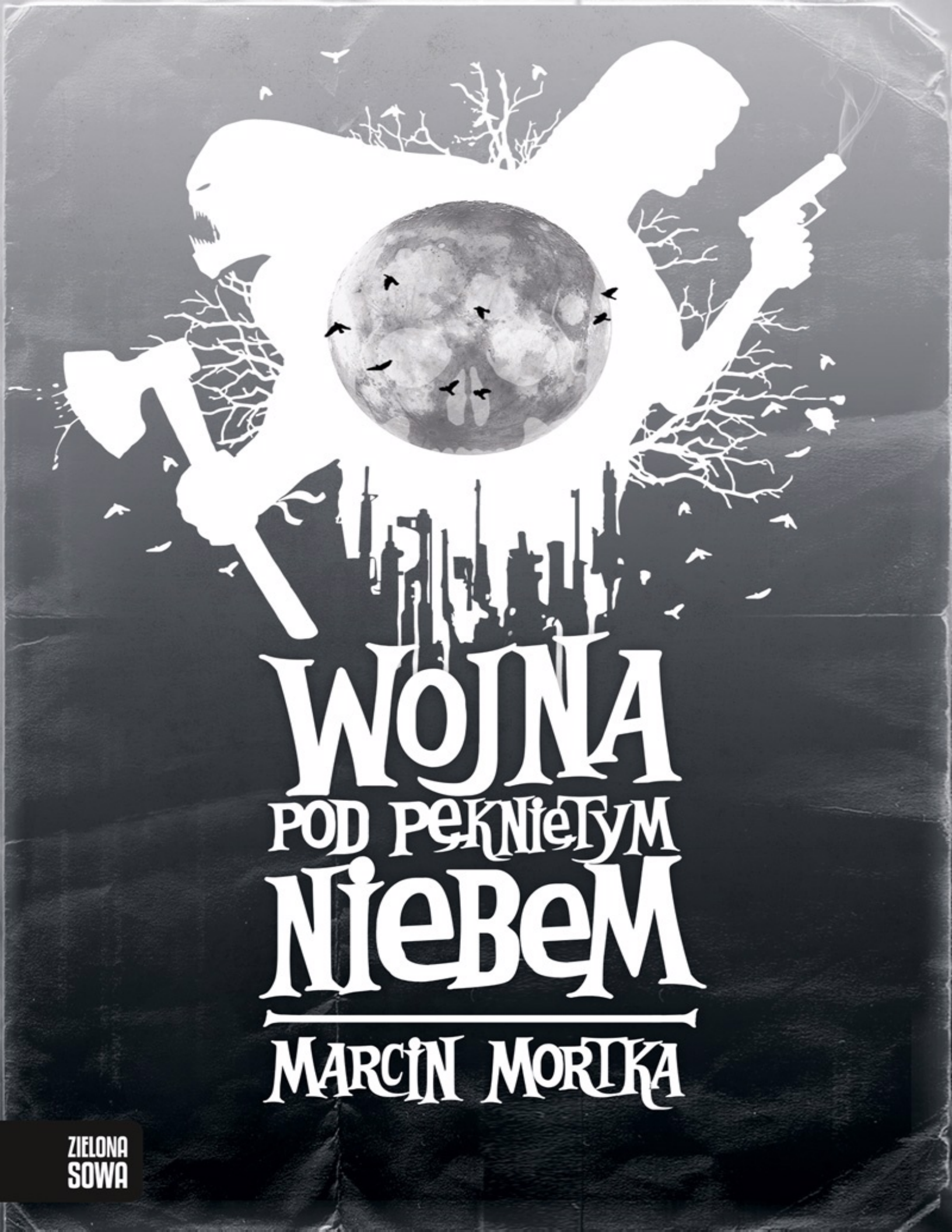

WOJNA POD PĘKNIĘTYM NIEBEM

MARCIN MORTKA

ZIELONA SOWA

WOJNA POD PĘKNIĘTYM NIEBEM

MARCIN MORTKA

ZIELONA SOWA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Epilog

Tekst: MARCIN MORTKA
Ilustracje: PAWEŁ ZARĘBA
Redaktor prowadzący: AGNIESZKA SOBICH
Korekta: TERESA ZIELIŃSKA, ANNA WŁODARKIEWICZ
Projekt graficzny i DTP: BERNARD PTASZYŃSKI
Projekt i skład okładki: PAWEŁ ZARĘBA

© Copyright for text by Marcin Mortka, 2015
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2015
All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-7983-314-6

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 96, 00-807 Warszawa
tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51
e-mail: wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Ukochanej żonie Marcie

Wendy aż podskoczyła, gdy nóż z cichym mlaśnięciem wbił się w ścięty pniak.

– Nie zrobię ani kroku dalej – oznajmił Marcus i spojrzał wyzywająco na wszystkich, głównie na Parkera.

Jego słowom odpowiedziała cisza. Joy z niemądrym uśmiechem wpatrywał się w nocne niebo, płynące powoli nad bezlistnymi konarami, Frank pokręcił leciutko głową i upił łyk herbaty z blaszanego kubka, a Parker wstał i dorzucił nieco gałęzi do ogniska. Dym buchnął żywiej, płomienie zaskwierczały.

– Jutro wracamy do Domu – oznajmił mocniejszym tonem Marcus. – Serio, ludzie. Nie widzicie bezsensu tego, co robimy? Włóczymy się po tym nieszczęsnym lesie od tygodnia! Nogi mi odpadają, a na domiar złego ten pajac – wymierzył oskarżycielsko palec w Joya – zgubił słoik z kawą!

– Tłumaczę ci od wczoraj, że niczego nie zgubiłem! – westchnął Joy i przewrócił oczami. – Włożyłem słoik do plecaka tak jak zawsze!

Chewie zacmokał i potrząsnął głową, a kosmyki włosów spadające mu na oczy zakołysały się zabawnie. Frank zamrugał oczami, jakby nagle zdecydował się poprzeć chłopaka, ale wtedy Parker demonstracyjnie wyciągnął mapę i rozłożył ją sobie na kolanie.

– Jutro przeczeszemy teren na wschód stąd – powiedział. – Potem zejdziemy do drogi numer dwanaście i spróbujemy przedostać się na drugi brzeg rzeki Southee. Mam nadzieję, że most w Stout dalej stoi.

Wendy z uwagą patrzyła na palec Indianina zakreślający kręgi nad mapą. Jej serce zabiło szybciej.

– A jeśli nie, to zrobimy jeszcze rundkę do Kolorado i wrócimy do Domu przez Nebraskę! – parsknął Marcus. – Ludzie, dajcie już spokój! Zima jeszcze nie nadeszła, a ja już odmroziłem sobie tyłek. Tu nikogo nie ma, zrozumcie to wreszcie! Ta cała Jane...

Parker wyprostował się i wbił w chłopaka ciężkie spojrzenie.

– No? – spytał cicho, lecz groźnie. – Co powiesz na temat Jane?

Wśród siedzących wokół ogniska niespodziewanie pojawiło się napięcie. Marcus odwrócił głowę, nabrał tchu, a potem śmiało spojrzał na Indianina i rzekł:

– Od dnia Końca Świata, Casey, minęło już prawie sześć miesięcy. Kupa czasu. Jane dzięki swemu talentowi zlokalizowała wielu ludzi i chwała jej za to, ale... Ostatniego wykryła przecież na początku października. Pamiętacie Reese'a?

Wszyscy doskonale pamiętali. Reese był kierowcą ogromnej cysterny i w chwili Końca Świata siedział za kierownicą, odliczając minuty, gdy znajdzie się w Marington i wróci do rodziny. Niestety, podczas trzęsienia ziemi samochód zarył w rozpadlinie, a kierowca cudem ocalał. Gdy go odnaleźli, był wycieńczony, odwodniony i na skraju poczytalności. Nawet uzdrowicielski talent Barry'ego na niewiele się zdał.

Pochowali nieszczęśnika na zboczu góry pięć dni po odnalezieniu.

Casey Parker nie spuszczał z Marcusa oczu.

– Co masz na myśli? – spytał oschle.

– To, że szansa na odnalezienie jakiegokolwiek nie-Odmienionego już dawno spadła do zera – wypalił chłopak i przełknął ślinę, jakby

wystraszony tym, co właśnie powiedział. – Ludzie, którzy przeżyli ten bałagan, już dawno się zorganizowali albo zginęli.

– Nadal nie wiem, do czego zmierzasz – warknął Casey.

– Do tego, że wizje Jane stają się coraz mniej precyzyjne! – Marcus nabrał śmiałości. – Mam wrażenie, że ona już dawno nie widzi kolejnych ocalonych, ale tak bardzo chce ich ujrzeć, że sama sobie pewne rzeczy wmawia. Gonimy za czymś nierealnym, tyle wam powiem.

– Chcesz powiedzieć, że Jane odbiło? – spytał oschle Parker.

– Nie... – Chłopak ponownie się stropił. – Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu te talenty... Nie wiemy do końca, jak one działają. Nie wiemy, czy się czasem nie psują. Nie wiemy nic. Jane to wspaniała babka i szczerze...

– Wiemy natomiast, że natury ludzkiej nie zmieni nawet Koniec Świata – burknął Indianin. – Zawsze będą wśród nas lenie. Jak ci zimno, Marcus, albo czujesz się zmęczony wędrówką, nie zgłaszaj się ponownie do grupy zwiadowczej.

Chłopak nabrał głęboko tchu, ale zamiast się odgryźć, spojrzał przelotnie na Wendy. Dziewczyna przygryzła wargę i wbiła wzrok w płomienie ogniska.

„Tak, rozumiem – pomyślała gorzko. – Zgłosiłeś się tylko dlatego, że i ja to zrobiłam, a teraz ci zimno. Biedaczysko. Casey ma rację. Przemyśl to sobie dobrze następnym razem”.

Frank zaczął coś opowiadać pojednawczym tonem, by rozładować atmosferę, ale Wendy nie słuchała. Wstała i nonszalancko dorzuciła nieco gałęzi sosnowych do ognia. Buchnął gęsty dym, który skierował się prosto na Marcusa.

– Hej, co ty wyprawiasz? – Chłopak zamachał rękami.

– Idę do koni – powiedziała Wendy do Caseya, który skinął głową, na powrót zatopiony we własnych myślach. – Edge jest chyba niespokojna.

Przywiązali konie do gałęzi zwalonego przez wiatr świerku, który leżał kilkanaście kroków od obozowiska. Edge, klacz Wendy, prychnęła na jej widok i trąciła ją łbem. Dziewczyna przesunęła dłoń po końskiej szyi. Któryś z koni, chyba Nightmare Marcusa, zarżał cicho, inny uderzył kopytem w ziemię. W świetle księżyca dziewczyna widziała kłęby pary wokół chrapów.

Konie w istocie wydawały się nieco zaniepokojone.

Wendy sięgnęła do rękojeści noszonego przy pasku pistoletu, ale zimny dotyk stali i plastyku wyprowadzał ją z równowagi, zamiast uspokajać. Wobec tego przytuliła się do końskiego karku, co od zawsze było dla niej złotym środkiem na wszystko.

– Och, Edge – szepnęła do długiego ucha klaczy. – Co ja tu w ogóle robię? Czy ja zwariowałam?

To samo pytanie zadali sobie mieszkańcy Domu pod Pękniętym Niebem zaledwie tydzień temu, gdy Jane oznajmiła, że wykryła obecność kolejnej osoby, a Casey Parker, niekwestionowany przywódca po zniknięciu Gordona Pratta, zadecydował o wyruszeniu na poszukiwania. Tradycyjnie poprosił o pomoc Joya, który dzięki umiejętności widzenia w ciemnościach oraz doświadczeniu grotołaza znakomicie nadawał się na zwiadowcę. Do udziału w wyprawie zgłosił się także Frank, który od czasu przybycia do Domu bardzo się z Indianinem zaprzyjaźnił. Wtedy rękę podniosła również Wendy.

Wciąż nie odpowiedziała sobie wprost na pytanie, dlaczego tak postąpiła. W każdym razie jak na tak spontaniczną decyzję potrafiła przedstawić zaskakująco spójne wyjaśnienie. Mieli skierować się w górskie rejony, co właściwie wykluczało wykorzystanie samochodów. Musieli zabrać konie, a mało kto w Domu znał się na nich tak dobrze jak Wendy.

„Jedyna rzecz, której nauczył mnie ojciec” – pomyślała dziewczyna i wciągnęła głęboko w płuca zapach sierści Edge. Na moment zdołała sobie wmówić, że trwa słoneczne popołudnie w Mercy, a ona

właśnie zajmuje się końmi w stadninie ojca, ale potem przypomniała sobie kłótnię przy ognisku i czar prysł.

„Nie przewidziałam tylko tego, że może się w to wtrynić Marcus" – pomyślała z gniewem.

Stosunki z bratem, beznadziejne przed Końcem Świata, poprawiły się bardzo po bitwie o Dom, ale wciąż nie należały do wzorowych, tym bardziej że Marcus po przeprowadzce z Cracktown rozwinął w sobie niezwykle irytującą nadopiekuńczość. Wendy, która uważała się za dorosłą dziewczynę, z trudem znosiła jego obecność, a gdy zgłosił udział w wyprawie, wybuchła gniewem.

Niestety, Casey Parker zawsze myślał praktycznie i nigdy nie zaprzątał sobie głowy sprawami osobistymi. Dla niego Marcus był dobrym kandydatem ze względu na swój Dar – potrafił sprawić, że każdy człowiek, nawet dybiący na jego życie napastnik, w ogóle go nie dostrzegał – oraz na niezwykłego towarzysza. Chłopaka bowiem nie odstępował ani o krok nadludzko silny, kudłaty Odmieniony, którego nazywali Chewie.

„Szlag by to trafił – myślała rozgoryczona dziewczyna. – Brat nerd będzie mi matkować...".

Jej plan, niewyraźny, mało sprecyzowany i bez wątpienia szalony, miał teraz mizerne szanse na powodzenie, choć z drugiej strony znaleźli się blisko...

Skrzypnęła nadepnięta gałąź.

Edge prychnęła, a Wendy błyskawicznie się odwróciła. Ponownie zacisnęła dłoń na rękojeści pistoletu.

– Spokojnie – usłyszała znajomy głos. Spomiędzy drzew powoli wyszedł Joy. – To tylko ja.

– Czemu za mną łazisz? – spytała szorstko.

– Nie łażę. – Zwiadowca wzruszył ramionami. – Wszyscy idą spać i Parker kazał mi sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Przekaż mu, że jest wręcz cukierkowo. – Dziewczyna odwróciła się od niego. – Zaraz wracam.

Joy milczał przez moment, a potem spytał cicho:

– Słuchaj, czy coś jest nie tak?

– W życiu nie słyszałam głupszego pytania – syknęła Wendy, odwracając się powoli. – Nastąpił cholerny Koniec Świata, nie ma prądu, Internetu, telewizji, nic nie ma. Nie ma moich starych, nie ma szkoły, shake'ów i kapel garażowych. Szlag trafił cywilizację, ludzie zamienili się w potwory, a mnie przyszło mieszkać z jakimiś kompletnymi szajbusami w *Domku na prerii*. Straszny z ciebie palant, Joy.

Grotołaz skrzywił się lekko.

– To jest coś na rzeczy czy nie?

Jego oczy błyszczały dziwnie i Wendy zadała sobie w duchu pytanie, czy oprócz legendarnej umiejętności widzenia w ciemnościach Joy nie posiadł również talentu przenikania wzrokiem dusz. Miała ogromną nadzieję, że tak nie jest. Nie chciała, by ktokolwiek poznał jej zamysł.

– Chodzi o Marcusa – powiedziała wreszcie. Nie było to do końca kłamstwo. – Otacza mnie ze wszystkich stron. Narzuca mi się ze swoją troską. Jestem już dorosła i...

– Nie jesteś – przerwał jej Joy. – I doceń to, że masz brata, i to jeszcze troskliwego. Mnie, jak zapewne wiesz, nie pozostał nikt.

Wendy chciała coś odpowiedzieć, ale Joy pokręcił głową.

– Wracaj do namiotu – rzekł głucho, bez wesołości. – Mam objąć pierwszą wartę.

Spojrzał w innym kierunku i zmarszczył brwi, jakby wydawało mu się, że coś widzi, ale po chwili ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Dziewczyna zrozumiała, że Joy przestał się nią tym samym interesować. Minęła go bez słowa, obeszła płonący z trzaskiem stos szczap, przy którym siedział już tylko Chewie, rozsunęła zamek

błyskawiczny swego namiotu i zaszyła się w środku. Było jej nieco wstyd z powodu słów, które padły z ust Joya, ale z drugiej strony nie powiedziała mu całej prawdy. Nie mogła. Wiedziała, że nikt nie potraktuje jej poważnie. Nie po tym, co usłyszała na ostatnim wielkim zebraniu mieszkańców Domu.

Przez moment siedziała nieruchomo i czekała, aż serce przestanie bić jej jak szalone. Po dłuższej chwili sięgnęła pod materac i wyciągnęła stamtąd gruby, sfatygowany zeszyt. Otworzyła go na pierwszej stronie, a potem wyłuskała z kieszeni malutką latarkę. Niepotrzebnie. Znała jego treść na pamięć:

„Mam na imię Heather i chyba tylko to ma w tej chwili jakiekolwiek znaczenie. No, może dodam, że pochodzę z Cracktown, bo to też ważne. Heather z Cracktown, jak w jakiejś taniej powieści fantasy. Cała reszta – gdzie chodzę do szkoły, jakiej słucham muzyki, czym zajmują się moi rodzice i ilu miałam znajomych na Facebooku – nie ma właściwie żadnego znaczenia".

XXX

Poranek okazał się mglisty, wilgotny i nieprzyjemny. Podobne były nastroje grupy zwiadowczej, tym bardziej że nikt nie miał ani łyżeczki kawy. W minorowych nastrojach zjedli kilka sucharów i suszonych owoców, popili wodą i zabrali się do zwijania obozu, nie szczędząc przy tym kpin w kierunku Joya, aż Parker kazał wszystkim się zamknąć. Wkrótce każdy wsiadł na konia – Wendy ze swobodą, Marcus z niechęcią, Parker i Joy z obojętnością, a Frank z serią wymruczanych pod nosem skarg – i wyruszyli powoli w drogę. Za nimi szedł Chewie, który za nic w świecie nie rozumiał idei jazdy konnej i czuł się szczęśliwy na własnych nogach.

Przez resztę dnia nie wydarzyło się nic, co mogłoby komukolwiek poprawić humor. Jechali wolno drogą numer 12, usiłując przeniknąć wzrokiem mgłę, która uparcie wisiała między drzewami i całkowicie uniemożliwiała widoczność. Jej sinobiałe opary wypaczały wszelkie dźwięki i zniekształcały obrazy. Powgniatana maska ogromnej

ciężarówki z naczepą, na którą natknęli się na poboczu drogi, przypominała pysk szczerzącego kły potwora, a powybijane okna wyglądały jak ciemne ślepia. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak pojazd z łoskotem zjeżdżał na pobocze, taranował drzewka i wreszcie zarył w darni, aż zgasł jego silnik.

Nie było ani śladu kierowcy, ale Wendy miała jak najgorsze przeczucia. Z trudem opanowała dreszcze i poklepała Edge po szyi, choć klacz, szczęśliwie pozbawiona wyobraźni, zupełnie nie zareagowała.

Joy, jak zwykle zuchwały, wspiął się do szoferki, żeby ją przeszukać.

– Jakiejś kawy tam nie ma? – burknął Marcus. – Porządny tirowiec nie rusza w trasę bez termosu. Może będzie jeszcze ciepła.

– Porządny tirowiec zatrzymuje się w knajpie, gdy ma ochotę na kawę – oznajmił Casey i wyprostował się w siodle. – Umiałbyś nalać sobie kawy za kierownicą osiemnastokołowca?

– Pewnie nie. – Marcus odwrócił wzrok. – Ale ja mało co umiem. Nawet zimna i trudów nie znoszę tak jak należy.

Indianin pokręcił głową, a Wendy przewróciła oczami. Chciała kopnąć Edge piętami i podjechać do brata, by powiedzieć mu szeptem parę słów do słuchu, gdy Joy otworzył drzwi szoferki z drugiej strony i wyskoczył na błotnik ciężarówki.

– Ten samochód rozbił się tu po Końcu Świata – oznajmił i wysypał coś na spękany asfalt.

– Niedopałki? – zdziwił się Marcus. – Nie wiem, kiedy chodziłeś do szkoły, Joy, ale mnie uczono, że niedopałki ulegają degradacji po dziesięciu latach. Koniec Świata zaś nastąpił...

– Są stosunkowo świeże – przerwał mu Joy. – Nawet nie są wilgotne pomimo braku szyb w szoferce.

– Może Jane ujrzała w swej wizji kierowcę tej ciężarówki? – zasugerował Frank. Zazwyczaj nie przestawał gadać, ale tego dnia

od rana powiedział zaledwie kilka słów.

– Niewykluczone – zgodził się Casey. – Joy, co jeszcze widziałeś?

– Nie ma śladów krwi ani nic takiego – rzekł grotołaz. – Drzwi od strony kierowcy były niedomknięte. Ktokolwiek jechał tym samochodem – spojrzał wymownie na gruby pień świerku, na którym zatrzymał się zderzak – mógł przeżyć.

– A jak wytłumaczysz wybite okna? – parsknął Marcus. – Moim zdaniem ktoś wyleciał przez nie na zewnątrz.

Parker zgromił chłopaka wzrokiem, a potem zeskoczył z konia.

– Musimy przeszukać okolicę – rzekł i ściągnął czapkę z daszkiem, by przetrzeć czoło. – Ja spróbuję się zająć tą mgłą. Frank i Joy, zbadajcie lewą stronę drogi, a Wendy i Marcus prawą.

– Serio? – Dziewczyna wpatrywała się z niechęcią i lękiem w kłęby mgły.

– Serio. – Na twarzy indiańskiego przewodnika nie było ani śladu wesołości. – O ile dobrze pamiętam, upierałaś się, by wziąć udział w wyprawie. Pora więc, byś się wykazała.

Wendy westchnęła i z niechęcią ześlizgnęła się z grzbietu Edge. Przywiązała konia do zderzaka ciężarówki i nie czekając na nikogo, powoli zanurzyła się w las, rozglądając się ostrożnie na wszystkie strony. W jej ręku znalazł się pistolet. Mgła wydawała się cofać z każdym krokiem, jakby bała się broni, ale gdy dziewczyna odwróciła się, kontury wielkiej ciężarówki były już rozmyte. Ujrzała natomiast twarz Marcusa, który uśmiechnął się do niej nieśmiało.

– Zabawne, ale to chyba pierwszy moment od opuszczenia Domu, w którym jesteśmy sami – powiedział, siląc się na dowcipny ton.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Uważnie przyglądała się mchom, trawie, pobliskim krzewom, wilgotnej korze. Wszystkiemu, byle nie patrzeć na brata.

– Słuchaj, przepraszam za tę kłótnię przy ognisku – szepnął Marcus. – Widziałem, że cię to dotknęło. Może trochę przesadziłem,

ale naprawdę myślę, że powinniśmy już wracać. Nie ma sensu narażać się, a ty jesteś...

– Daj mi spokój – powiedziała ledwie słyszalnym głosem Wendy.

– Co?

– Daj mi spokój! – warknęła dziewczyna i odwróciła się ku niemu. – Jeśli nie podoba ci się ta wyprawa, nie pisz się na kolejną, a mnie zostaw w świętym spokoju. Wbrew temu, co wszyscy myślicie, potrafię o siebie zadbać i nie mam zamiaru skarżyć się na otarte stopy, jak wtedy, gdy wszyscy szliśmy do Fallville! Zajmij się sobą, Marcus.

Chłopak odwrócił gwałtownie głowę, jakby ktoś uderzył go w twarz.

– Sęk w tym, Wendy, że nie potrafię – rzekł zduszonym głosem. – Przed Końcem Świata nie przepadaliśmy za sobą. Jasne, ja byłem nerdem uzależnionym od *World of Warcraft*, a ty gothzołzą, próbującą ze wszystkich sił zwrócić na siebie uwagę. Nic dziwnego, że nie mogliśmy się dogadać. Ale teraz? Nasi rodzice znikli, a wraz z nimi szkoła, Internet, wszystko, w czym mogłem się wykazać. Barry i Casey kazali mi opuścić centrum kryzysowe w Cracktown, bo szkoda paliwa do generatorów, i tak oto wylądowałem w Domu. W osiedlu rozbitków na zboczu góry.

– I co w tym złego? – warknęła Wendy.

– W sumie nic, ale ja jakoś nie potrafię zaangażować się w wypas owiec czy budowę szklarni. Nie mam tam nic swojego poza... – zawahał się. – Poza tobą. Szkoda, że... Że nie rozmawiamy ani nic, ale w porządku, pogodzę się z tym. Zależy mi tylko na tym, by nic ci się nie stało.

Wendy przełknęła ślinę i zamrugała oczami, niebezpiecznie załzawionymi. Przyjrzała się bratu raz jeszcze. Urósł przez ostatnich kilka miesięcy, zmężniał, zhardział. Pucułowate niegdyś policzki pokrywał tu i ówdzie lekki zarost, rysy wyostrzyły się, wyszczuplały. Zgubił gdzieś okulary i bez przerwy mrużył oczy, ale błyszczały one

odwagą i zdecydowaniem. W przeciwdeszczowej panterce i szarozielonej czapce z daszkiem Marcus wyglądał jak młody mężczyzna, a nie jak potykający się o własne nogi komputerowiec.

Jak brat, o którym wiele sióstr mogłoby tylko pomarzyć.

„Nie! – ofuknęła się w myślach. – Nie ma mowy. Nie powiem mu ani słowa".

– Nic mi się nie stanie – wykrztusiła. – Spoko, Marcus. Dzięki.

Machnęła przy tym ręką, mając nadzieję, że gest okaże się nonszalancki i lekceważący.

– Potem pogadamy, jeśli ci tego trzeba – skłamała. – A na razie...

Urwała w pół zdania i zatrzymała się jak wryta.

Między wilgotnymi konarami drzew przemknął wiatr, bez wątpienia stworzony przez Parkera. Zaszeleściły nieliczne zeschłe liście, rozstąpiły się najbliższe tumany mgły, zatańczyły dalsze. Zaryta na poboczu ciężarówka niespodziewanie stała się wyraźna, a wtedy uwagę zwróconej w stronę drogi dziewczyny przykuł leżący na mchu słup, złamany zderzakiem rozpędzonego samochodu.

Na płycie przybitej do słupa wypisano wielkimi, zgrabnymi literami: „Znalazłeś się na terenie kontrolowanym przez Radę Ocalenia Ludzkości. Twoje problemy wreszcie dobiegły końca!".

Casey wpatrywał się w znalezisko przez dłuższą chwilę, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. W jego rękach natychmiast pojawił się myśliwski sztucer, a na twarzy, zazwyczaj obojętnej, wręcz pozbawionej emocji, malowała się teraz zaciętość. Gdyby Wendy nie uznała, że to zgoła niemożliwe, pomyślałaby, iż Indianin usiłuje zamaskować strach.

Członkowie grupy zwiadowczej otaczali teraz przewrócony znak szerokim kręgiem.

– A niech mnie! – stęknął Frank. – Cholerna Rada! Przeklęta banda polityków! Skorumpowane sępy, które próbują odbudować ten nieszczęsny...

– Czy to możliwe? – Ochrypły głos Parkera ciął niczym zardzewiały nóż. – Dotarli aż tak daleko na wschód?

– A skąd ja mam to wiedzieć? – Tramp wzruszył ramionami. – Trzeba założyć, że dotarli, no bo jak inaczej? Ten cały znak sam tu przywędrował?

Casey Parker wpatrywał się w niego przez moment twardym wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy zarzucić mu kłamstwo. Serce Wendy biło bardzo, bardzo szybko.

„Dotarliśmy na skraj wpływów Rady! – myślała gorączkowo. – Rany, jest lepiej, niż myślałam!”.

Naraz uświadomiła sobie, że policzki ją pieką z emocji. Podciągnęła szal aż powyżej nosa, próbując zamaskować rumieniec. W tej samej chwili Casey oderwał wzrok od zaniepokojonego trampa.

– Wracamy na drogę – warknął. – Do koni. Joy, przepatrz okolicę.

– Tak jest! – Grotołaz wyprężył się na baczność i zasalutował, ale nikogo to nie rozbawiło.

Stworzony przez Parkera wiatr przycichł i fantastyczne kłęby mgły na powrót rozlały się między czarnymi, wilgotnymi konarami. Grupa powróciła na drogę, gdzie czekał Chewie wraz z końmi, skubiącymi trawę rosnącą w pęknięciach asfaltu. Wysoko nad koronami drzew płynęło białe słońce i karoseria ciężarówki lśniła.

Marcus podszedł do Chewiego i ściągnął mu słuchawki z uszu – Odmienionemu obce były ludzkie lęki i każdą wolną chwilę spędzał na słuchaniu muzyki – a potem stanął przed szoferką tira i zaczął się jej bacznie przyglądać. Wendy ukucnęła przy Edge i pogrążyła się w rozmyślaniach tak intensywnych, że na chwilę straciła kontakt z rzeczywistością. Z zadumy wyrwał ją dopiero głos Joya:

– Teren czysty, wodzu!

– Mógłbyś się przymknąć? – ofuknął go Indianin. – Po co się drzesz?

– A dlaczego by nie? – Joy ujął się pod boki. – Od tygodni nie widzieliśmy żadnych Odmienionych. Znikli. Jak kamień w wodę, podobnie jak...

– I może właśnie dlatego nie powinieneś się wydzierać! – syknął Frank i spojrzał na zachmurzone niebo. – To, że nie spotykamy żadnych Odmienionych, na pewno ma związek z działalnością Rady! Nie pamiętasz, co wraz z Heather widzieliśmy w Marington?

Joy przechylił lekko głowę i zmierzwił włosy niczym zaspany uczeń wywołany przez nauczyciela do tablicy.

– Pamiętam, tylko wciąż nie wiem, dlaczego mam z tego powodu szeptać.

– Rada dysponuje technologią amerykańskiego rządu! – pieklił się Frank. – Mają drony, urządzenia nasłuchowe, łączność z satelitami i Bóg jeszcze wie co! Jestem pewien, że słyszą każde nasze słowo, a ty im to ułatwiasz!

– Panie kongresmenie! – Joy nachylił się nad pęknięciem w asfalcie. – Chciałem bardzo przeprosić za to, że załatwiłem się do dziupli, która ma bezpośrednie połączenie z Pentagonem i...

Frank chciał ruszyć w stronę chłopaka, ale zatrzymała go stalowa dłoń Parkera.

– Joy, przestań się wydurniać – syknął. – A ty nie ekscytuj się tak bardzo, Frank. Poza tym teraz to ty wrzeszczysz.

Tramp zakrył wielkimi dłońmi spękane usta oraz nieogolone policzki. Rozejrzał się dookoła. W jego oczach widać było lęk tak wielki, że nawet na kamiennej twarzy Parkera pojawił się cień uśmiechu.

– Uszy do góry, Frankie! – zawołał Joy. – Ta twoja Rada wcale nie jest taka straszna. Zresztą sam się możesz niebawem przekonać. Za zakrętem jest ich kwatera.

Z tymi słowami odwrócił się i złapał uzdę swego konia.

– Co takiego? – spytał Parker.

– Nie ma się czym przejmować! – krzyknął Joy przez ramię. – Jest pusta jak mój łeb po całonocnej balandze.

Casey westchnął z dezaprobatą.

– Ruszamy! – burknął.

Wendy z wdziękiem wskoczyła w siodło i obejrzała się na Marcusa, który stanął na zderzaku i przyglądał się lakierowi na masce ciężarówki.

– Ja i Chewie zaraz was dogonimy! – Machnął ręką, nie przerywając oględzin.

Miejsce, które Joy eufemistycznie nazwał kwaterą Rady Ocalenia Ludzkości, przed Końcem Świata zapewne było jednym z tysięcy amerykańskich zajazdów. Oczom grupki poszukiwaczy ukazał się szeroki betonowy parking z wyznaczonymi miejscami dla ciężarówek i samochodów osobowych. Za nim ciągnął się pasaż niskich budynków z przeszklonymi frontami, nad którymi wznosiły się dawno nieczynne neony. Wendy odruchowo odczytała: „Best Buritos", „Ted's Coffee", „18-wheeler" i kilka innych. Na uboczu znajdował się motel z boiskiem do koszykówki.

Wzdłuż barierki na piętrze motelu zamocowano litery układające się w słowa: „Rada Ocalenia Ludzkości".

– A nie mówiłem? – odezwał się zadowolony z siebie Joy. – Martwota jak na zjeździe rodzinnym dodo.

Frank, który nigdy długo nie rozpamiętywał urazy, wpatrywał się w budynki z niedowierzaniem i kręcił głową, jak gdyby nie mógł zdecydować, czy się cieszyć, czy smucić.

– Powinniśmy się temu przyjrzeć – powiedział z wahaniem Parker. – Być może Jane wychwyciła któregoś z tych ludzi.

Marcus, który dołączył do grupy z zamyśloną miną, spojrzał na Indianina z zagadkowym uśmiechem.

„Tylko nie to – pomyślała Wendy. – Tylko nie kolejna kłótnia!".

– Chodźmy! – szepnęła i popędziła Edge. – Może któraś z tych knajp ma generator i uda nam się zrobić coś do jedzenia?

Nikt nie miał nic przeciwko. Kopyta koni kląskały na mokrym asfalcie. Gdzieś wrzeszczał ptak. Kłęby mgły leniwie przetaczały się

po spękanej nawierzchni, przesłaniając niekiedy fronty knajpek. Cisza wierciła w uszach.

– Przeczeszmy cały kompleks razem – zaproponował Parker. – Do zmroku zostało jeszcze sporo czasu i nie ma co się spieszyć.

„Jasne – pomyślała Wendy. Tym razem nie miała już wątpliwości. – Boisz się, Casey. Trzęsiesz portkami, a mimo to masz w sobie tyle przyzwoitości, by do końca wypełnić zadanie".

Pierwszy lokal, ozdobiony ogromną kalkomanią brzuchatego, wąsatego kucharza na szklanych drzwiach, nie miał już nic wspólnego z jakąkolwiek kuchnią. Stoły i krzesła znikły, a w to miejsce ustawiono rzędy kartonów wypełnionych odzieżą i kocami. Drzwi do „Best Buritos" zostały zamknięte na klucz, ale w „Ted's Coffee" wędrowcy ujrzeli przerażającą scenę.

Każdy z nich przywykł już do widoku wnętrz, w których kurz, pleśń i niepamięć powoli zakrywały pozostałości strasznych chwil Końca Świata. Nikogo nie wzruszały przewrócone krzesła, roztrzaskane okna pokryte tu i ówdzie rdzawymi plamkami czy odkopnięte pod ścianę noże kuchenne bądź pistolety, z których nikt nie zdołał wystrzelić. Rzadko kiedy natomiast widywało się ślady walki, która miała miejsce właściwie przed chwilą.

Przełamana potężnym uderzeniem ścianka z płyty gipsowej, zakrywająca stół. Ciemnobrązowa plama na kafelkach, otoczona okruchami szkła. Długopis obok niedokończonej krzyżówki. Zerwana z szyny firanka, kołysząca się wraz z przeciągiem. Dziury w ścianach.

Casey podszedł i dotknął jednej z nich palcem.

– Strzelano tutaj – stwierdził oczywistą rzecz. – Ciekawe do kogo.

– Naprawdę cię to ciekawi? – wybuchnął Frank. Przysiadł na kontuarze i tak długo klepał się po kieszeniach wojskowej kurtki, aż znalazł paczkę pomiętych papierosów. Trzęsącymi się dłońmi potarł zapałkę o zaryskę. – Casey, do licha, czy ja mało klarownie wam to wytłumaczyłem? Wszystko, co robi ta nieszczęsna Rada, jest złe!

Powinniśmy się trzymać jak najdalej od tego miejsca i cieszyć się w duchu z tego, że ktoś spuścił im łomot.

– Nawet jeśli byli to reptilianie, jak nazwała ich Heather? – spytała Wendy i natychmiast tego pożałowała, gdyż przeszyły ją spojrzenia obu dorosłych – chłodne, wyważone Parkera oraz rozgorączkowane, przestraszone Franka. Wyprostowała się hardo i dodała: – Z jej pamiętnika wynika, że ów nowy gatunek ludostworów może być zagrożeniem dla całej ludzkości.

– To nie jest nasze zmartwienie – rzekł Casey. – Spędzimy tu noc, a rano wyruszymy z powrotem do Domu.

– Radziłem, żeby już wczoraj to zrobić – oznajmił złośliwie Marcus. Chłopak kucał przy wybitej w szybie, całkiem okrągłej dziurze i z zadumą badał jej brzegi oraz wszelkie ślady na szkle. – Oszczędziłbym Frankowi kilku nowych siwych włosów.

Tramp nie dosłyszał.

– Chcesz tu zostać? – jęknął.

– Nie – odparł Casey. – Nie tu. Kilkanaście metrów dalej, przy kwietniku, gdzie przywiązaliśmy konie, znajduje się motel. Prześpimy się w łóżkach, jak ludzie, a rano ruszymy w drogę do Domu.

– Kto z nas powie Jane, że jej talent już nie działa? – spytał Marcus. Pochylał się nad pożółkłym menu i coś rysował z zapałem na jego odwrocie, nie zaszczycając reszty spojrzeniem.

Odłamki szkła zachrzęściły pod podeszwami ciężkich butów Caseya, gdy ten odwracał się w stronę chłopaka.

– Jeśli próbujesz być dowcipny, Marcus, to wiedz, że ci to raczej nie wychodzi – wychrypiał.

– Nie próbuję. – Chłopak nie uniósł nawet głowy. – Żartowanie przy was rozmija się z sensem. Ty dowcipów nie rozumiesz, Frank w każdym z nich widzi kolejną teorię spiskową, Joy chichocze, choć przypuszczalnie z innych powodów, niż chciałbym, a Wendy sądzi, że kogoś uraziłem, i robi jej się przykro. Bywają chwile, kiedy wprost

uwielbiam jasne, nieskomplikowane reakcje Chewiego. Nie chcę jednak wszczynać awantury, wodzu. Jak sam wiesz, również chcę wracać do Domu, choć z innych powodów niż ty czy Frank.

Obrzucił przy tym przelotnym spojrzeniem Wendy, która z trudem poskromiła narastający gniew.

„Nie mieszaj się w żadne awantury – przykazała sobie surowo. – Pod żadnym pozorem!".

– Cieszę się, że wreszcie chcemy tego samego – powiedział ponuro Casey. Ze zgrzytem przyciągnął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko chłopaka. – Skorzystam więc z okazji i uświadomię ci coś, Marcus. Odkąd opuściliśmy Dom, przez cały czas powtarzasz „ja". „Ja sądzę", „mnie się wydaje", „odnoszę wrażenie", bla, bla, bla. Podważasz mój autorytet, siejesz ferment, krytykujesz i obrażasz. Mam już tego po dziurki w nosie, chłopcze. Skoro stałeś się jednym z nas, działaj w zespole, a nie przeciwko niemu! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Słucham – odpowiedział Marcus i podniósł się lekko znad kartki, by przyjrzeć się swemu dziełu.

– No to popatrz na mnie!

– Momencik. – Marcus dorysował jeszcze parę kresek, a potem śmiało spojrzał Indianinowi w oczy. – Pozwolisz, Casey, że sprostuję jedną rzecz. Ja działam w zespole.

– Tak? – Indianin uniósł brew.

– Tak. Bo w chwili, gdy wszyscy histeryzujecie lub kłócicie się o kompetencje, ja zacząłem poważnie zastanawiać się nad tym, co wypłoszyło wesołą gromadkę Rady Ocalenia Ludzkości z tego miejsca.

Marcus wstał i podszedł do okna z wybitą dziurą.

– Średnica tego otworu to jakieś siedemdziesiąt centymetrów – mówił bezosobowo, niczym znudzony nauczyciel na wykładzie. – Identyczne znajdowały się w przednich szybach ciężarówki na

poboczu. To klejona, mocna szyba, którą trudno rozbić, a więc dziury zostały wybite niezwykle silnym, precyzyjnym uderzeniem. Można by takową dziurę wybić łomem bądź ciężkim młotkiem, ale nigdzie tych narzędzi nie widzę. Dostrzegłem natomiast coś takiego.

Wyciągnął kieszonkową latarkę i omiótł snopem światła szybę wokół dziur. Wszyscy ujrzeli tłuste odciski dłoni o monstrualnie długich palcach. Wendy z trudem stłumiła okrzyk strachu.

– Widzimy długie palce, zapewne silne, szeroko rozstawione, idealnie nadające się do pełzania – ciągnął monotonnym głosem Marcus. – W tym przypadku pozwoliły nieznanej nam istocie przybrać pozycję odpowiednią do wybicia dziury. Jak widzicie – nonszalanckim machnięciem wskazał całą witrynę – nie ma tu śladów po kulach, co oznacza, że istoty błyskawicznie zbliżyły się do okien, wybiły w nich otwory pojedynczymi uderzeniami czaszek i wślizgnęły się do środka. Wiele szczegółów anatomicznych pozostaje oczywiście w sferze domysłów, ale należy założyć, że nasz napastnik wyglądał mniej więcej tak.

Z tymi słowami Marcus podniósł kartkę, na której rysował, i pokazał zebranym efekt swojej pracy. Tym razem Wendy nie powstrzymała się i krzyknęła.

Potem, gdy coś zachrobotało w otworze wentylacyjnym, wrzasnęła jeszcze raz.

Jej kolejne krzyki utonęły w strzelaninie.

Chłodny, naukowy wywód Marcusa nie był w stanie precyzyjnie przedstawić stworzenia uformowanego przez chaotyczne siły działające w dniu Końca Świata. Chłopak nie mógł bowiem wydedukować tego, że stworzenie będzie mieć rozlane, błękitne ślepia pozbawione źrenic i policzki pocięte szramami

przypominającymi skrzela. Umknęło mu to, że stawy bestii będą zbyt słabe, by unieść ciało nad ziemię, przez co spoczywało ono przez cały czas na podłożu. Miękkie, wręcz pozbawione kości przepełzało po każdej przeszkodzie terenowej, a długie, tylko z pozoru przypominające ludzkie odnóża poruszały się błyskawicznie.

Najgorsza jednakże była szyja – rozciągnięta i silna niczym splot stalowych prętów, drgająca wściekle jak przypalany wąż. Przerażeni wędrowcy ujrzeli, jak błękitne ślepia Odmienionego kryją się za chitynowymi powiekami, a głowa rozrzuca stoliki i krzesła. Śmigała z taką prędkością, że rozcinane powietrze świstało.

Frank, wrzeszcząc, wyciągnął pistolet, ale upuścił go i zanurkował za kontuar. Casey okazał więcej opanowania – poderwał sztucer do ramienia, wycelował błyskawicznie i nacisnął spust. Chybił, ale Odmieniony rzucił się w bok, z dala od ludzi, przewracając kolejne stoły. Marcus również wyszarpnął pistolet.

– Wendy, uciekaj! – krzyknął łamiącym się głosem.

Jego wystudiowany spokój znikł bezpowrotnie. Rozbłyski na końcu lufy opromieniały mu pobladłą twarz i szeroko otwarte oczy. Kule cięły powietrze, przebijały się przez szybę, miażdżyły meble, ale żadna nawet nie drasnęła Odmienionego.

– Uciekaj! Chewie, zabierz ją!

Znów huknął sztucer, z dziury w chitynowej powiece siknęła krew. Odmieniony zaczął się miotać niczym oszalały, czworonożny węgorz. Marcus wstał, potknął się o krzesło, przewrócił na plecy, przeładował pistolet. Casey z twarzą jakby wykutą z kamienia unosił karabin. Chewie wył i machał włochatymi łapami.

Odmieniony otrząsnął się i pomknął w stronę Caseya, ignorując próbującego powstać Marcusa. Wstrząśnięta Wendy uświadomiła sobie, że zadziałał Dar jej brata, który sprawiał, że ignorowali go ci, których się bał. Jak zaczarowana patrzyła na unoszący się powoli karabin... powoli, zbyt powoli.

Huknęły wystrzały. Odmieniony zatoczył się, a na jego stwardniałym czole pojawiła się plama ciemnoczerwonej krwi. Marcus uniósł własny pistolet. Gdzieś trzasnęły drzwi, okruchy szkła posypały się na wykładzinę podłogową.

– Co tu się, do jasnej... – Joy zatrzymał się jak wryty na progu i sięgnął po broń.

W oddali rżały przestraszone konie.

Ten odgłos sprawił, że Wendy ocknęła się z zaskoczenia. Rój spłoszonych myśli w jej głowie umknął, przepłoszony jedną, twardą i zdecydowaną.

Teraz.

Teraz albo nigdy.

Złapała starannie spakowaną torbę, z którą nie rozstawała się od wyjazdu z Domu, odepchnęła Joya i wybiegła na zewnątrz. Jak najdalej od strzelaniny, jak najbliżej wolności.

Jak najbliżej Heather.

Edge pędziła jak szalona.

Kolejne pęknięcia i szczeliny w asfalcie przemykały pod jej kopytami i Wendy, choć była doświadczonym jeźdźcem, zacisnęła powieki.

„Nie złam nogi, mała – błagała ją w myślach. – Bardzo cię proszę, tylko nie to!”.

Klacz najwyraźniej rozumiała ją bez słów. Z gracją przeskoczyła nad pniem zwalonego przez burzę drzewa, którego gałęzie oplatały teraz barierę na poboczu, a potem zwolniła. Do uszu Wendy dobiegły stłumione, odległe już krzyki jej towarzyszy oraz kolejne wystrzały.

„Mam nadzieję, że jakoś sobie poradziliście – pomyślała. – Ja i tak na nic bym się wam nie przydała. Nie, na pewno nie”.

Spojrzała za siebie i uzmysłowiła sobie, że parking z restauracjami zniknął już za zakrętem. Widziała teraz jedynie zamglone drzewa oraz spękaną, asfaltową drogę. Z niektórych szczelin wyglądały zmarniałe kępy trawy.

Emocje z wolna opadały i dziewczyna uświadomiła sobie również coś innego. Teraz, gdy oddaliła się od towarzyszy po raz pierwszy od opuszczenia Domu, wcale nie była przekonana, czy postąpiła

właściwie. Jej plan, który był spójny i logiczny jeszcze godzinę temu, teraz wydawał się jedynie mrzonką, głupim dziewczęcym kaprysem.

„Mogę wrócić – pomyślała. – Mogę przyjechać do nich jak gdyby nigdy nic i powiedzieć, że spanikowałam i nie wiedziałam, co robię. Mogę przeprosić i mieć nadzieję, że nie poczytają mnie za tchórza".

– Ale po co? – szepnęła. – By wrócić wraz ze wszystkimi do Domu i nadal przekonywać siebie nawzajem, że to najlepsze miejsce na świecie? Że nasza przyszłość to zbudowanie nowej obórki i zacerowanie skarpet? Że świat zewnętrzny jest zły, bo takim przedstawił go Frank, czubek nad czubkami?

Zdecydowanym ruchem ściągnęła wodze Edge i zeskoczyła na asfalt. Zaprowadziła konia do miejsca, gdzie kończyła się stalowa barierka i zaczynała gruntowa leśna droga. Z torby wyjęła zawczasu napisany list i wsunęła go do juków, a potem objęła klacz i uścisnęła ją mocno.

– Posłuchaj – szepnęła do końskiego ucha. – Potrzebuję twojej pomocy po raz ostatni, Edge. Pędź tą dróżką co sił w nogach, mała. Odciągnij Marcusa, Parkera i resztę, dobrze? Zdobądź dla mnie trochę czasu, bo... Bo ja muszę zrobić coś dla tego porąbanego świata.

Klacz prychnęła i trąciła ją łbem.

– Tak, wiem. – Wendy przetarła załzawione oczy. – Ja ciebie też kocham. A teraz idź. Uciekaj.

Koń przestąpił kilka kroków i odwrócił się, jak gdyby targany rozterkami. Wtedy Wendy zdecydowanie pacnęła ją otwartą dłonią w zadek. Klacz rzuciła się do biegu i po chwili zniknęła między drzewami. Wendy obejrzała się po raz ostatni i również zaczęła biec.

Przed Końcem Świata cierpiała na nadwagę i nie byłaby w stanie przebiec nawet dwustu metrów. Praca na świeżym powietrzu i nowa, zdrowsza dieta pomogły jej schudnąć, ale bieganie nadal nie było jej mocną stroną. Gdy wreszcie ujrzała kolejną boczną dróżkę, szczęśliwie odbijającą w przeciwnym kierunku niż ta, którą pobiegła Edge, miała wrażenie, że jej płuca zaraz staną w ogniu. Obejrzała się raz jeszcze, ale nadal nie widziała pościgu, a ewentualne krzyki zagłuszyło walenie jej serca.

– Dobra nasza! – sapnęła i zbiegła z głównej drogi.

Leśny trakt, którym zapewne od dawna nikt nie jeździł, był rozmokły i pełen kałuż. Wendy była zgrzana i zmęczona biegiem, ale jej umysł nadal pracował sprawnie. Pamiętała, że Casey Parker jest wyśmienitym tropicielem, i nie miała zamiaru ułatwiać mu pracy. Starała się stąpać po kamieniach lub korzeniach świerków, od czasu do czasu schodziła z traktu i ostrożnie stawiała stopy na mchu. Robiła wszystko, by nie pozostawić po sobie śladów.

„Nie dopadną mnie” – powtarzała w myślach niczym mantrę.

Las zaś przyglądał się jej w milczeniu. Korony wysokich świerków kołysały się obojętnie, ale ich szumu nie zakłócał nawet najcichszy śpiew ptaków. Raz usłyszała czyjeś wołanie, chyba Franka, a potem nastała cisza.

Zatrzymała się, otarła spoconą twarz i obejrzała się za siebie. Nie widziała nikogo.

„Nie dopadną mnie” – powtórzyła sobie, z irytacją zauważając, że robi to z o wiele mniejszym entuzjazmem niż wcześniej. Poprawiła torbę na ramieniu i przejrzała w myślach jej zawartość.

„Kocyk. Bielizna. Bandaże i trochę lekarstw. Latarka i baterie. Mała butla z gazem, dwie puszki fasoli, butelka wody. Kompas... Rany, czy ja wzięłam kompas?”.

Z narastającą paniką Wendy obmacała kieszenie torby, ale na kompas natrafiła dopiero w kurtce, gdzie tkwił obok map. Odetchnęła z teatralną emfazą.

– Mam mapę, mam kompas, wiem, jak ustalić położenie – szepnęła do siebie. – Patrzyłam zresztą na to, co pokazywał Casey. Do Marington mam niecałe dwadzieścia mil. Uda mi się. Nie dopadną mnie.

Serce mimo to biło jej jak szalone, nie wiadomo, czy wciąż ze zmęczenia, czy może rozbudzone nowymi emocjami. Las zdawał się cichnąć z każdym pokonanym metrem, kałuże były coraz szersze, a sina mgła, tworząca mur gdzieś między pniami drzew, zdawała się przybliżać. Wendy przyspieszyła kroku i spojrzała na zegarek.

„Co takiego? Zeszłam z głównej drogi zaledwie dziesięć minut temu?" – pomyślała, skrajnie zdumiona.

– Wendyyy! – poniosło się po lesie.

Wendy odruchowo zanurkowała w gęstwinę niewysokich brzózek i uklękła w płytkim zagłębieniu, skryta za korzeniami pobliskiej sosny. Wystraszona i spięta, nawet nie zauważyła, że materiał jej spodni błyskawicznie nasiąknął wilgocią. Ostrożnie wysunęła głowę z kryjówki i ujrzała Franka na koniu. Tramp, który przed przybyciem do Domu nigdy nie jeździł wierzchem, z trudem trzymał się w siodle i wyglądało na to, że zaprzęta to jego uwagę o wiele bardziej niż szukanie dziewczyny. Pokrzepiona na duchu Wendy uśmiechnęła się lekko, ale jej wesołość wyparowała, gdy spostrzegła, że koń jest wyraźnie zaniepokojony. Była to Bessy, druga z dwóch klaczy w ich grupie, koń starszy od pozostałych, wręcz anemiczny i przez to idealnie nadający się dla niewprawnego Franka. Gwałtowne ruchy łbem, strzyżenie uszami i trzepanie ogonem w jej wykonaniu było więc co najmniej nietypowe i bardzo, bardzo niepokojące.

– O co ci chodzi!? – burczał Frank, gdy Bessy zatrzymała się przed szczególnie wielką kałużą i odmówiła posłuszeństwa. – Koniem jesteś czy osłem, do cholery? Czego się boisz? Że sobie kopytka zamoczysz?

Koń znów zarżał i cofnął się nieco. Frank niezgrabnie usiłował zmusić ją do dalszej drogi, ale w końcu poddał się i zeskoczył na

ziemię.

– Tak będzie lepiej – oznajmił. – Skoro nie chcesz iść, powlekę cię za sobą. Niech cię szlag, Wendy, gdzie ty jes...

Bessy targnęła łbem tak gwałtownie, że o mało nie wyrwała lejców z dłoni trampa, a potem zatupała kopytami na rozmokłej drodze. Wendy przełknęła ślinę. Szósty zmysł podpowiadał jej, że dzieje się coś złego. Nagle plan, który konstruowała od paru tygodni, wydał jej się idiotyczną zabawą. Zapragnęła wyskoczyć z kryjówki, objąć Franka, przeprosić go za kłopot i szybko, jak najszybciej, wrócić do Marcusa i Parkera.

– Stój! – parsknął wściekle Frank, próbując utrzymać szalejącego konia.

Wtedy Wendy go dostrzegła.

Odmieniony pełzł wśród poszycia niczym gigantyczna skolopendra. Wychudłe, długie odnóża śmigały tak szybko, że ledwie można było za nimi nadążyć wzrokiem, a ciało przelewało się po wzniesieniach i dołach, jak pozbawione kości. Głowa na monstrualnie długiej szyi kołysała się to w prawo, to w lewo, jakby była za ciężka, ale oczy wpatrywały się wyłącznie w trampa usiłującego okiełznać rozszalałego konia.

Wendy zaschło w ustach. Chciała wystrzelić z krzaków, krzyczeć, ostrzec Franka, ale wtedy przez jej umysł przemknęła nowa, nadspodziewanie trzeźwa myśl:

„I co zrobię? Jak go zatrzymam? Przecież nawet strzelać dobrze nie umiem! A co będzie, jak rzuci się na mnie?”.

Trwała więc w kryjówce, przerażona do granic, patrząc na zbliżającego się ludostwora. Pięćdziesiąt metrów, czterdzieści, trzydzieści... Bessy tupała kopytami, Frank przeklinał paskudnie, Wendy zacisnęła powieki.

„Nie...”.

Wilgotne powietrze lasu rozdarł huk wystrzału.

Dziewczyna otworzyła oczy. Nie miała pojęcia, skąd nadbiegł pocisk, ale okazał się celny. Ludostwór zatrzymał się jak wryty. Na jego stwardniałej czaszce rosła czerwona plama, coraz większa i większa, aż pierwsze krople krwi zaczęły ściekać na wilgotny, soczysty mech. W sekundę później szyja zwiotczała i głowa z głuchym łoskotem opadła na leśne runo. Ludostwór już nie żył.

Bessy przestała tupać. Zwiesiła łeb i oddychała ciężko, najwyraźniej wyczerpana lękiem. Frank wpatrywał się w zwłoki potwora, a potem rozejrzał się po lesie.

– Kto strzelał? – szepnął. Wendy słyszała każde jego słowo. – Kto strzelał? – zapytał głośniej. – Parker? Joy? Ech, szlag niech to wszystko trafi!

Chwilę później siedział już w siodle, niezdarnie zawrócił konia i pognał go w stronę głównej drogi, nie oglądając się.

„Słusznie – pomyślała Wendy, dziwnie rozżalona jego zniknięciem. – Ja w sumie też nie zrobiłam wiele, by ci pomóc".

Dopiero teraz zauważyła, że ścierpła, a spodnie ma całkiem przemoczone. Podniosła się z trudem, westchnęła, otrzepała nogawki i wyruszyła w drogę.

Druga chwila zwątpienia miała miejsce tego samego dnia, gdy podświetlone wskazówki zegarka wskazały osiemnastą. Wśród drzew kładły się długie cienie, a niebo, jeszcze przed momentem niebieskie, zmieniało powoli kolor na ciemnogranatowe. Wendy wyciągnęła kieszonkową latarkę i spojrzała na mapkę okolicy, którą ukradkiem wsunęła do kieszeni kurtki w opuszczonej restauracji.

– Gdzie ja właściwie jestem? – szepnęła.

Pomięty, mokry kawałek papieru w niczym nie pomagał. Była to zwykła darmowa mapka, drukowana przez miejscową organizację

turystyczną, obwiedziona reklamami hoteli, restauracji i rozmaitych atrakcji. Poza drogami samochodowymi i szlakami turystycznymi nie było na niej wiele szczegółów.

Wendy zamknęła oczy, mając nadzieję, że gdy je otworzy, ujrzy czerwony krzyżyk z napisem: „Tu jesteś!”. Nadzieje okazały się płonne. Dziewczyna wepchnęła mapę do kieszeni i omiotła drzewa snopem światła, który również wydał jej się żałośnie niewielki.

„Co ja najlepszego zrobiłam?” – pomyślała.

Nigdy dotąd nie podróżowała sama. Przed Końcem Świata, całkowicie zdana na GPS, potrafiła zabłądzić na parkingu galerii handlowej w Marington, a później opuszczała Dom tylko w towarzystwie kogoś, kto znał drogę. Nigdy nie zaprzątała sobie głowy samodzielnym ustalaniem kierunku i z jakiegoś powodu uznała, że to łatwa sztuka.

Teraz, po kilku godzinach od odłączenia się od reszty grupy, zrozumiała, że popełniła potworny błąd. Nadchodził zmrok, a ona nie miała bladego pojęcia, gdzie się znajduje.

Był to jednakże dopiero początek jej problemów. Przemoczone spodnie wcale nie schły, a zimno przenosiło się na nogi. Wendy co rusz łapała się na tym, że szczęka zębami. Potrzebowała ciepłego, suchego schronienia, musiała napić się czegoś gorącego, wysuszyć ubranie i gdzieś się przespać, a tymczasem otaczał ją zimny, nieprzyjazny las, z każdą chwilą coraz ciemniejszy.

– Ale się wkopałam... – jęknęła.

Po jej policzku spłynęła łza.

Mogła zawrócić w stronę grupy, ale czy nie pobłądzi wśród leśnych duktów? Mogła zacząć wołać, ale czy nie wywoła jakiegoś licha? Przecież w okolicy mogły się włóczyć ludostwory... Ba, a wilki czy pumy? Może lepiej jednak iść naprzód?

Ruszyła przed siebie, pochlipując. Z każdym oddechem wokół jej ust gromadził się kłąb pary, mokre spodnie mroziły coraz bardziej,

ciałem wstrząsały dreszcze. Potknęła się o śliski kamień i uderzyła kolanem o ziemię.

„Cholera – pomyślała z rozpaczą. – Na co mi to wszystko było?”.

Nie mogła teraz uwierzyć w to, że ledwie kilka godzin temu była święcie przekonana, że przyda się w walce o lepsze jutro. Dlaczego uznała, że jej stuknięty plan ma szansę powodzenia? Czemu nie omówiła go z kimś innym, kto by go wyśmiał i wybił jej z głowy? Dom pod Pękniętym Niebem, który do tej pory wydawał jej się nieporozumieniem, miejscem pełnym ludzi zapatrzonych w siebie i pozbawionych wyobraźni, teraz kojarzył się tylko ze spokojem i bezpieczeństwem.

Po policzkach dziewczyny płynęły łzy. Zatrzymała się i z całej siły zacisnęła powieki, marząc jedynie o tym, by po ich otwarciu znów zobaczyć płot okalający Dom, nowe szopy, szklarnię Maksa, dym z komina, huśtawki...

Ujrzała natomiast drzewa. Zimne, częściowo bezlistne, obojętne jak sama noc.

A potem zobaczyła oczy.

Przemożny strach sprawił, że z bezwładnych palców dziewczyny wysunęła się latarka i upadła z cichym stukotem przy jej butach. Nie była potrzebna – Wendy instynktownie wiedziała, czym jest wyłaniający się z cieni stwór. Widziała korpus miękko przelewający się po korzeniach i nierównościach terenu, widziała patykowate odnóża i kołyszącą się miarowo głowę. Odmieniony z cichym szelestem wypełzł na drogę i zamarł, wpatrując się w oniemiałą Wendy. Ślepia, choć ledwie widoczne pod zrogowaciałymi brwiami, lśniły blado.

– Idź sobie – bąknęła dziewczyna. – No, idź...

Ludostwór drgnął i Wendy natychmiast, bez najkrótszej chwili wahania, rzuciła się do panicznej ucieczki.

Ostatni, rozpaczliwy głos rozsądku pośród jej rozbieganych, chaotycznych myśli nakazał jej skręcić w bok.

„Może między drzewami będę miała więcej szczęścia! – myślała. – Może to coś wpadnie w jakąś dziurę...".

Odwróciła głowę w biegu i zaklęła z rozpaczą. Ludostwór pełzł wśród zagłębień i korzeni niczym skolopendra, tylko jego głowa na długiej szyi kołysała się coraz szybciej, z coraz większym gniewem. Przerażona do granic dziewczyna przyspieszyła.

„Idiotka ze mnie! – myślała. – Kretynka! Mam to, na co zasłużyłam!".

Skok przez wykrot. Zdradziecki korzeń, o który mało się nie wywróciła. Kałuża pokryta cieniutkim lodem. Kolczasty gąszcz. Kolejny wykrot, a po nim strumyk i śliskie kamienie.

„O Boże, Boże...".

Znów spojrzała za siebie. Rozpędzony ludostwór był coraz bliżej. Jego oczy błyszczały niezdrowym entuzjazmem.

„Może boi się wody – podszepnęła jej jakaś rozpaczliwa myśl. – W jakimś filmie tak było. Chyba w *Kręgu*...".

Przesadziła potok jednym susem, wpadła w zarośla i naraz ujrzała, że przed nią wznosi się wysokie zbocze. Jej serce zamarło. Plusk za nią świadczył o tym, że ludostwór wody bynajmniej się nie lęka.

Była wyczerpana do granic, płuca płonęły jej żywym ogniem. Wiedziała, że na zbocze już się nie wedrze. Pozostawała tylko jedna opcja.

Sięgnęła po broń i odwróciła się błyskawicznie, trzymając ją kurczowo obiema dłońmi.

Nie potrafiła dobrze strzelać – zanadto się przy tym denerwowała, a poza tym nie znosiła odrzutu broni – ale w tej chwili nie miało to dla niej znaczenia. Wiedziała, że ścigający ją potwór jest tuż-tuż, że za moment jego stwardniałe czoło uderzy ją między łopatki i wybije dech z płuc, a kiedy już padnie na mech...

Wycelowała broń, na pół oślepiona łzami.

Ludostwór czaił się na dnie płytkiego strumienia niczym karykatura potwora z Loch Ness i kiwał głową to w jedną, to w drugą stronę. Jeszcze przed sekundą wydawał się całkowicie pochłonięty pościgiem, lecz teraz tkwił nieruchomo i wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany.

Nie, nie w nią. W zbocze za jej plecami.

Jej serce waliło jak młot, odliczając sekundy życia. Po chwili, która rozciągnęła się w wieczność, ludostwór zawrócił i wypełzł ze strumienia, by zniknąć w mroku.

Wendy nie mogła uwierzyć własnym oczom, a potem stało się coś jeszcze dziwniejszego. Poczuła cudowny, kuszący i kojący zapach dymu z komina.

Gwizd, początkowo słaby i niepozorny, nabierał mocy, aż wreszcie przeszył spowijający ją mrok. Wendy powoli i z trudem zamrugała oczami, a potem zacisnęła powieki, porażona ostrym światłem. Skuliła się na posłaniu, odruchowo przykrywając kocem.

– Rany, czyżbym przysnęła? – wychrypiała.

Gwizd nie słabł. Ktoś szurał po podłodze, stuknęło jakieś naczynie, miauknął kot.

Wendy otworzyła powoli oczy i z westchnieniem ulgi przekonała się, że to wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy Odmieniony zrezygnował z pościgu, nie było jednak snem. Widziała wnętrze niewielkiej izdebki ze stołem, rozkołysanym fotelem na biegunach, przechyloną mocno półką z książkami oraz starym piecykiem, na którym podskakiwał teraz parujący czajnik z gwizdkiem. Po izbie człapał siwobrody staruszek w połatanej, kraciastej koszuli i wielkiej wełnianej czapie.

– Idę, idę – pomrukiwał, jakby czajnik był żywą, a do tego irytującą istotą.

Przyglądająca mu się Wendy powoli rekonstruowała wydarzenia. Noc. Paniczna ucieczka. Goniący ją ludostwór, który niespodziewanie nieruchomieje i znika. Jeszcze bardziej paniczna wspinaczka po

biegnącej w górę zbocza ścieżce. Czyjś gniewny głos. Światełko w oknie wśród ciemności, zupełnie jak w bajce.

I łóżko – zbawcze, wygodne, ciepłe. Nie liczyło się nic więcej.

Jej siwiuteńki gospodarz ze zniecierpliwieniem wyciągnął gwizdek. Odwrócił się z czajnikiem w ręku i spojrzał na dziewczynę, mrużąc oczy.

– O, wstałaś już? – burknął i poczłapał do stołu, na którym stały dwa emaliowane kubki. Zaszumiała wrząca woda, a po izdebce poniósł się ostry zapach herbaty. Żołądek Wendy natychmiast zaburczał.

Z każdą chwilą wychwytywała kolejne szczegóły – spłowiały kalendarz na ścianie, stary telewizor z czasów przed wynalezieniem pilota, łopata i siekiera w progu – ale wciąż nie miała pojęcia, jak zagaić rozmowę. Wiedziała, że o coś ją wypytywał, ale była zbyt przerażona, zmęczona i wstrząśnięta, by cokolwiek zrozumieć. Nie wiedziała, kim jest ten człowiek, jak ma na imię, dlaczego tu mieszka i co najważniejsze: jakie ma zamiary.

I czy potrafi się obronić przed Odmienionym.

Z przestrachem spojrzała na drewniane drzwi – lekkie, zbyt lekkie.

– Pewnie głodna jesteś, co? – spytał staruszek, nie patrząc na nią.

„Głodna? – pomyślała Wendy, przestraszona z każdą chwilą coraz bardziej. – Na zewnątrz tej lepianki szwendają się jacyś Odmienieni, a on proponuje coś do jedzenia? Rany, a może go nie widział?”.

Jej nieoczekiwany gospodarz rozłożył na stole dwie poobijane miski, a potem zajrzał do szafki pod starym telewizorem i wyciągnął jakiś słoik. Przyjrzał się mu uważnie, westchnął ciężko i pokręcił z dezaprobatą głową.

– Niech stracę – westchnął. – Fasolka po bretońsku może być?

Żołądek Wendy zaburczał zdradziecko. Dziewczyna przełknęła ślinę.

– Kim pan jest? – wychrypiała.

– Spokojnie! – zachichotał staruszek. – Nie jestem złym wilkiem z bajki i nie mam zamiaru cię otruć.

Obejrzał raz jeszcze słoik i zamachał nim koło ucha.

– Jeszcze dwa tygodnie do wygaśnięcia terminu ważności – oznajmił. – Chociaż teraz ładują w jedzenie tyle konserwantów, że i dwa lata później dałoby się zjeść.

Otworzył drzwiczki piecyka i wsunął w żar dwie cienkie szczapy, a potem postawił na nim patelnię. Wylał na nią zawartość słoika. Zapach, jaki rozlał się po izdebce, był jednym z najsmakowitszych, z jakimi Wendy się kiedykolwiek spotkała. Jej żołądek zaburczał ponownie.

– A nazywam się Joshua – dokończył jej gospodarz, zmierzając w stronę stołu. Dziewczyna spostrzegła, że ma na nogach grube, wełniane skarpety i zwykłe kapcie. Z jakiegoś powodu ten widok natchnął ją niespodziewaną nadzieją – czy miejscu, którego gospodarz nosi najnormalniejsze w świecie, rozdeptane kapcie, może grozić jakieś niebezpieczeństwo?

– Ja jestem Wendy – powiedziała nieco śmielej i znów spojrzała na drzwi. – Dziękuję panu za pomoc. Panie Joshua, czy... eee... czy zauważył pan może w okolicy coś dziwnego?

– Na przykład? – Staruszek uniósł brew.

– No, wie pan. Jakiegoś stwora.

Przez wyschnięte usta staruszka przemknął blady uśmiech.

– Stwora, tak? – spytał przeciągle. – Mnóstwo prawdziwych stworów, droga Wendy. Z długimi zębami, szponami i innymi takimi.

Serce podeszło dziewczynie do gardła.

– A czy ma pan jakąś broń? – wykrztusiła z trudem.

Joshua zachichotał.

– Stwory, które mam na myśli, dobrze wiedzą, że człowiekowi nie wolno wchodzić w drogę – powiedział. – Nie wiem, czego was w tych szkołach uczą, ale wilki nie przepadają za bliskością

człowieka, podobnie jak rosomaki, a nawet pumy. Wystarczy trzymać się z dala od ich ścieżek, a krzywdy ci nie zrobią.

– A czy zdarza się coś jeszcze? – naciskała dziewczyna. – Coś bardziej niezwykłego od pumy?

– Owszem – odparł Joshua. – Parokrotnie widziałem niedźwiedzia.

Zapach był coraz intensywniejszy i gospodarz odwrócił się ku piecykowi, by zamieszać w menażce. Wendy miała wrażenie, że mruczy coś o miejskich dziewuchach i przygłupich turystkach, a w jego głosie kryje się rozbawienie. Wtedy zauważyła własną torbę. Chciała wstać i ją podnieść, gdy Joshua odwrócił się i podszedł do stołu z parującą menażką.

– Masz jakiś telefon, Wendy? – spytał, nakładając jej porcję.

– Telefon? – odparła ze zdziwieniem dziewczyna.

– Nie myśl, że jestem taki głupi! – Joshua zachichotał, wygarniając resztki fasolki na własny talerz. – Rok temu spotkałem dwóch geologów i widziałem te ich smartfony czy jak to się tam nazywa. Masz taki?

– Nie.

– Szkoda, ale damy sobie jakoś radę. Pewnie będą cię szukać, co? Trudno, jest środek nocy, a ty musisz coś zjeść. Jutro pokażę ci drogę do najbliższego schroniska w Branch. To kawał drogi, ale nic na to nie poradzimy. Było kiedyś jedno bliżej, na przełęczy Stentson, ale zamknięto je sześć lat temu, gdy na wiosnę wylała Ayam River. Wody rzeki zabrały most i chyba władze uznały, że nie ma sensu go remontować.

Wendy zamrugała oczami.

– Władze? – bąknęła. – Jakie władze? Ma pan na myśli Radę?

– Miałem na myśli samorząd hrabstwa. – Joshua ze stęknięciem usadowił się na rozklekotanym nieco krześle. – Co, znów zmienili nazwę? Ech, pies ich drapał. Tym się właśnie zajmują, urzędasy

przeklęte. Głupotami! Wygląda na to, że nic się na świecie nie zmieniło. Smacznego.

Słowa staruszka były dla Wendy tak szokujące, że na moment zapomniała o głodzie. Powoli, z ociąganiem usiadła przy stole i ujęła łyżkę, nie przestając myśleć o tym, co przed momentem usłyszała. Jadła powoli, co rusz zerkając na staruszka, który pochylał się nad miską, mlaskał, cmokał i oblizywał się z ogromnym zapałem, zupełnie jakby od dawna nie zasiadał do posiłku w towarzystwie. Jej podejrzenia stawały się coraz silniejsze.

„To niemożliwe, naprawdę niemożliwe..." – powtarzała w myślach.

Zamknęła oczy i skupiła się.

Darem Wendy była umiejętność odkrywania Darów innych osób. Czasami wystarczała chwila koncentracji, bywało też, zwłaszcza w przypadku dzieci bądź chorych, że borykała się z problemem przez długie tygodnie. Dar nie zawodził jej jednakże nigdy – jak dotąd zawsze udawało jej się dojść do sedna i była przekonana, że zdoła rozgryźć swego tajemniczego gospodarza. O ile...

– A ja w sumie to mam pytanie – rzekł Joshua, burząc jej koncentrację. Dziewczyna otworzyła oczy i ujrzała, jak gospodarz wyciera miskę kawałkiem starego chleba, a potem wstaje i zdejmuje z półki malutkie radyjko tranzystorowe. – Nie masz czasem baterii? Wciąż jakieś mam, ale chyba się już zużyły. Posłuchaj!

Włączył radio i zaczął kręcić pokrętłem, ale z głośnika dobiegały jedynie szum, świsty i gwizdy.

– Nic! – poskarżył się staruszek. – Mieszkam tu od wielu, wielu lat, ale nie zdziczałem do reszty i chciałbym wiedzieć, co się dzieje na świecie. Wszystkie te książki – wskazał przekrzywiony regał – przeczytałem już parokrotnie i fajnie byłoby od czasu do czasu posłuchać radyjka. A tu od paru miesięcy klops. Nic nie słychać. Może się zepsuło?

Wendy przełknęła ślinę i wyprostowała się na krześle.

– Tak – powiedziała, nie patrząc na niego. – Chyba się zepsuło.

Jakąś godzinę później w izdebce zapadła całkowita cisza, przerywana jedynie miarowym, chrapliwym oddechem staruszka, który ignorując wszelkie zasady higieny, po prostu położył się na kanapie, przykrył kocem i zasnął. Wendy powitała ten fakt z ulgą, gdyż musiała się uporać z przytłaczającymi ją refleksjami.

„Nie mogę w to uwierzyć – myślała, wpatrując się w żar bijący zza niedomkniętych drzwiczek piecyka. – Ten staruszek nie ma o niczym pojęcia! Nie wie o Końcu Świata i najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z istnienia ludostworów. Jest przekonany, że daleko za lasem świat trwa w tej samej formie co kiedyś. Co by zrobił, gdyby się dowiedział, że nie ma już ani jednego urzędnika?”.

Otuliła kolana kocem, który pachniał starością i dymem.

– Świat z dala od Domu jest niezwykłym miejscem – szepnęła.

Odruchowo sięgnęła po pamiętnik Heather, przywieziony do Domu przez Franka. Przekartkowała go pospiesznie w poszukiwaniu opisu domu starców Golden Leaves, który budził jej wzruszenie za każdym razem, gdy go czytała. Zapaliła niewielką kieszonkową latarkę i raz jeszcze przemknęła wzrokiem po pospiesznie zapisanych linijkach. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech zadumy.

– Niewykluczone, Heather, że już w drugim dniu wędrówki natrafiłam na coś równie niezwykłego jak ty – westchnęła, ale nagle spoważniała. Przypomniał się jej bowiem ludostwór, który nieruchomieje i wpatruje się w zbocze, na którym wznosiła się chatka staruszka.

– Zaraz, zaraz – mruknęła. – Dlaczego ta bestia nie pobiegła w ślad za mną?

Odłożyła pamiętnik oraz latarkę na koc, bezszelestnie wyśliznęła się z łóżka i podeszła do pochrapującego staruszka. Nie musiała dotykać osoby, którą pragnęła wysondować, ale potrzebowała dłuższej chwili ciszy. Zacisnęła powieki i wciągnęła głęboko powietrze, próbując wykryć ową osobliwą aurę, która otaczała każdego ocalałego z Końca Świata. Wystarczyły trzy głębokie wdechy i już wiedziała, na czym polega Dar Joshui. Uśmiechnęła się do siebie.

– Powinnam się była domyślić – szepnęła.

Podeszła do piecyka, by zamknąć drzwiczki. Metalowe zawiasy zazgrzytały cicho i Wendy odwróciła się szybko w stronę śpiącego staruszka, przestraszona, że go obudziła. Ten jednakże ani drgnął i wciąż pochrapywał miarowo. Trwała tak przez moment, słuchając tylko swego bijącego mocno serca, kiedy nagle odniosła wrażenie, że z zewnątrz dobiega jakiś inny odgłos, ledwie słyszalny, ale przerażający do granic.

Ludzkie kroki.

„Boże, to się nie dzieje naprawdę”.

Wytężyła wszystkie zmysły. Gdzieś szemrał wiatr, strzeliła kłoda w piecyku, brzęknęła sprężyna w kanapie, na której spał Joshua. Czyżby jej się wydawało? A może tam na zewnątrz nikogo jednak nie było?

Wendy zacisnęła powieki, potrząsnęła głową i powoli, krok po kroku, cofnęła się w stronę łóżka. Odkąd była małym dzieckiem, w chwilach największego strachu zawsze chowała się pod kocem i tam prędzej czy później odnajdowała ciepło, ulgę i pokrzepienie. Tak było, gdy jej rodzice po raz pierwszy pokłócili się tak bardzo, że zaczęli rzucać w siebie szklankami. Tak było, gdy po raz pierwszy obejrzała *Krąg*. Tak było, gdy nieznajomy chłopak podszedł do niej na przystanku autobusowym, wyszarpnął jej smartfona z ręki i uderzył ją w twarz, gdy zaczęła protestować.

Choć kilka miesięcy wcześniej nastąpił Koniec Świata i nic nie wyglądało już tak jak kiedyś, stary, wyliniały kocyk Joshui spełnił swe zadanie równie dobrze jak grube, wełniane koce, które jej mama sprowadzała z Europy. Serce Wendy biło coraz wolniej, aż dziewczyna uśmiechnęła się ze smutkiem, pokręciła głową i ułożyła się do snu.

Wtedy przypomniała sobie, że obok niej wciąż leży zamknięty już pamiętnik Heather, a w jego środku nadal pali się kieszonkowa latarka. Wyciągnęła rękę i otwarła zeszyt, by wyłączyć lampkę, kiedy niespodziewanie zauważyła coś, na co nigdy dotąd nie zwróciła uwagi.

Wokół metalowych zszywek w grzbiecie zeszytu znajdowały się drobniutkie strzępy papieru. Pozostałość po wyrwanej kartce.

Zdumiona Wendy wsparła się na łokciu. Ostatni wpis Heather, sporządzony po ocaleniu grupki dzieci z niesamowitej budowli ludostworów-reptilian, kończył się tuż u dołu strony. Czy w istocie była to ostatnia notatka? A może jej przyjaciółka napisała coś jeszcze, ale ktoś wyrwał strony?

Tajemnice oplatały ją coraz szczelniej, niczym grube pajęczyny w dawno nieodwiedzanym tunelu. Wendy zacisnęła oczy, ale wiedziała, że tej nocy już raczej nie zaśnie.

Pogoda następnego dnia rano była równie paskudna jak wcześniej. Wśród drzew unosiły się obojętne mgły, a chłodne powietrze, zamiast orzeźwiać, potęgowało jedynie ochotę, by wrócić do ciepłego wnętrza. Wendy wiedziała jednak, że nic to nie da. Musi iść naprzód. Gdyby teraz zawróciła, pokazałaby całemu światu, że jest jedynie rozkapryszoną nastolatką, która nie ma pojęcia, na czym jej zależy.

Zapięła kurtkę i odwróciła się do Joshui, który wyszedł wraz z nią przed chatę.

– Musisz iść tamtą drogą – powiedział chyba po raz dwudziesty. Miał policzki zaczerwienione od chłodu i nieco załzawione oczy. – Po jakichś trzech milach droga odbije w lewo. Dotrzesz tamtędy do Dunwich, gdzie złapiesz stopa do Marington. Jak się uda, pod wieczór będziesz na miejscu.

– Uda się – rzekła Wendy ze zdecydowaniem, którego w ogóle nie czuła.

– Odprowadziłbym cię kawałek, ale... – Staruszek zawahał się. – Trochę mnie bolą kolana i...

– Niech pan tego nie robi – przerwała mu dziewczyna i uśmiechnęła się. – Jest pan tu bezpieczny. Dziękuję za pomoc – dodała. – Wrócę tu po wszystkim i przywiozę panu trochę nowych książek.

– Może lepiej jakieś nowe radyjko! – Joshua rozmarzył się, ale nagle spoważniał. – Co miałaś na myśli, mówiąc: „po wszystkim”?

– Egzaminy w szkole – skłamała gładko Wendy. – Dlatego właśnie wybrałam się w góry, wie pan. By odpocząć od wszystkiego.

– Rozumiem. – Joshua skinął głową. – Góry są groźne, ale pozwalają człowiekowi naprawdę odpocząć. Wierz mi, Wendy, ja już odpoczywam w ten sposób piętnaście lat. Nigdzie nie znajdziesz takiej ciszy jak tu. Ostatnio nawet samolotów już tyle nie ma.

Wendy uśmiechnęła się raz jeszcze i dotknęła ramienia staruszka.

– Niech pan na siebie uważa. Do zobaczenia.

– Trzymaj się, Wendy.

Dziewczyna ostrożnie schodziła w dół, nie oglądając się ani razu. Obawiała się, że gdy spojrzy na Joshuę, ten w jakiś sposób wyczyta z jej twarzy, iż właśnie został oszukany. Wpatrywała się więc we własne stopy i myślała o tym, co ją czeka.

A to przywiodło niewesołe myśli.

Zaginiona Heather. Rada Ocalenia Ludzkości. Ludostwory. Kroki na zewnątrz chaty. Wyrwane kartki. Ludostwory.

Zsuwała się ostrożnie w dół zbocza, czepiając się pni i gałęzi. Nieubłaganie przybliżała się do miejsca, w którym goniący ją Odmieniony zaprzestał pościgu. Tam na górze, w towarzystwie Joshui, była bezpieczna jak nigdzie indziej. Teraz z każdym krokiem była coraz bardziej narażona na atak.

Czy będą na nią czekać? A może dopadną ją gdzieś po drodze? A co będzie, jeśli sfrustrowane potwory zawróciły, by rozprawić się z Parkerem, Frankiem i Marcusem? Niewykluczone, że w świetle dziennym są wolniejsze, może w ogóle unikają światła. Nie, to nieprawda, przecież po raz pierwszy zaatakowały ich w południe! Po co było oddzielać się od grupy...

Osaczona chaotycznymi myślami Wendy nagle zatrzymała się jak wryta.

Ludostwór wpatrywał się w nią szeroko rozwartymi, przekrwionymi oczami. Jego pysk pełen żółtawych zębów również był otwarty, ale nie wydobywał się z niego żaden dźwięk. Długie, gruzłowate ramiona zwisały wzdłuż wychudłego ciała, biernego i zalanego zakrzepłą krwią. Minęła dłuższa chwila, nim Wendy pojęła, że ścigający ją ludostwór został zabity.

Minęła jeszcze dłuższa, zanim uświadomiła sobie, iż ten, który odebrał mu życie, zadał sobie trud i przybił ofiarę zaostrzonym kijem do pnia drzewa.

Wendy rzadko towarzyszyła grupom, które patrolowały okolice wokół Domu pod Pękniętym Niebem. Kiepsko strzelała i nie dysponowała Darem, który mógłby pomóc w dramatycznych sytuacjach, przez co Parker, Barry i Flint wybierali na ogół innych mieszkańców Domu do pomocy. Raz na kilka tygodni udawało jej się jednakże dołączyć do drużyn zwiadowczo-zbierackich, dzięki czemu mogła zaobserwować, jak niszczeją miasta.

Nie było w tym nic z godności, z jaką starzeją się sędziwe kościoły czy choćby kamienice z ubiegłego stulecia. Pozbawione ludzkiej opieki miasta zwyczajnie zarastały i rozpadały się. Po karoserii porzuconych samochodów rozlewała się rdza, ogrody nikły wśród chwastów, niemalowane drewno niszczało i pękało, z dziur w asfalcie strzelały pęki chwastów. Tu i ówdzie wiatr strącił skądś neon czy połamał płot, a kojoty przewróciły śmietnik i rozsypały po okolicy papiery. Znany jej świat, wrażliwy i bezradny, po prostu się rozpadał.

W Dunwich ujrzała coś, czego nie widziała nigdy dotąd. W niewielkim miasteczku, które zdaniem jej ojca było „najdroższą z kiczowatych sypialni Marington” – cokolwiek miało to oznaczać – ktoś podjął zdecydowaną próbę przywrócenia cywilizacji. Próbę, która zakończyła się niepowodzeniem niedługo po tym, jak ją rozpoczęto.

Wendy szła powoli drogą i przyglądała się scenom, które jeszcze kilka miesięcy temu wzięłaby za scenografię do filmu katastroficznego. Przewrócone zasieki z drutu kolczastego. Barykada z pustaków i skruszonego cementu. Hummer na podjeździe domu z basenem, porzucony i zapomniany w tym samym stopniu co dom. Stanowisko karabinu maszynowego na tarasie innego, sąsiedniego domu, tuż obok ratanowych mebli ogrodowych.

I nigdzie ani żywego ducha.

Wendy zatrzymała się przy jakimś zapomnianym samochodzie z wgniecioną przednią szybą i z ulgą zsunęła plecak na maskę. Wydostała z niego butelkę z wodą i wypiła kilka łyków, a potem rozejrzała się uważnie. Jej wzrok spoczął na napisie „Rada Ocalenia Ludzkości – punkt kontrolny Dunwich", wymalowanym na pobielonym płocie.

– Coś tu poszło nie tak – szepnęła. – Ale co?

O wiele ważniejsze pytanie brzmiało jednak: i co teraz? Opisy Heather, choć zwięzłe, a pod koniec pamiętnika wręcz zdawkowe, nie pozostawiały cienia wątpliwości. Rada Ocalenia Ludzkości to przypuszczalnie jedyna realna nadzieja na wskrzeszenie cywilizacji z gruzów. To zorganizowana, zdecydowana grupa osób dysponujących technologią i bronią. To organizacja, którą warto wesprzeć ze wszystkich sił, choć ludzie stojący na jej czele to bezwzględne, oschłe typy.

Niespodziewanie okazało się, że technologia, broń i bezwzględność to za mało. Najwyraźniej Koniec Świata nie miał zamiaru ludziom odpuścić.

– Ale się wpakowałam – sapnęła Wendy, wsuwając butelkę do plecaka.

Rozejrzała się raz jeszcze. Różowe, pociągnięte mgłami słońce powoli chyliło się ku horyzontowi, zasłoniętemu tu przez dachy, kominy i anteny satelitarnej kiczowatej „sypialni Marington". Nadchodził zmrok i jak zwykle ciepły, przytulny Dom pod Pękniętym

Niebem wydał się dziewczynie spełnieniem wszelkich marzeń. Przypomniała sobie zrzędzenie piorącej koce Jane, bigos przygotowywany przez pogwizdującego wesoło Barry'ego czy beznadziejne dowcipy Maksa i poczuła się jeszcze bardziej samotna.

– Dość tego! – ofuknęła się surowo i zamrugała oczami, by przepędzić zdradziecką wilgoć. – Przecież wiedziałam, że będę zdana na własne siły. Byłam na to przygotowana!

„Guzik prawda – szepnął nieznany jej głos w głębi duszy. – Nie byłaś i nie jesteś. Zginiesz w tym martwym świecie, Wendy".

Martwym?

Dziewczyna rozejrzała się pospiesznie i przełknęła ślinę.

Cracktown, Mercy i inne miasteczka, które widziała po Końcu Świata, zostały przejęte przez dziką przyrodę natychmiast po zniknięciu człowieka. Na zarośniętych trawnikach pasły się sarny, wśród regałów sklepowych buszowały kuny i szczury, a ptactwo chmarami obsiadało dachy i druty telegraficzne. Z początku bała się stad wron i kruków, które w milczeniu, wręcz z niedowierzaniem przyglądały się przejeżdżającym ulicami miasta ocalałym ludziom, ale wkrótce się do nich przyzwyczaiła.

Tu nie było ich ani śladu.

– Co jest? – mruknęła.

Serce biło jej bardzo szybko. Żadne z odwiedzonych dotychczas miejsc nie napawało jej takim lękiem jak to. Wendy ruszyła szybkim krokiem przed siebie, modląc się w duchu, by gdzieś za rogiem pokazało się coś, co doda jej otuchy.

„Heather, gdzie jesteś?" – powtarzała w duchu, po raz setny żałując, że nie potrafi komunikować się z nikim myślami. Jej życie byłoby wówczas o wiele prostsze...

„Na cholerę mi to wykrywanie Darów, skoro nie ma tu żywej duszy!" – myślała.

Sama się nie zorientowała, że biegnie. Przeskakiwała nad dziurami w asfalcie, wymijała inne, przebiegała obok zepchniętych na pobocza samochodów, opustoszałych domów i porzuconych sklepów. Kątem oka rejestrowała kolejne próby, jakie poczyniła Rada Ocalenia Ludzkości, by przywrócić Dunwich do życia, ale jej uwagę zaprzątał głównie brak ptaków.

– Co tu się dzieje? – sapała.

Różowa emanacja zachodzącego słońca stała się niespodziewanie intensywniejsza. Jasne ściany i brudne okna zapłonęły nowym kolorem, przez co okolica stała się jeszcze bardziej upiorna i niesamowita. Biegnąca Wendy poczuła ucisk w czaszce.

– Będę chyba musiała spędzić noc w jednym z tych domów – powiedziała na głos, jakby chciała w ten sposób odegnać przestrach. – Zawsze to lepsze od spania w lesie pod gołym niebem.

Zrobiła jeszcze kilka kroków i pomasowała skronie. Ból stawał się coraz intensywniejszy.

– A to co znowu? – jęknęła.

Ból był o wiele bardziej przejmujący od tego, jaki zadawało dentystyczne wiertło. Wendy nie zależało już na tym, by biec dalej i szukać schronienia. Chciała teraz odwrócić się i uciec ku zbawczej, zacisznej puszczy, gdzie nie dręczyły jej żadne dźwięki, ale nawet tego nie była w stanie zrobić. Odwróciła się co prawda i przebiegła parę kroków, ale potem osunęła się na kolana, by skulić się na asfalcie i zatkać uszy.

Spękana nawierzchnia rzuciła jej się na spotkanie. Odurzona bólem Wendy w ostatniej chwili dostrzegła biegnącego ku niej nieznanego człowieka, który złapał ją za ramię i uratował przed upadkiem. Był silny, nieprawdopodobnie silny, a może to ona stała się wiotka i słaba? Krzyczał coś do niej, ale nie rozumiała ani słowa, stopniowo oszałamiana bólem.

Nim ogarnęły ją ciemności, uświadomiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, nieznajomy mężczyzna gdzieś ją prowadził. Po drugie,

wcale nie był nieznajomy.

Spotkała Gordona Pratta.

Gdy otworzyła oczy, odkryła, że nadal otacza ją mrok. Ze wszystkich zmysłów najpierw przyszedł dotyk – siedziała na miękkim fotelu, skrupulatnie obwiązana wrzynającym się jej w skórę kablem komputerowym i zakneblowana małym ręcznikiem – a potem niechętnie wrócił do niej wzrok. Odkryła sylwetkę Pratta, klęczącego przy uchylonym oknie. Wiatr poruszał firanką, zasłaniając co chwila jego twarz, ale nie miała wątpliwości, że to Gordon, choć wymizerowany i zaniepokojony. W ręku ściskał karabin.

Pozostałe zmysły również się pojawiały – czuła duszący zapach wilgoci, a w ustach metaliczny smak strachu – o dziwo, nie wracał jej słuch. Potrząsnęła głową i odkryła, że ma na głowie ciężkie słuchawki zasłaniające całe uszy, podobne do tych, których używali robotnicy podczas rozkuwania nawierzchni dróg. Pratt miał identyczne.

Wendy znieruchomiała. W tej samej chwili ujrzała cienie przemykające po ulicach, zwiewne, przypominające tancerzy w balecie, a mimo to złowieszcze. Pratt uniósł wyżej karabin i zastygł, gotowy do strzału. Wokół jego ust rytmicznie pojawiały się obłoczki pary.

Dziewczyna zamknęła oczy. Przypomniała sobie fragmenty z pamiętnika Heather, w których opisywała dziwaczną grupę, roboczo nazywaną reptilianami, jedyną jak do tej pory rasę ludostworów, która stworzyła społeczeństwo i wznosiła budowle. Heather nie miała wątpliwości, iż stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo dla resztek rasy ludzkiej. Widząc Pratta, kiedyś człowieka aroganckiego i wzgardliwego, a teraz skupionego i przestraszonego, Wendy

zrozumiała, że jej przyjaciółka się nie myliła – nawet Pratt był wrakiem człowieka po spotkaniu z nimi.

„A może to Pratt i inni są odpowiedzialni za zniszczenie Rady Ocalenia Ludzkości?" – targnęło nią straszne przypuszczenie.

Usiłowała dojrzeć coś wśród cieni za oknem, ale choć wytężała wzrok, widziała jedynie ciemność. Dopiero gdy Pratt wypuścił powietrze z płuc i odstawił broń pod ścianę, zrozumiała, że niebezpieczeństwo minęło, przynajmniej na chwilę.

Odwrócił się ku niej. Był blady, wymizerowany i rozczochrany, a podkrążone oczy miał przekrwione, ale Wendy natychmiast rozpoznała jego ironiczny, nieprzyjemny uśmiech. I poczuła kolejną falę lęku. Było nie było, ze wszystkich mieszkańców Domu Gordon Pratt był jedynym, który miał prawo czuć do niej wrogość.

„Ale trafiłam..." – zdążyła pomyśleć i zamknęła oczy, gdy ten wyciągnął ku niej rękę. Spodziewała się uderzenia, ale Pratt wyjął jej knebel i zdjął słuchawki z uszu.

– Cóż za spotkanie – mruknął. – Toż to Wendy, wyrocznia Domu pod Pękniętym Niebem, wybierająca, kto ma w nim pozostać, a komu trzeba go opuścić. Zupełnie jak w reality show. *Wendy's House*, hahaha!

W jego cichym śmiechu nie było wesołości. Wendy patrzyła podejrzliwie, jak siada na sąsiednim fotelu. Napięła mięśnie, ale kable trzymały ją mocno.

– Posłuchaj, Gordon – wychrypiała, ale ten uprzedził ją i uniósł dłoń.

– Po pierwsze, zachowaj ciszę – ostrzegł ją półgłosem. – Te cholerne gadziny z przeźroczystą skórą mają doskonały słuch. Myślę, że są już daleko, ale nigdy nic nie wiadomo. A po drugie...

Machnął ręką, rozparł się i zapalił papierosa.

– A po drugie, daj sobie spokój z wyjaśnieniami – zakończył, wydmuchując kłąb dymu. – Nie mam do ciebie pretensji, Wendy.

Może wtedy miałem, ale teraz, kiedy wszystko i tak cholera wzięła, to, co się stało w Domu, nie ma już znaczenia.

Wendy wpatrywała się w Pratta z niedowierzaniem. Jego Dar, choć niebywale silny, okazał się również bardzo subtelny i odkryto go dopiero kilka dni po tym, jak mieszkańcy Domu zdołali pokonać zgraję ludostworów. To właśnie Wendy uświadomiła wszystkim, że Pratt tak bardzo nienawidzi ich stylu życia, że podświadomie zesłał inwazję, by Dom uległ zniszczeniu, a ocalali mieszkańcy wraz z nim mogli wyruszyć na poszukiwanie wymarzonej przez niego cywilizacji amerykańskiej. Wendy i Max często palili trawkę pod oknami sali, w której dorośli mieszkańcy Domu naradzali się co do przyszłości ich wszystkich. Śmiali się z natchnionych przemówień Pratta, który tłumaczył, że cywilizacja na pewno gdzieś przetrwała i trzeba tylko do niej dotrzeć. Później okazało się, że jego utajona tęsknota za dawnym stylem życia ściągnęła hordy tych, którzy mogli położyć kres obecnemu.

To właśnie Wendy zdefiniowała Dar Pratta i opowiedziała o nim innym. Za jej sprawą Pratt i jego żona Ellen zostali wygnani z Domu.

– Powinieneś mnie nienawidzić – szepnęła.

Zamyślony Pratt pokręcił głową.

– Powinienem – rzekł po chwili. – I dawny Pratt pewnie by tak czuł. Sęk w tym, Wendy, że widziałem i przeżyłem zbyt wiele, by przejmować się bzdurami takimi jak nienawiść. Gdyby nie to, że wyrzuciliście mnie z Domu...

Oczy Pratta naraz zaszły mgłą. Potrząsnął gwałtownie głową, jakby chciał się pozbyć niewygodnych wspomnień, i dodał mocnym głosem:

– Gdybyście nie wyrzucili mnie z Domu, nigdy nie stanąłbym na czele Rady. Nie poznałbym Beverly, Webbstera i innych. Nie dowiedziałbym się, czym jest nadzieja na wskrzeszenie amerykańskiej cywilizacji.

Wendy stłumiła wzdrygnięcie. Doskonale znała te nazwiska z dziennika Heather i nie kojarzyły jej się dobrze, ale nie przerywała Prattowi. Nadal się bała, ale dystans w jego głosie sprawił, że powoli przestawała myśleć, że wpadła w ręce szaleńca.

– Co tu się właściwie stało? – spytała, zadowolona z tego, że udało jej się odezwać normalnym głosem.

– Nie byliśmy należycie czujni – westchnął z goryczą Pratt. Jego oczy zalśniły niebezpiecznie. – Byliśmy tak zajęci budową administracji, że zupełnie nie zwróciliśmy uwagi na tych cholernych Przeźroczystych.

– Administracji? – parsknęła Wendy, nie mając pojęcia, skąd się bierze jej zuchwałość.

– Słucham? – Gordon przekrzywił lekko głowę. – Masz jakieś wątpliwości, dziecko? Organizowaliśmy mieszkania i punkty medyczne, załatwialiśmy transport i łączność radiową, stworzyliśmy siły zbrojne z prawdziwego zdarzenia. Nie wiem, czy zdarzyło mi się przespać choć dwie godziny na dobę, psiakrew! Udało nam się odnaleźć ludzi ze wspaniałymi talentami, razem mogliśmy zdziałać cuda! Wiesz, ilu ludzi mieszkało w Marington?

– Nie wiem. – Dziewczyna wpatrywała się w niego chłodnym wzrokiem. – Wiem natomiast, w jaki sposób pozyskiwaliście ludność.

– Wiesz? – Pratt uniósł brwi. – A skąd? Plotki, ploteczki, tak?

– Nie! Z wiarygodnego źródła! – wypaliła rozdrażniona Wendy i natychmiast tego pożałowała.

– Z wiarygodnego źródła – powtórzył wolno Pratt i rzucił niedopałek na ziemię. Starannie rozgniótł go butem, a potem znów spojrzał na dziewczynę. – Opowiedz mi, Wendy, o wszystkim. W końcu chyba żadne z nas nie ma nic do stracenia, prawda?

„Prawda” – przyznała wbrew sobie Wendy. Jej myśli śmigały chaotycznie, ale w istocie nie była w stanie wymyślić żadnego powodu, dla którego miałaby zataić sekret przed Prattem.

– Heather pisała pamiętnik – rzekła z ociąganiem, patrząc na firankę powiewającą na nocnym wietrze. – Taki dziennik z podróży. Opisała w nim wszystko, Pratt. Wszystko. Pisała o tym, z jaką bezwzględnością usiłowała ją odnaleźć pewna telepatka o imieniu Beverly. Pisała o tym, jak z trudem uniknęła strasznego losu po tym, jak wpadła w łapy typa o nazwisku Ramsey. Pisała, z jakim trudem uciekała przed żołnierzem o nazwisku Webbster. Nie zapomniała również wspomnieć o Odmienionych, których ktoś z tej waszej Rady zamieniał w roboty. W pozbawione emocji cyborgi, całkowicie posłuszne waszej woli. Administracja, tak? Postanowiliście sobie stworzyć własne wspaniałe społeczeństwo, w którym to ludzie obdarzeni Darami rządzą masami pozbawionych osobowości niewolników. Rada Ocalenia Ludzkości... Kpina!

Wendy całkiem zapomniała, że jest przywiązana do fotela, a człowiek, na którego krzyczy, to bezwzględny, uzbrojony po zęby intrygant. W pewnym momencie umilkła, by złapać dech. Spojrzała w podkrążone, pozbawione emocji oczy Pratta i poczuła powracający strach.

„Chyba przesadziłam” – pomyślała.

Gordon jednak nawet się nie poruszył. Upłynęła wieczność, nim się odezwał.

– Nie przejmuj się – wychrypiał. – Sprawiedliwości stało się zadość.

Teatralnym gestem pokazał jej świat za oknem, a potem wstał i oparł się o ścianę.

– Zrozumieliśmy powagę sytuacji dopiero, gdy Nolan przyprowadził Heather – mówił cicho, nie patrząc na Wendy. – Nie wiem, jak ją znalazł, nie było nawet czasu, by o to spytać. Beverly zaczęła coś gadać o drodze ku świetlanej przyszłości, ale Heather na nią nawrzeszczała. Mniej więcej w tym samym tonie co ty, Wendy. Od razu widać, że uważałyście na zajęciach z polityki. Pewnie rzuciłaby się na nią z pięściami, gdyby nie rozpoczął się kataklizm.

Wendy przełknęła ślinę.

– Kataklizm? – spytała zdumiona, a potem przypomniała sobie, że Pratt przepada za eufemizmami.

– Przeźroczyści nie tracili czasu. Wiedzieli o nas o wiele więcej niż my o nich – westchnął i potrząsnął z furią głową. – Zamiast uganiać się za Heather, powinniśmy byli przyjrzeć się, czym są te szare ule, które niespodziewanie zaczęły powstawać na przedmieściach Marington. Webbster przeprowadził zwiad, ale zlekceważył zagrożenie. Ba, wyśmiał te ule na posiedzeniu Rady. Uznał, że wystarczy jeden strzał z bazooki, by toto rozwalić. Mieliśmy się tym zająć w przyszłym tygodniu, zaraz po... eee... przystosowaniu kolejnej porcji Odmienionych wyłapanych w lasach.

– Nie zwrócił uwagi na ten dziwny, wibrujący dźwięk, który niesie się wokół szarych kul? – spytała Wendy. Odruchowo chciała potrzeć skronie, ale jej ręce wciąż krępował kabel. Pratt zreflektował się i odwiązał ją, a potem odparł krótko:

– Nie, nie zwrócił. Może dlatego, że Webbster wysłał paru chłopaków, którzy... Cóż, mieli nieco uboższą świadomość.

– Innymi słowy: cyborgów. Których sami stworzyliście. – Wendy pokręciła głową z niedowierzaniem. Wstała, by rozprostować nogi i rozmasować nadgarstki.

– Tak, dziecko. – Pratt wydął wargi, spoglądając na jakąś plamę na ścianie. – Można rzec, że to wszystko nasza wina. Nie bój się powiedzieć tego na głos. Dobrze wiem, że sami sobie ściągnęliśmy ten los na głowy. Nie martw się, zapłaciliśmy za to słono. Przeźroczyści zaatakowali nas wszystkimi siłami.

– Heather... – wykrztusiła Wendy. – Heather pisała, że są drobni i delikatni.

– Heather nie wiedziała, że potrafią wydawać polecenia innym grupom Odmienionych. My również nie. Dowiedzieliśmy się tego dopiero, gdy się na nas zwalili. Rany boskie, dobrze, że tego nie widziałaś. Ludzie-nietoperze, ludzie-psy, ludzie-dziki, kolesie

przypominający Klingonów ze Star Treka, ale żółci, z dodatkową parą ramion, Chryste... Sam widziałem, jak któryś z nich pochwycił Beverly i nabił ją na stalowy pręt wystający ze ściany. Udało mi się uciec tylko dlatego, że miałem kilka granatów zaczepnych, które wykorzystałem w odpowiednim momencie, a gdy do ataku przystąpili sami Przeźroczyści, straciłem przytomność i wpadłem do jakiegoś dołu. Nikt mnie tam nie zauważył. Gdy się ocknąłem, było już po wszystkim. Rada i wszystkie jej dokonania przeszły do historii.

– A Heather i Nolan? – spytała poruszona Wendy.

– Nie widziałem ich – przyznał Pratt. – Było ogromne zamieszanie, pył, huk, wrzaski. Chłopaka żal mi nie będzie, bo nawet mnie napawał lękiem, ale mam nadzieję, że twojej koleżance nic się nie stało. Choć z drugiej strony...

Odwrócił głowę.

– Choć z drugiej strony co? – spytała zaniepokojona Wendy.

– Przeźroczyści dołożyli wszelkich starań, by nikogo nie zabić – rzekł Pratt martwym głosem. – Każdy człowiek, obojętnie: ranny czy ogłuszony, został zawleczony do tych ich szarych kuli. Jak myślisz, po co?

Wendy niespodziewanie uświadomiła sobie, że przez krótką chwilę na fotelu zmarzła na kość, a wokół jej i Pratta ust z każdym oddechem pojawiały się kłęby pary. Nadchodziła zima.

– Będą stanowić obfity, odurzony śpiewem, niepsujący się zapas żywności – odpowiedziała dziewczyna obcym, chrapliwym głosem. – To straszne. Heather...

– Tak – przerwał jej ostro Pratt. – Niewykluczone, że Heather również trafiła do jednej z ich spiżarni i nic na to nie poradzisz. Nic, absolutnie nic. Jeśli Dom pod Pękniętym Niebem nadal stoi, schowaj się tam i nigdy z niego nie wychodź.

– A ty? – wykrztusiła Wendy.

– Ja? – Pratt uśmiechnął się złowieszczo i odruchowo sięgnął po karabin. – Ja, dziecko, straciłem wszystko, co było dla mnie na tym świecie ważne. Dopóki się przemieszczam, Przeźroczyści nie mogą ustalić, gdzie jestem. Mam więc jeszcze parę okazji, by im przyłożyć.

Wendy rozejrzała się, jakby sama również poszukiwała broni. Jej wzrok padł na plecak, który Pratt zrzucił na podłogę obok fotela. Niespodziewanie do głowy przyszedł jej szalony pomysł. Podeszła do plecaka, wyciągnęła pamiętnik Heather, otworzyła go na odpowiedniej stronie i podsunęła Prattowi przed oczy.

– Nie wszystko straciłeś – szepnęła głosem drżącym ze wzruszenia. – Heather natknęła się na twoją żonę, Gordon. Ellen jest pod opieką dobrych ludzi.

Pratt wyrwał jej zeszyt z rąk. Czytał chciwie, blednąc i czerwieniejąc jednocześnie, aż osunął się na kolana. Gdy uniósł głowę, nie wyglądał już jak butny arogant, ba, nie przypominał nawet dorosłego. Wpatrywał się w Wendy załzawionymi oczami, a jego dłonie dygotały.

– Ona... – wykrztusił – ona żyje?

Wendy pokiwała głową.

– Boże, nie wiem, co powiedzieć – szeptał Gordon. – Skrzywdziłem ją w gniewie, porzuciłem... Czy myślisz... Czy ona przyjęłaby mnie z powrotem?

– Świat runął – mruknęła Wendy. – Dla niektórych z nas parokrotnie. Myślę, że każdy z nas odda wszystko, by móc odzyskać choć odrobinę dawnego świata. Jedź do tego Golden Leaves, Gordon. Może Ellen się przebudzi. Może uzyskasz jej przebaczenie. Musisz spróbować.

– Tak...

Pratt otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale jego uwagę przykuł szelest za oknem. Zerwał się ruchem szybkim jak myśl i obrócił karabin. Pamiętnik spadł na ziemię.

– Co się... – zaczęła Wendy. Odruchowo podniosła zeszyt i cofnęła się gwałtownie, gdy ujrzała zaniepokojoną twarz Pratta.

– Mówiłem ci, byś nie odzywała się głośniej – szepnął. – Dlaczego krzyczałaś?

– Ja... Zapomniałam się... – jęknęła przestraszona Wendy. – Czy, czy oni...

– Tak – parsknął Pratt i przybrał wygodniejszą pozycję, celując w ciemność. – Idą tu. Uciekaj, osłonię cię. Kryj się dobrze i poruszaj się najlepiej o świcie i wczesnym rankiem. Ludostwory wokół szarych kul, podobnie jak sami Przeźroczyści, są wówczas zupełnie nieaktywne! Aha, i jeszcze jedno. Dziękuję.

Wendy odruchowo wpakowała zeszyt do plecaka, odwróciła się i wybiegła na zewnątrz.

Wendy biegła w noc, ścigana krótkimi, oszczędnymi seriami z broni maszynowej. Liczyła je podświadomie i wiedziała, że kiedy się skończą, zniknie ostatnia przeszkoda między nią a potworami. Latarnie uliczne nie działały od chwili Końca Świata i okolicę zalewał nieprzenikniony mrok, zamieniając jej ucieczkę w koszmar. Wendy potykała się o szczeliny w jezdni, raz boleśnie uderzyła biodrem o karoserię rdzewiejącego samochodu, innym razem wywróciła się o hydrant i wpadła w starannie przystrzyżony, bezlistny, ale za to kolczasty krzak.

– Boże... – jęknęła, próbując się podnieść. Łokcie, kolana i skaleczony policzek paliły żywym ogniem. Odruchowo obejrzała się i dojrzała rozbłysk kilku wystrzałów. Suchym trzaskom tym razem towarzyszył nieziemski wrzask bólu.

„Jeden z nich dostał – pomyślała. – Ale ile jeszcze kryje się w ciemnościach?”.

Rozejrzała się dookoła. Nie miała pojęcia, dokąd uciekać.

Sekundy rozciągały się w wieczność. Nie było kolejnych serii.

– Czyżby Pratt im uległ? – szepnęła Wendy, podnosząc się powoli i poprawiając plecak. Brudną dłonią otarła oczy z krwi i łez. – Co ja narobiłam? Dokąd mam teraz iść?

Zdołała wyłuskać z torby kieszonkową latarkę, ale zanadto się bała, by ją włączyć. Przygarbiona, zdyszana, przerażona do granic ruszyła ostrożnie naprzód, nie przestając się rozglądać. Zewsząd otaczała ją upiorna cisza martwego miasteczka, wzbogacona szelestem zapomnianych foliowych siatek, świstem wiatru w nieprzymykanych od miesięcy oknach czy skrzypieniem huśtawki, na której nikt już nigdy nie usiądzie. Cisza zwiastująca wieczny niepokój.

Cisza, przerwana niespodziewanie miauknięciem kota.

Był malutki, nie większy od dwóch złączonych piąstek dziecka. Siedział na chodniku, otulając ogonkiem chude ciało. Patrzył na nią wielkimi oczkami i pomiaukiwał.

Wendy zatrzymała się jak wryta.

Przed Końcem Świata nie znosiła kotów. Z drugiej strony, prawdę powiedziawszy, tolerowała wówczas bardzo mało rzeczy. Nie cierpiała psów, starszych ludzi, dzieci, wszelkich przejawów religii, większości nauczycieli i każdego z uczniów Dale High, którego mogła bezkarnie obrażać, a całe wieczory spędzała na wypisywaniu złośliwych komentarzy na Twitterze i forach internetowych. Teraz jednakże ów mały kotek wydał jej się najsłodszą i najbardziej bezbronną istotką na świecie.

Zatrzymała się na kilka bezcennych sekund i nachyliła się, by go podnieść. Kotek bez wahania podbiegł do niej i z ufnością wspiął się na jej dłonie, drapiąc dziewczynę pazurkami.

– Chodź! – szepnęła. Niespodziewanie poczuła się silniejsza. – Mufka przyniosła szczęście Heather. Może ty przyniesiesz mnie?

Kieszeń jej kurtki wydawała się idealna, jakby uszyta specjalnie w tym celu. Wendy dopięła ją częściowo, obejrzała się i ruszyła naprzód szybkim krokiem. Teraz, gdy miała ze sobą małego towarzysza, ciemności nie wydawały się jej już takie straszne.

– Musimy znaleźć jakieś schronienie, wiesz? – szeptała do niego. – Gdzieś przeczekamy tę noc, a rankiem...

Nie miała pojęcia, co się wydarzy rankiem.

– A rankiem poszukamy Heather, bo...

Wspomnienie słów Pratta przygniotło ją z siłą lawiny.

– Bo ona na pewno żyje – dodała zduszonym głosem. – Bo jeśli jest inaczej, cała ta szalona wyprawa straci resztki sensu.

Szła przed siebie, nieatakowana przez nikogo, coraz odważniejsza i silniejsza. Kotek co chwila wysuwał łebek z kieszeni i miauczał cicho, a Wendy odruchowo głaskała go po główce, czując pokrzepienie. Wkrótce zapanowała nad lękiem do tego stopnia, że poczuła narastające znużenie. Ziewnęła głośno i rozejrzała się, a potem zebrała się na odwagę i włączyła latarkę.

Wąski snop światła wydobył z ciemności wielki szyld: „Timothy Pane, radca prawny. Kwestie spadkowe i podatkowe". Wendy uśmiechnęła się mimo woli.

– No proszę – mruknęła do kota, który wysunął łebek z kieszeni, zaintrygowany przestojem. – Pan Pane. Ten sam, którego mój stary nazywał oszustem, szmalożercą i pieprzonym dyletantem. Długo natomiast rozwodził się nad skórzanymi meblami w jego gabinecie. Co, kotku? Masz ochotę przespać się na kanapie kupionej za pieniądze ofiar systemu?

Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi willi i pchnęła je, a te ustąpiły bez wahania.

– Poza tym – zwróciła się do zwierzęcia, rozbawiona sytuacją – będziemy tam bezpieczni. Żadne stworzenie, nawet najgorszy ludostwór, nie zbliży się do miejsca, w którym kiedyś urzędował prawnik.

Kot miauknął głośno w odpowiedzi.

W świetle latarki Wendy widziała, że willa została splądrowana. Wielki telewizor plazmowy nadal tkwił na ścianie, podobnie jak ogromna wieża hi-fi, marzenie każdego melomana. Nic dziwnego – produkty elektroniczne po Końcu Świata stały się bezwartościowe.

Zniknęły natomiast fotele, stoły i dywany, czyli wszystko, co można było wykorzystać jako opał bądź ocieplenie.

Duża skórzana kanapa jednakże nadal królowała obok komody z wielkim, martwym akwarium, przypuszczalnie zbyt ciężka, by można było ją wynieść.

– Widzisz? – Wendy zwróciła się do kotka. – Nie ma to jak mieć kontakty w świecie prawniczym.

Nie mogła uwierzyć, że żartuje w ten sposób.

Machnęła ręką, podeszła do kanapy i opadła na nią z westchnieniem ulgi. Skóra zaskrzypiała lekko, a kotek wygramolił się z kieszeni i podskakując niezdarnie, ruszył w stronę komody z akwarium. Dziewczyna patrzyła, jak wspina się z mozołem po ustawionych tam książkach, a potem wsuwa pyszczek do akwarium i chłepcze mętną wodę.

Wendy przyglądała się temu z dziwną miną. Chciała znów zażartować i przyrównać swego towarzysza do polującego na ryby akwariowe Garfielda, ale niespodziewanie rozmowa z samą sobą wydała jej się głupia. Wtedy tknęło ją coś innego.

„Jak to możliwe, że woda nie wyschła?”.

Włączyła latarkę i podeszła do szklanego zbiornika. Wypełniająca go ciecz najprawdopodobniej była wodą, choć była pożółkła i zmętniała, a na jej powierzchni unosiły się białawe bąble. Kotek uniósł głowę i miauknął przeraźliwie.

– Co to jest? – szepnęła Wendy ze zgrozą.

Nie mogła się oprzeć i dotknęła jednego z bąbli krawędzią latarki. Spodziewała się, że okaże się twardy niczym unoszące się na wodzie jajko, ale jego powierzchnia była miękka, elastyczna, wręcz skórzasta. Kot miauknął jeszcze głośniej i trącił najbliższy z bąbli łapką.

– Chcesz, żebym to rozwaliła? – wychrypiała dziewczyna. – Chyba się nie zawaham.

Niespodziewanie zza akwarium dobiegło miauczenie innego kota. Wendy błyskawicznie skierowała w jego stronę snop światła i ujrzała wychudzonego, rudawego kocura, prężącego grzbiet i wpatrującego się w nią.

– Jest tu was więcej? – spróbowała zagadnąć pogodniejszym tonem, ale wtedy odezwał się trzeci kot, przyczajony przy progu. Zdumiona i wystraszona Wendy zauważyła, że miauczą w tej samej tonacji, coraz głośniej, niemalże rytmicznie. Cofnęła się i rozejrzała dookoła. Czuła się w tym miejscu coraz mniej pewnie.

– Światek prawniczy – burknęła niczym bohaterowie filmów akcji, usiłując w ten sposób dodać sobie nieco otuchy. Nie zadziałało.

Trzy koty jakimś cudem znalazły się przed drzwiami, gdzie dołączył do nich czwarty, zaniedbany, skudlony pers. Siedziały, tłukąc ogonami, i wpatrywały się w drzwi, miaucząc w tym samym rytmie, głośno, alarmująco. Co chwila oglądały się na nią, jakby... jakby...

„Jakby sprawdzały, czy wciąż tu jestem – uświadomiła sobie Wendy. – Czy nie uciekłam...".

Niewiele się zastanawiając, złapała plecak i rzuciła się do ucieczki. W kilku susach wpadła do kuchni, gdzie rozedrgany promień światła natrafił na okno. Wendy odkopnęła rudego kota, który znalazł się na jej drodze, a potem wyrwała z sieci mikrofalówkę i rzuciła nią w szybę.

Urządzenie odbiło się od szyby i z głośnym grzechotem upadło na podłogę.

„Byście widzieli, jak się urządził, skubaniec – odezwał się ojciec w jej głowie. – Baterie słoneczne na dachu, stół bilardowy, garaż na trzy samochody, okna antywłamaniowe. Gdybym wiedział, też poszedłbym w prawo spadkowe. Niech szlag trafi tego Pane'a".

Okna antywłamaniowe.

Przeklinając własną głupotę, Wendy złapała klamkę i zaczęła się z nią siłować, ale ta, najwyraźniej zastała, nie ustępowała ani o centymetr. Koty niespodziewanie przestały miauczeć.

Coś zachrobotało o drzwi wejściowe. Skrzypnęły zawiasy.

Wendy rzuciła się do tyłu i wbiła dłoń w plecak, gorączkowo szukając pistoletu. Potknęła się przy tym o roztrzaskaną kuchenkę mikrofalową, straciła równowagę i wpadła plecami na blat kuchenny. Jej łokieć zanurzył się w wodzie.

Spojrzała przez ramię. Zlew wypełniała woda, w której unosiły się bąble identyczne z tymi, które widziała w akwarium.

Wtedy rozległ się strzał.

Zapadła cisza, długa, drżąca, pełna strachu. Wendy zebrała się na odwagę i podkradła do framugi. Ujrzała drzwi otwarte szeroko i leżącą na progu postać, być może kiedyś człekokształtną, ale teraz przypominającą bardziej humanoidalnego płaza. Jego galaretowate ciało nadal lekko drżało, lecz nie przejawiało oznak życia.

Cztery koty, siedzące przy trupie, naraz odwróciły łby, spojrzały na Wendy i parsknęły z niewyobrażalną złowrogością.

Dziewczyna miała już tego dosyć. Rzuciła się do biegu, rozpraszając najeżone, parskające zwierzaki, przeskoczyła drżące cielsko i wypadła na dwór, nie dbając o to, co czeka na zewnątrz. Nie miała najmniejszego zamiaru dać się ponownie złapać w pułapkę.

Nie widziała strzelca, nie dbała zresztą o to. Wystarczyło jej, że zastrzelił ludostwora. Biegła jak szalona, wymachując pistoletem, ścigana wrzaskami rozwścieczonych kotów. Wydawało jej się, że pognały za nią. Strzeliła raz czy dwa w biegu, chcąc je spłoszyć. Świat rozbłysnął na ułamek sekundy i wtedy Wendy ujrzała kolejnego ludostwora.

Najwyraźniej zmierzał w kierunku rezydencji mecenasa Pane'a, ale na widok dziewczyny powoli skręcił w jej kierunku. Wendy

odruchowo smagnęła go snopem światła z latarki i natychmiast tego pożałowała. Odmieniony z pewnością był kiedyś człowiekiem, ale Koniec Świata odarł go z większości człowieczeństwa i zamienił w galaretowatą bryłę przypominającą rozedrganego, półprzejrzystego bałwana. Pamiątką po człowieku była jedynie bezkształtna, pozbawiona wszelkich rysów twarz oraz tępo zakończone odnóża, które ludostwór wyciągnął w stronę dziewczyny.

Wendy cofnęła się o krok, gotowa znów rzucić się do ucieczki, ale tym razem wszystkie bóstwa złośliwości sprzysięgły się przeciwko niej. Potknęła się o wybrzuszoną bruzdę asfaltu, zamachała rękami i runęła w tył. W ostatniej chwili ujrzała, jak ramiona ludostwora rozciągają się z ohydnym mlaskaniem i zmierzają ku niej niczym rozpędzone torpedy.

Skądś dobiegły pomruki uradowanych kotów.

Wendy nigdy nie przypuszczała, że w tak beznadziejnej sytuacji odnajdzie w sobie tyle odwagi i determinacji. Desperacko odtoczyła się na bok i błyskawicznie wyciągnęła broń, po czym, jak bohaterowie tanich filmów sensacyjnych, wciąż leżąc, wycelowała w ludostwora i nacisnęła spust. Pierwsze pociski minęły Odmienionego, ale trzeci oderwał fragment galarety, czwarty przeszył nieforemną głowę, a piąty utkwił w tułowiu.

Rozciągające się ramiona nadal mknęły ku dziewczynie.

Zatrzymały się kilkanaście centymetrów przed jej twarzą. Przez kilka sekund trwały niczym zamrożone strugi wody, a potem zaczęły topnieć i rozpływać się. Krople i bryzgi ściekały na spękany asfalt, wsiąkały w szczeliny, znikały, aż galaretowaty koszmar rozpłynął się całkowicie. Jedyną pamiątką po nim pozostał bezbrzeżny, szalony strach.

Trzęsąca się Wendy usiadła z trudem. Pistolet wysunął się z jej dłoni i z metalicznym trzaskiem spadł na nawierzchnię. Dziewczyna nie mogła uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło. Pomyślała,

by wsunąć dłoń w jedno z pęknięć, w których znikł stwór, ale zamiast tego cofnęła się jeszcze dalej.

Dopiero wtedy przyszło jej do głowy, by się rozejrzeć. Dostrzegła ruch w ciemnościach i machnęła w tym kierunku latarką, na szczęście wciąż całą.

W nadchodzącej postaci było coś znajomego. Skądś znała ów nonszalancki chód, dziwnie kontrastujący z przygarbionymi nieco ramionami oraz przekrzywienie głowy oznaczające skrajne zaskoczenie.

– Wendy? – spytał z niedowierzaniem Nolan.

– Co ty tu robisz? Co się z tobą działo? Jak tu trafiłaś? Czy z Domem wszystko w porządku? Są cali i zdrowi?

W chaotycznych pytaniach Nolana było tyle zaskoczenia i szczerej, autentycznej troski, że Wendy natychmiast zapomniała o ponurym wrażeniu, jakie po sobie pozostawił. Z niezrozumiałych przyczyn mało kto w Domu mu ufał i nikt poza Heather nigdy się do niego nie zbliżył, ale rozniosły się plotki o jego Darze i wielu mieszkańców powitało wieść o jego zniknięciu z dobrze skrywaną ulgą. Heather była ostatnią, która go widziała, ale nigdy nie powiedziała ani słowa o ich ostatniej rozmowie. Gdy ją o to pytano, w oczach dziewczyny pojawiała się mieszanina lęku i bólu. Szybko więc zaprzestano wypytywania, tym bardziej że w Domu zawsze było wiele bieżących spraw do załatwienia.

„Bieżących – pomyślała kwaśno Wendy, wpatrując się w twarz zdumionego chłopaka. – Nikt z tych baranów ani na moment nie pomyślał o przyszłości".

– Nie – szepnęła. – Nie, z Domem wszystko w porządku. A co do tego, co ja tu robię... To długa historia. Posłuchaj, czy...

– To ty mnie posłuchaj – przerwał jej Nolan. Mówił cichym, drapieżnym szeptem i spoglądał daleko ponad jej ramieniem, prosto

w mrok. – Słyszałem strzały, chyba z MP5. To ty?

– Nie. To Pratt.

Przez twarz Nolana przemknął złowrogi grymas.

– Sukinsyn. Zaczekaj tutaj.

Serdeczny, zatroskany znajomy z dawnych lat, którego widziała przed momentem, zniknął w jednej chwili. Teraz w blasku latarni widziała tylko zimnego, bezwzględnego zabójcę. Nolan chciał ją wyminąć i zagłębić się w ciemnościach, ale dziewczyna śmiało wyciągnęła rękę i złapała go za ramię.

– Co robisz? – syknął Nolan i chciał strząsnąć jej dłoń, ale Wendy zacisnęła palce z całej siły.

– Poczekaj – szepnęła błagalnie. – Co ty wyprawiasz?

– To nie twoja sprawa, Wendy! – warknął chłopak. – Pratt zesłał na nas ten cały bajzel! Ten człowiek to tykająca bomba, do cholery!

– Nie! – Wendy nie wiedziała, że ma w sobie tyle uporu. Jeszcze mocniej zacisnęła dłoń, zatrzymując chłopaka. – Nie – powiedziała ciszej, patrząc w jego skrzące, gniewne oczy. – Nie rób tego.

– A niby dlaczego? – parsknął ze złością Nolan. – Pojawiasz się nie wiadomo skąd i mówisz mi, co mam robić?

– On nie jest żadną tykającą bombą – powtórzyła z uporem Wendy. – Wejrzałam w jego serce i...

– Przestań wygadywać bzdury! – Nolan uwolnił rękę szarpnięciem. – To nie jest romansidło na kanale dla nastolatków! Pamiętasz, co ten człowiek ściągnął na Dom? Teraz zrobił to samo z Radą, do cholery! Jeśli ktoś go nie powstrzyma, gotów jest sprowadzić jeszcze więcej problemów!

– Chyba zapomniałeś, jakim dysponuję Darem, Nolan – syknęła Wendy złowrogo. O dziwo, nie bała się już wcale. – Nie żartowałam z tym sercem. Wejrzałam w jego serce i ujrzałam jego Dar w całej okazałości. On jest w pełni świadom, że potrafi ściągnąć śmierć i zniszczenie. Wie o tym Darze i bardzo się go boi. Nie użył go nigdy

od czasu wygnania z Domu. Zachował się jak skończony sukinsyn niejeden raz, ale nigdy nie użył Daru.

– Kłamiesz.

– Po co miałabym kłamać? – Dziewczyna przekrzywiła głowę. – By ocalić człowieka, który kiedyś zesłał zło na wszystkich ludzi, którzy mi pozostali? On już nie jest taki sam, Nolan. Zmienił się i... I chyba znalazł powód, by żyć. Ocalił mi życie, a ja... Cóż, mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

– Uciekł? – spytał krótko Nolan, zaciskając mocno usta.

– Tak. Jeśli cię to pocieszy, nieprędko go zobaczysz, jeżeli w ogóle. I na pewno już nikogo nie skrzywdzi.

Nolan odetchnął ciężko i ze świstem wypuścił powietrze, kręcąc głową ze zrezygnowaniem. Potem spojrzał na Wendy.

– Twój Dar mocno się rozwinął, z tego, co słyszę – bąknął niechętnie.

– Twój też. – Wendy popatrzyła wymownie na martwe ludostwory. Odruchowo skupiła się, by wejrzeć w głąb jego osoby, i z trudem się powstrzymała, by nie odskoczyć. Miała wrażenie, że włożyła głowę w kałużę smoły, lepkiej, żrącej i nieprawdopodobnie czarnej. Wnętrze Nolana tchnęło zimnem i cynizmem tak wielkim, że troska w jego głosie wydała jej się teraz niewiarygodnym złudzeniem.

Nolan najprawdopodobniej nie zauważył jej reakcji. Uśmiechnął się niechętnie, a Wendy jak przez mgłę usłyszała jego słowa:

– Żebyś wiedziała. Chodź, zaprowadzę cię do reszty.

Powinna się ucieszyć bądź choćby zapytać, o jakiej reszcie mówi, ale nie była w stanie. Zanadto przeraziło ją odkrycie sprzed chwili.

„To morderca. Prawdziwy morderca”.

Wędrowali przez resztę nocy. Wstrząśnięta Wendy ledwie zauważała okolicę, ale wiedziała, że przechodzili przez rozległy wiadukt kolejowy, a potem mijali opuszczone, szare fabryki i dziesiątki rdzewiejących ciężarówek. Ponownie szli przez las. Przez cały ten czas Nolan nie odezwał się ani słowem, ale raz po raz oglądał się, by sprawdzić, czy nadal za nim podąża.

Wendy wolała, by na nią nie patrzył. Odwracała wówczas głowę.

Przez całą drogę nie natknęli się na ani jednego ludostwora.

„Nic dziwnego – myślała Wendy. – Odmienieni na pewno dysponują jakimś szóstym zmysłem i wiedzą, że ten chłopak to chodząca śmierć. Cud, że drzewa nie więdną, gdy je mija. Boże, jak zimno...".

Czym bliżej świtu, tym temperatura bardziej spadała. Wokół ust dziewczyny gromadziły się obłoczki pary, a podeszwy butów z cichym chrzęstem miażdżyły oszroniałą trawę. Wendy otulała twarz szalem, ale niewiele pomagało. Mróz kąsał ją bez litości.

„Po co opuszczałam Dom?" – zapytała się po raz tysięczny. Za każdym razem czuła coraz większą rozpacz.

Było coraz widniej, niebo jaśniało, aż rozpromieniło się różem ku wielkiej uldze zmarzniętej dziewczyny. Nie zrobiło się wcale cieplej, ale w jej sercu pojawił się pierwszy cień nadziei.

„Może nie będzie tak źle" – pomyślała.

Wtedy, daleko wśród mgieł nad rozległymi polami, ujrzała szarą kopułę, podobną do gigantycznego grzyba. Widok ten, choć statyczny, przypomniał jej o zmaganiach opisanych przez Heather i Pratta. Nolan zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się ponuro.

– Najciemniej jest pod latarnią – mruknął i wskazał coś ręką.

Wendy zerknęła w tym kierunku i dostrzegła opuszczony, przydrożny motel z powybijanymi szybami i kilkoma samochodami rdzewiejącymi na parkingu. Nieczynny neon nad niewielką restauracyjką sugerował, że jego właściciel nazywał się Odo.

Dziewczyna zmrużyła oczy, nie wiedząc, na co patrzeć, gdy wtem dostrzegła jakiś ruch na dachu. Ubrany na szaro człowiek wynurzył się z gąszczu anten i wylotów wentylacyjnych. Pomachał do Nolana, a ten odpowiedział tym samym gestem.

– Co to za miejsce? – spytała Wendy, szczękając zębami.

– Nie wiem. – Chłopak wzruszył ramionami. – Nikomu nie chciało się wymyślić nazwy. Żyjemy tu i właściwie nikt nie wie po co. Gdy wejdziesz do środka, szybko zrozumiesz, dlaczego wyprawiłem się w pościg za Prattem.

Pierwsze wrażenia Wendy były jednakże zgoła odmienne. Znużona, wyczerpana i zziębnięta, nie zapamiętała ani przyjmujących ją ludzi, ani słów, które do niej powiedzieli. Zapamiętała tylko kubek słabej, gorzkiej, ale bardzo ciepłej herbaty, miskę parującej zupki instant i kilka twardych sucharów. Potem padła na turystyczne łóżko, wczołgała się do śpiwora i pozwoliła, by ogarnęły ją zbawcze, błogie ciemności.

Nie miała pojęcia, jak długo spała. Sen był mocny, twardy i niemalże całkowicie pozbawiony marzeń. Z pewnym zdziwieniem zarejestrowała głosy, początkowo ciche, ale z każdą chwilą coraz wyraźniejsze, powoli wdzierające się w jej spokój.

– Mówiłem ci, że to bez sensu – dowodził ktoś suchym, nieprzyjemnym głosem. – Uparłeś się jak ostatni idiota. Pratt nie jest niczemu winien.

– I co z tego? – parsknął złośliwie Nolan.

– I to z tego, że jesteś porąbany. Co by ci przyszło z tego, że ukatrupiłeś Pratta, co?

– A co ci do tego?

– Cóż, twoje pomysły to mój problem! – Rozmówca Nolana mówił teraz nieco ciszej, ale całkiem rozbudzona Wendy dobrze go słyszała. – Połowa z nas zna cię dobrze i boi się ciebie jak ognia. Druga połowa, która cię nie zna, ale słyszała plotki, boi się jeszcze bardziej. Wiesz, jak zareagowali ludzie na wieść o tym, że wybrałeś się, by zabić Pratta?

– Nikomu nic nie mówiłem.

– Yanni cię usłyszała.

– To powiedz Yanni, że w połowie drogi zrezygnowałem – żachnął się Nolan. – Że postanowiłem zostać dobrym człowiekiem, a na dowód tego przyprowadziłem niewinną dziewczynę, którą zresztą własnoręcznie uratowałem od niechybnej śmierci.

– A tak nawiasem mówiąc, kto to?

Zapadła chwila ciszy, zupełnie jakby Nolan zastanawiał się nad odpowiedzią. Wendy szybko zsunęła się z łóżka i podeszła do drzwi, które okazały się niedomknięte. Otworzyła je z cichym skrzypnięciem.

Trzy osoby, siedzące przy stole w piwnicy oświetlonej pojedynczą żarówką, odwróciły się jednocześnie. Jedną z nich był Nolan, drugą niski, łysy mężczyzna o azjatyckich rysach twarzy, a trzecią wysoka kobieta w średnim wieku z grzywką opadającą na oczy.

– Mam na imię Wendy – powiedziała dziewczyna. – I chyba muszę skorzystać z toalety.

Do toalety, którą okazał się niewyobrażalnie cuchnący dół wykopany na tyłach motelu, za rdzewiejącą ciężarówką z piekarni, zaprowadziła ją owa wysoka kobieta. W świetle dnia Wendy zauważyła, że jest okropnie chuda, a jej zbyt długie włosy są zaniedbane i przetłuszczone. Miała na sobie żakiet, spódniczkę do

kolan oraz pończochy, jakby usilnie próbowała udowodnić całemu światu, że nie uznaje jego końca i dalej chce żyć tak jak dawniej. Nie zmieniało to faktu, że jej strój był brudny i podarty, a w pończochach Wendy na pierwszy rzut oka naliczyła około siedmiu dziur.

– Rób, co do ciebie należy! – warknęła kobieta i spojrzała nerwowo w kierunku wielkiej kuli w oddali. Trwał piękny, odrobinę mroźny, ale słoneczny dzień, jeden z tych, które nawet największych ponuraków skłaniają do uśmiechu, ale kula uparcie pozostawała obrzydliwie szara. Wendy miała wrażenie, że wysysa z dnia wszelki blask. Wzdrygnęła się i odwróciła wzrok.

Powrót do salki, znajdującej się w podziemiach motelu, trwał zaledwie chwilę, ale Wendy dostrzegła kilka par oczu spoglądających na nią z półmroku innych pomieszczeń i usłyszała niepewne szepty. W powietrzu wisiał ciężki zapach wilgoci, taniego jedzenia i lęku.

„Boże, dokąd ja tym razem trafiłam?" – pomyślała Wendy, ale na widok Nolana, nadal siedzącego przy stole pod żarówką, nagle nabrała odwagi, tym bardziej że jego towarzysz, mężczyzna z azjatyckimi rysami twarzy, wstał i wyciągnął do niej rękę z przyjaznym uśmiechem na twarzy.

– Cześć, Wendy – powiedział. – Jestem Lee i Nolan zdążył mi opowiedzieć co nieco o tobie. Owa ponura pani to doktor Cameron. Przypuszczalnie nie ma imienia, bo by nam je podała. Witaj wśród niedobitków Rady Ocalenia Ludzkości.

– Dzień dobry – bąknęła Wendy, uścisnęła dłoń Lee i skinęła głową doktor Cameron, choć ta nie dała po sobie poznać, że w ogóle zwróciła na dziewczynę uwagę. – Dziękuję za schronienie, herbatę i... I za wszystko. Przykro mi, że wam nie wyszło.

Lee zaśmiał się sucho.

– Ano nie wyszło, i to wcale nie z powodu Pratta, jak twierdzi nasz młody przyjaciel Nolan. – Obrzucił przy tym chłopaka ostrym spojrzeniem. – Gordon w istocie dysponował potwornym wprost

Darem, ale nie ma powodu przypuszczać, że wykorzystał go przeciwko Radzie. Włożył mnóstwo trudu w odbudowanie cywilizacji wokół Marington. Nie wierzę, by chciał niszczyć własne dokonania.

Nolan wzruszył ramionami i wbił wzrok w plamę na ścianie piwnicy.

– Zgubiła nas nasza własna nieuwaga – ciągnął Lee. – Nie zwróciliśmy w ogóle uwagi na tych cholernych Przeźroczystych. Zarejestrowaliśmy ich obecność, ale nie wydawali nam się groźni.

– Wam nie wydawali się groźni – wtrąciła doktor Cameron, kładąc nacisk na pierwsze słowo. Wpatrywała się w pojedynczą ćmę, krążącą wokół żarówki.

– Tak, jasne. – Lee machnął ręką. – Zapomniałem powiedzieć, że pani Cameron jest biologiem i dzięki temu chyba jedyną osobą na świecie, której Koniec Świata przypadł do gustu. Pojawiło się bowiem tyle nowych form życia do badania, że...

– Nie drwij! – rzuciła ostrym tonem Cameron, odruchowo poprawiając żakiet. – Mówiłam, że powinniście szczególnie uważać na te formy, które zbudowały choć namiastkę życia społecznego, a wy wysłaliście tego barana Webbstera i jego zombie-żołnierzy, by...

– Dosyć – odezwał się Nolan, a jego oczy błysnęły niebezpiecznie. Tym dziwniej zabrzmiał jego głos, łagodny i spokojny: – Dlaczego opuściłaś Dom, Wendy?

„Dobre pytanie” – pomyślała z goryczą dziewczyna.

– Czuję, że zaraz zostanę wyśmiana – odezwała się, patrząc na złuszczony blat stołu. – I zresztą w pełni na to zasługuję, a więc nie będę niczego ukrywać. Uciekłam z Domu, ponieważ chciałam zrobić coś wartościowego. Coś dla świata i dla innych ludzi.

Odpowiedziała jej cisza. Żarówka cicho skwierczała, ćma tłukła skrzydełkami o szkło.

– Jakieś dwa tygodnie temu do Domu przyjechał szkolnym autobusem niejaki Frank, włóczęga i anarchista. Przywiózł ze sobą kilkanaścioro dzieci uratowanych przez siebie i Heather oraz wieści o tym, co działo się w Marington – mówiła dalej. Z jakiegoś niejasnego dla siebie powodu postanowiła zataić informację o pamiętniku. – Dowiedzieliśmy się o Radzie i o tym, jak to wokół Marington wyrasta na powrót cywilizacja amerykańska. Frank jednakże nie oszczędził nam żadnych szczegółów. Opowiedział, że na czele Rady stoi Pratt, człowiek, który kiedyś o mały włos nie zesłał zagłady na Dom. Opowiedział nam o Beverly, Webbsterze oraz Ramseyu, bezwzględnych ludziach, którzy mu pomagają.

– O mnie, jak rozumiem, ów Frank również powiedział? – wtrącił kpiąco Nolan.

Wendy uciekła spojrzeniem w bok.

– Tak – powiedziała. – To wystarczyło, by wszystkich przerazić. Jeżeli ktoś z nas w ogóle marzył o tym, by wróciły dawne czasy, na pewno nie miał ochoty znaleźć się w świecie rządzonym przez ludzi tak okrutnych i bezwzględnych, nawet jeśli mieliby kiedyś odbudować restauracje hamburgerowe i przywrócić działanie Internetu. Casey i Barry uznali, że jakiekolwiek kontakty z Marington rozmijają się z sensem i mogą zagrażać Domowi. Byłam innego zdania. Ów Frank wydał mi się strasznym tchórzem. Opowiadał o tych okropnościach z ogromnym przejęciem, jakby postanowił przerazić wszystkich do tego stopnia, by myśl o wyjeździe do Marington nigdy nikomu nie przyszła do głowy. Ja odkryłam jednak, że skoro Heather postanowiła do was dołączyć, Rada nie może być grupą do końca złą. Spytałam Franka, dlaczego Heather tak postąpiła. W odpowiedzi bąknął coś niezrozumiale i odszedł, kręcąc głową. Utwierdziło mnie to tylko w przekonaniu, że ona robi coś słusznego, coś, co ma sens i służy ogółowi. Heather budowała przyszłość, a ja? Ja szorowałam gary wraz z Jane, rąbałam drewno na opał i obijałam styropianem nową chatę mieszkalną. Czułam, że

marnuję swój czas. Ubrdałam sobie więc, że odnajdę Heather i dołączę do niej, by ją wesprzeć i pokrzepić na duchu. Wyobrażałam sobie, z jaką radością mnie powita. Myślałam, że...

Wendy przełknęła ślinę, zduszona napływem emocji. Otarła oczy i kontynuowała.

– Żeby nie przedłużać: postanowiłam uciec z Domu. Dołączyłam do patrolu, który miał na celu odnalezienie jakiegoś zaginionego człowieka, i oddzieliłam się od niego w chwili, gdy byłam najbliżej miasta. Po drodze mogłam zginąć jakieś trzy, cztery razy. Przeżyłam tylko dzięki Prattowi i Nolanowi, a Heather, jak sądzę, w niczym już nie pomogę.

– Nie – odparł chrapliwym głosem Nolan. – Nie pomożesz. Niestety, rada została zaatakowana jakiś kwadrans po tym, jak ją przyprowadziłem do naszej kwatery głównej. Do tej pory jej nie odnalazłem.

Zmrużył oczy. Ćma, latająca wokół żarówki, przestała trzepotać skrzydełkami i martwa upadła na blat stołu.

Zapadał zmrok. Słońce skryło się za dachami odległych willi i bezlistnymi drzewami w pobliskim parku miejskim, pozostawiając po sobie rozlany gdzieniegdzie róż. Na niebie migotały tu i ówdzie pierwsze gwiazdy, ale Wendy widziała tylko szarą kulę w oddali. Usadowiła się wygodniej między literami nieczynnego neonu i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Pewnie myślisz, że jestem... – zaczęła, ale stojący obok niej Nolan parsknął głośno.

– Przestań. Naprawdę, Wendy, przestań. Myślisz, że po tym wszystkim, przez co tu przeszliśmy, jestem w stanie skupić się na czyichś dylematach moralnych?

Dziewczyna przełknęła gorzką pigułkę i pokiwała głową, odwracając na moment spojrzenie.

– Nie – powiedziała zduszonym głosem. – Przepraszam.

Nolan machnął niecierpliwie dłonią, jakby nie miał czasu i ochoty na podobne gesty czy słowa. Odwrócił się, by zapalić papierosa. Na moment jego twarz znikła wśród kłębów dymu, a gdy znów spojrzał na dziewczynę, wydawał się kimś zupełnie innym, niż go zapamiętała. Przelotne uczucie bliskości, które poczuła w chwili pierwszego spotkania, znikło bezpowrotnie. Miała przed sobą odartego z wszelkich uczuć, bezwzględnego młodego człowieka.

Tym większe było jej zdziwienie, gdy się odezwał:

– Wiesz, dlaczego chciałem zabić Pratta?

Wendy pokręciła głową.

– Nie chciałem. Tak naprawdę argumenty Lee są słuszne. W głębi serca czułem, że ten facet nie jest odpowiedzialny za upadek Rady, i pewnie dlatego tak łatwo dałem ci się namówić do przybycia tutaj. Ja... Ja po prostu chciałem się stąd wyrwać. To miejsce to prawdziwy koniec świata. Tu gnije reszta tego, co zbudowaliśmy przez ostatnie kilka miesięcy.

– Widziałam wielu ludzi w tych piwnicach – wykrztusiła Wendy. – Kim oni są?

– Nie wiem. – Nolan wzruszył ramionami. – To ci, którym udało się przetrwać najpierw ten właściwy Koniec Świata, a później ów drugi, nieco mniej spektakularny. Lee to społecznik. Prowadził kiedyś schronisko dla bezdomnych, kuchnię dla bezrobotnych, jakąś fundację nawet... Szczegółów nie znam. Po upadku Rady skupił się na ściąganiu wszystkich ocalałych w jedno miejsce. Zapewnił im posiłki, koce, ciepłą odzież i inne takie. Robił to, co umiał, i trudno mu się dziwić. W takich chwilach człowiek musi czymś się zająć, inaczej zwariuje.

Urwał gwałtownie, jakby nie chciał dopowiedzieć jednej myśli, ale Wendy od razu domyśliła się, o co mu chodzi.

– Ty właśnie nie miałeś czym się zająć, prawda? Dlatego postanowiłeś odnaleźć Pratta?

Nolan prychnął wzgardliwie i skinął głową, a potem zaciągnął się zapomnianym papierosem.

– Lee organizował swoje nowe schronisko, Cameron badała nowe formy życia, a ja? Cholera, w Radzie byłem prawą ręką Webbstera. Człowiekiem od naprawdę brudnej roboty, Wendy. Nie byłem jakoś w stanie odnaleźć się w roli człowieka, który pierze koce i robi herbatę. Nikt z tych ludzi nie ma pomysłu na przyszłość. Nikt nie wie, co począć. Wszyscy skupiają się na chwili obecnej. Zależy im na tym, by coś zjeść, wypić, powspominać, popłakać wspólnie i zasnąć pod ciepłym kocem. Oszaleć można.

– A ty? – spytała Wendy. – Masz jakiś pomysł na przyszłość? Poza wyszukiwaniem kozłów ofiarnych?

– Nie. – Nolan odwrócił głowę. – Dlatego żałuję, że nie uciekłaś z Domu wraz ze swoim bratem. Marcus na pewno by coś wykombinował.

Wendy poczuła nagłe ukłucie żalu i tęsknoty. Szarą kulę na horyzoncie rozmazały niespodziewanie zdradzieckie łzy.

„Ja też tego żałuję” – pomyślała, a potem odkaszlnęła i powiedziała na głos:

– Może nam też uda się coś wykombinować.

– Proszę bardzo! – Nolan machnął ręką w kierunku kuli. – Przeźroczyści stworzyli przynajmniej sześć siedzib tych rozmiarów i prawdopodobnie wiele pomniejszych. Ich śpiew z początku irytuje, potem odrętwia, a na końcu paraliżuje. Oczywiście można próbować zbliżyć się do nich w słuchawkach, ale Przeźroczyści wiedzą już, że to ich słabość, i rozciągnęli telepatyczną władzę nad wieloma sforami ludostworów, które służą im w zamian za schronienie na

zimę oraz pożywienie. Dlaczego nie rozwalimy tych cholernych purchawek z daleka? Ano właśnie ze względu na owo pożywienie, którymi są pochwyceni, uśpieni i wciśnięci w ściany ludzie. W którejś z tych kul siedzi Heather, Wendy. Jestem tego pewien. Złapali ją i trzymają tam, sukinsyny!

W jego słowach pojawiła się osobliwa, niespotykana nuta. Wendy spojrzała na chłopaka i ujrzała, jak jego oczy pociemniały z nienawiści i gniewu, ale głos zadrżał pod wpływem zupełnie innych emocji. Patrzył teraz prosto na nią i uśmiechał się szyderczo.

– No, Wendy, proszę. Wymyśl jakieś rozwiązanie. Zaradź coś.

Dziewczyna odwróciła głowę. Patrzyła tam, skąd przybyła, gdzie wśród coraz głębszych ciemności kryły się Misty Heights, a wśród nich Dom pod Pękniętym Niebem.

– Chcesz wyładować swój gniew na mnie? – spytała, wstając. – Proszę bardzo. Jeśli ma ci to w czymś pomóc, nie krępuj się. Ja też tęsknię za moim bratem, ale nie sądzę, by udało mu się coś wymyślić w tej konkretnej sytuacji. Ja jednakże spróbuję.

– Wydaje ci się, że znajdziesz sposób na pokonanie największego wroga, jaki kiedykolwiek zagrażał ludzkości? – spytał kpiąco Nolan.

– Nie wiem, czy znajdę. – Wendy zmierzała już w kierunku drabinki prowadzącej na dół. – Powiedziałam, że spróbuję. To, że tu dotarłam, jest wielkim cudem. Może doczekamy się jeszcze jednego. A skoro o tym mowa, dziękuję ci za ten strzał.

– Za jaki strzał? – Nolan otworzył szeroko oczy.

– No, wtedy na ulicy, gdy ścigały mnie te ludostwory. Tuż przed tym, zanim się pojawiłeś.

Chłopak pokręcił lekko głową.

– Pamiętam, że słyszałem wystrzał – rzekł. – Ale na pewno to nie ja pociągnąłem za spust.

– A więc kto?

– Nie wiem. Wygląda na to, że masz uzbrojonego po zęby anioła stróża.

W zaciszu niewielkiego pokoiku, który Lee pozwolił jej zatrzymać, Wendy miała mnóstwo czasu do namysłu. Przypomniała sobie podobny strzał, który ocalił jej życie podczas pierwszego etapu ucieczki, jeszcze w lesie. Była wówczas przekonana, że oddał go Parker lub ewentualnie Joy, i nie poświęciła mu wiele uwagi. Teraz sytuacja się powtórzyła. Czyżby miała do czynienia z niezwykłym zbiegiem okoliczności?

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia – szepnęła. – I może nigdy się tego nie dowiem. Lepiej chyba zająć się innymi rzeczami.

Wyciągnęła z torby sfatygowany nieco pamiętnik Heather oraz niewielką lampkę na baterię. Wertowanie stron zapisanych przez zaginioną przyjaciółkę przynosiło jej ukojenie, a czasami podsuwało nowe rozwiązania. Wendy miała nadzieję, że tym razem będzie podobnie, ale znużenie nie pozwoliło jej na dłuższą lekturę.

Ostatkiem siły woli wyłączyła lampkę i zamknęła pamiętnik. Tuż przed tym, jak ogarnął ją sen, odniosła wrażenie, że być może wie, co należy w tej sytuacji począć.

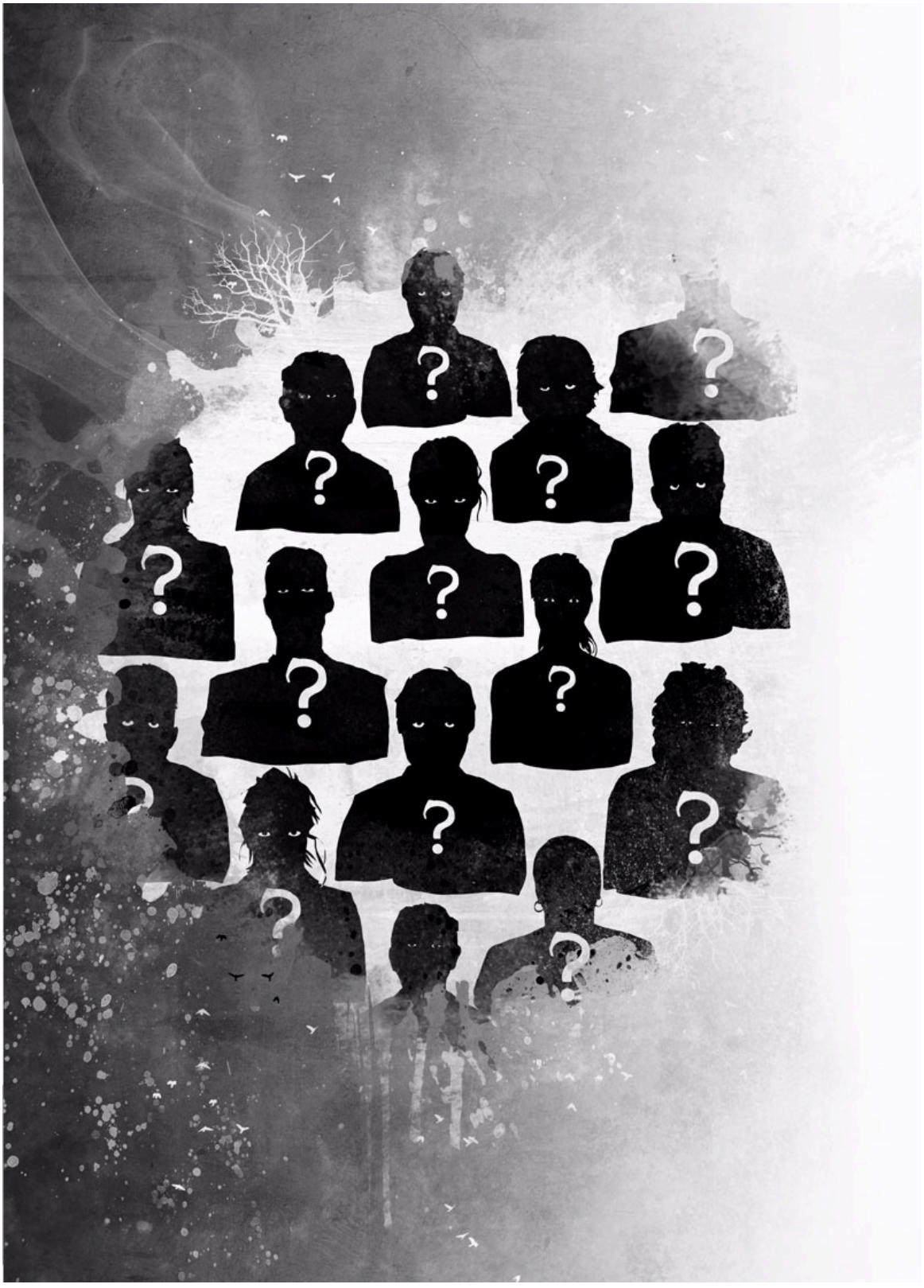

Brązowe oczy dziewczynki były szeroko otwarte. Matka nerwowym gestem odsunęła jej włosy z czoła i zapytała o coś stojącego za nią Nolana, niespokojnie zerkając przy tym na Wendy. Dziewczyna była przekonana, że chłopak wzruszył ramionami, gdyż kobieta znów spojrzała na nią i ponowiła pytanie. Nie usłyszała jednak słów. Była skupiona na czymś zupełnie innym.

„Nic. Nic. Jak to możliwe? Hej, zaraz, zaraz, chyba coś mam".

Zamknęła oczy, zacisnęła dłonie i wsunęła skupione myśli do umysłu dziecka, a te natychmiast się po nim rozbiegły, węsząc i szukając. Po chwili na twarzy Wendy pojawił się uśmiech.

„Zimno. Ta mała boi się zimna. Nie wiem, gdzie przebywała w dniu Końca Świata, ale musiało być to niezmiernie zimne miejsce. Jej Dar to... Tak, teraz już mam pewność".

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do zaniepokojonej kobiety.

– Proszę się nie obawiać – powiedziała do niej cicho. – Pani córka ma wspaniały Dar. Będzie umiała wywołać w sobie ciepło, tyle, ile sobie zażyczy.

Kobieta wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę? – wykrztusiła. – Jak to możliwe?

– Sama nie wiem – przyznała szczerze Wendy. – Wszyscy z nas, którzy przetrwali Koniec Świata i nie stali się Odmienionymi, wykształcili w sobie Dary, zazwyczaj w jakiś sposób związane z sytuacją, w jakiej się w tamtej chwili znaleźli. O czym marzyła pani następnego dnia po tym, jak wszystko stanęło na głowie?

– Nasz samochód zepsuł się gdzieś na totalnym odludziu – powiedziała kobieta. – Próbowałam wezwać przez telefon pomoc drogową, ale w pewnym momencie skończył się zasięg. W tej samej chwili zaczęły wyć kojoty i jakieś inne stworzenia. Schowałyśmy się z Francis do samochodu, nakryłyśmy się kocem i jakoś dotrwałyśmy do rana. O czym marzyłam? Chyba tylko o tym, by nic się nie stało małej.

Wendy skupiła się i wejrzała do jej umysłu. Wystarczyła chwila, by potwierdziły się jej przypuszczenia.

– I nic jej nie będzie – powiedziała z uśmiechem. – Pod warunkiem, że nigdy się nie rozstaniecie.

Kobieta pokiwała z wdzięcznością głową i przytuliła Wendy, która, nieco zaskoczona, niezgrabnie odwzajemniła gest. Potem pożegnała się z nią i z jej córką i pospiesznie wyszła z ich pokoiku.

„Wciąż nie to”.

– To serio jest takie proste? – spytał Nolan.

– Co? – odpowiedziała dziewczyna, wyrwana z zadumy.

– No, ten twój Dar. Patrzysz na kogoś i wiesz, co potrafi?

– Nie. To nie jest takie proste – ucięła Wendy. Nie miała ochoty o tym rozmawiać.

– A co się dzieje, gdy zaglądasz do mojego umysłu? Co widzisz?

„Chyba nawet ty nie chcesz tego wiedzieć” – pomyślała Wendy i bez słowa weszła do kolejnego pomieszczenia. Przy niewielkiej, ledwie żarzącej się żaróweczce siedział młody mężczyzna i wpatrywał się z przejęciem we fragmenty suszarki do włosów, ułożone na turystycznym stoliku przed nim.

– Dzień dobry – powiedziała dziewczyna. Nieznajomy uniósł głowę i spojrzał na nią bez słowa.

– To Greg – rzekł Nolan z ledwie wyczuwalną drwiną w głosie. – Chyba Greg, nie mam pewności. Nie bierz tego do siebie. On na ogół mało mówi.

– Cześć, Greg. Mam na imię Wendy i jeśli nie masz nic przeciwko temu, spędzę tu chwilę – powiedziała ostrożnie dziewczyna. – Czy wiesz może, jakim Darem dysponujesz?

Greg wpatrywał się w nią w milczeniu. Nolan – tym razem była tego pewna – przewrócił oczami.

– OK, skoro nie chcesz mówić, to nie mów. – Wendy uśmiechnęła się sztucznie i skupiła myśli. – Zaraz sobie stąd pójdę i będziesz mógł zająć się swoimi sprawami...

Wytężyła umysł, ale bez skutku. Miała wrażenie, że jej myśli, zamiast wniknąć do wnętrza umysłu Grega, spływają po nim niczym strużki wody po chłodnej skale. Próbowała ze wszystkich sił, ale Dar młodego mężczyzny pozostawał ukryty, niczym za żelaznymi drzwiami. Gdy wreszcie otworzyła oczy, ujrzała, jak ten nadal się w nią wpatruje. W jego wzroku nie było ani iskry zrozumienia.

– Może powinienem był ci powiedzieć, że Greg – o ile to Greg – oraz paru innych członków naszej małej społeczności to przetransformowani Odmienieni – rzekł Nolan. – Jeśli nie stwierdziłaś u niego żadnego życia emocjonalnego, stało się tak dlatego, że pewnie go tam nie ma. To żywe trupy, Wendy. Świetnie nadają się do wykonywania wyraźnie przekazanych poleceń, ale na tym koniec.

Wendy przypomniała sobie właściwy ustęp z pamiętnika Heather i pokiwała głową.

– Kto... – zaczęła szeptem, ale zawahała się, nie wiedząc, jak ująć to pytanie. – Kto ich tworzył?

– Pewien smutny facet o nazwisku Yvienne – odparł Nolan. – Dylan Yvienne, jeśli dobrze kojarzę. Odrażający typ, a do tego jeszcze Francuz. Zaginął podczas ataku. Nie mam pojęcia, co się z nim stało, i jakoś nie czułem potrzeby, by go szukać.

Wendy pokręciła głową, nie mogąc się otrząsnąć po spotkaniu z umysłem Grega.

– Będę ci wdzięczna, jeśli następnym razem powiesz mi, że mam do czynienia z kimś takim – rzekła i wyszła z pomieszczenia.

Po kilku godzinach wnikania w ludzkie umysły Wendy była wyczerpana i sfrustrowana jak nigdy wcześniej. Na szczęście na pierwszy plan wysunął się wściekły głód i dziewczyna postanowiła, że przemyśli wyniki swoich badań dopiero po tym, jak coś zje. Po korytarzach pod motelem niosły się już smakowite zapachy z suszarni przerobionej na kuchnię. Wendy chciała udać się w ślad za pozostałymi członkami społeczności, którzy z miskami, talerzami i menażkami zmierzali do jadłodajni, ale Nolan złapał ją za rękaw.

– Chodź za mną – powiedział nieco cieplej niż dotychczas.

Wkrótce znaleźli się w niewielkim pokoju, gdzie dziewczyna po raz pierwszy spotkała Lee oraz Cameron. Żarówka nadal skwierczała cichutko, a martwa ćma wciąż spoczywała na blacie zakurzonego stołu. Krzesło, przesuwane przez Nolana, zaszurało na betonowej podłodze.

– Lee na razie króluje w kuchni, ale zaraz przyniesie nam coś do jedzenia – powiedział. – Robi tak co wieczór. Musisz tylko zdobyć się na jeszcze odrobinę cierpliwości.

Wendy nie miała pojęcia, że jest aż tak głodna. Zaczerwieniła się, gdy głośno zaburczało jej w brzuchu, ale Nolan, wpatrzony w ciemny kąt, w ogóle nie zareagował. Miała wrażenie, że czeka

całą wieczność, gdy nagle otworzyły się drzwi i do środka wtoczył się Lee, owiany smakowitymi zapachami. W rękach trzymał dwa talerze z makaronem.

– Smacznego! – powiedział, stawiając je przed nimi. – Przepraszam, że tak długo to trwało, ale ludzie są bardzo ożywieni. Pytają, skąd pochodzisz i skąd tyle wiesz o ich Darach.

Wendy wzruszyła ramionami, całkowicie pochłonięta jedzeniem. W ogóle nie przejmowała się tym, że makaron był o wiele za gorący i nieco rozgotowany. Dopiero gdy opróżniła swój talerz i otarła usta chusteczką, zauważyła, że Lee przez cały czas wpatruje się w nią z dobrotliwym uśmiechem.

– Bardzo dobre – przyznała, a potem przypomniała sobie o jego pytaniu. – Nie wiem, skąd się bierze ta wiedza. Każdy z nas wykształcił w sobie inny Dar. Ja...

Zawahała się, a potem uśmiechnęła się nieśmiało.

– Ja zawsze byłam bardzo wścibska. Chciałam wszystko o wszystkim wiedzieć i być może dlatego mój Dar to umiejętność rozpoznawania Darów innych ludzi.

– A wiesz, na czym polega mój? – Lee uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Wendy odruchowo zajrzała do jego umysłu, ale nie było to konieczne. Skądś znała odpowiedź.

– Zawsze wiesz, gdzie szukać wody, pożywienia i ciepłego schronienia, gdy inni są w potrzebie – odparła. – Nie sądzę, byś o tym nie wiedział.

– Wiem – westchnął Lee. – Użyteczna umiejętność.

– Akurat – mruknął Nolan ledwie słyszalnym głosem. Jeśli Lee pochwycił jego uwagę, nie dał tego po sobie w żaden sposób poznać. – Czy natrafiłaś na jakieś inne pożyteczne umiejętności, Wendy? – spytał głośno, udając zainteresowanie.

„Szlag by cię trafił” – pomyślała dziewczyna, czując, jak powraca jej rozczarowanie.

– Wiele Darów jest typowych – powiedziała. – Żaden ze mnie psycholog, ale wydaje mi się, że wynikają z naturalnych pragnień i lęków. Kilka osób widzi w ciemnościach. Inne potrafią uruchomić samochód siłą woli, dotykiem zatrzymać rozwój dziecięcej choroby bądź ukoić rozpacz. Jeden człowiek umie rozpalić ogień samym tylko wzrokiem.

„Nic godnego uwagi. Nic. Nikt z nich nie ma Daru, który pomógłby pokonać Przeźroczystych bądź wedrzeć się do szarej kuli i uwolnić Heather. Totalna porażka”.

– Wendy?

Głos Lee dobiegał z wielkiej oddali i minęła dłuższa chwila, nim dziewczyna uświadomiła sobie, że gospodarz przytułku usiłuje jej coś powiedzieć. Odepchnęła nieprzyjemne myśli i skupiła się na wyjadaniu resztek z talerza. W tej samej chwili w korytarzu na zewnątrz rozległo się rytmiczne, coraz głośniejsze stukanie obcasów, a potem skrzypnęły drzwi i do środka weszła Cameron. Wydawała się sztywna i oschła jak zwykle, ale Wendy, ku swemu ogromnemu zdziwieniu, miała wrażenie, że w jej wzroku dostrzega odrobinę lęku.

– Dobry wieczór – powiedziała, wpatrując się w dziewczynę. – Czym się zakończyły dzisiejsze badania, Wendy? Czy zdiagnozowałaś wszystkie Dary?

Lee westchnął ciężko i pokręcił głową, a Nolan zachichotał cicho. Obaj najwyraźniej nie dostrzegli niczego osobliwego w zachowaniu biolożki. Jedynie Wendy miała wrażenie, że w jej słowach kryje się coś jeszcze, jakaś wiadomość przeznaczona tylko dla niej.

Wiadomość? A może ostrzeżenie?

– Moim nie musisz się zajmować. – Machnęła ręką ze sztuczną nonszalancją. – Wykształciłam w sobie narzędzie, które z jednej strony jest wielką pomocą dla każdego naukowca, a z drugiej

przekleństwem. Potrafię bowiem wniknąć w naturę każdego Odmienionego i bezbłędnie opisać jego tryb życia, rodzaj preferowanego pokarmu, sposób rozmnażania się i inne cechy gatunkowe. Wydawać by się mogło, że to niezwykły talent, ale w świecie nauki zostałabym wyśmiana. Któż polegałby bowiem na magii, intuicji czy jakimkolwiek innym nienaukowym sposobie dochodzenia do prawdy?

Zaśmiała się sucho, ale jej oczy pozostawały poważne. Śmiertelnie poważne.

„Tak – zrozumiała Wendy. – To ostrzeżenie".

Coś w jej duchu krzyknęło, by tego nie robiła, ale dziewczyna skupiła myśli i wniknęła do umysłu Cameron. Natychmiast oblepił ją mrok, równie przerażający jak ten, który rozlał się w duszy Nolana, ale innego rodzaju, o wiele bardziej złowieszczy, nadnaturalny, zimny niczym kraina lodu. Mimo to Wendy uparcie brnęła naprzód, aż dotarła do sedna.

Poznała prawdziwy Dar Cameron.

Z trudem powstrzymała okrzyk przestrachu. Szeroko otwartymi oczami popatrzyła na biolożkę, wciąż śmiertelnie poważną.

„Ani słowa" – mówił jej wzrok.

Wendy przełknęła ślinę i spojrzała na pozostałych, ale nikt nie dostrzegł jej chwili słabości. Nolan, ostentacyjnie ignorując Cameron, czyścił paznokcie nożem, a Lee zbierał talerze.

– W świecie nauki – odezwał się niespodziewanie chłopak. – Chciałbym nadmienić, pani profesor, że ten świat już nie istnieje. Podobnie jak każdy inny.

– Istnieje. Dopóki ja żyję – odparła Cameron i uśmiechnęła się zagadkowo. Spojrzała przy tym na Wendy, która jako jedyna w pokoju zrozumiała jej minę. – I całe szczęście, młody człowieku, że istnieje – kontynuowała suchym, nieprzyjemnym głosem wykładowcy uniwersyteckiego. Uniosła przy tym rękę, jakby chciała

poprawić okulary, ale w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że dawno je straciła. Otrzepała brzeg przybrudzonej spódniczki i zwróciła uwagę na Lee.

– Chciałabym podzielić się z wami moim ostatnim odkryciem – dodała.

Istota przypominała rozgwiazdę o bardzo nieregularnych ramionach. Wisiała na wysokości ludzkiej głowy w korytarzu, tuż obok przerdzewiałych rur i nieczynnej lampy. Wendy uznałaby stworzenie za zwykłe przebarwienie na brudnych, niedbale pomalowanych ścianach, gdyby nie jeden niepokojący szczegół – para malutkich, łypiących naokoło oczek.

Więcej nie udało jej się dostrzec, bo Cameron złapała ją za ramię i mocnym szarpnięciem wciągnęła do pokoju, w którym znajdowali się już Nolan i Lee.

– Dostrzegłam jeszcze trzy – wyjaśniła szeptem biolożka. – Jedna jest przy wejściu do motelu, zamaskowana krzakiem bukszpanu. Druga przy jadłodajni. Trzecia na południowej ścianie, naprzeciwko głównej drogi.

– Bardzo ładne – rzucił wściekle Nolan. – Idę po drabinę. Ściągnę pani jedną. Będzie jak znalazł na święta.

– Stój. – Ostre syknięcie Cameron zatrzymało chłopaka w pół kroku. – I nie mów tak głośno. Na pierwszy rzut oka istota nie ma uszu, ale to nie oznacza, że niczego nie słyszy. Nie możemy wykluczyć tej teorii.

– No i co z tego, że słyszy? – Nolan wzruszył ramionami.

– Niczego nie rozumiesz? – Cameron zmarszczyła brwi. – To żywa pluskwa. Organizm, który śledzi nasze życie i w jakiś niezrozumiały

dla mnie sposób przekazuje informacje komuś innemu. Postawiłabym na Przeźroczystych.

– Dalej nie wiem, co z tego dla nas wynika – ciągnął Nolan.

Lee potrząsnął głową. Nie wiadomo, co zaskoczyło go bardziej – rewelacje biolożki czy może nastawienie Nolana.

– Chcesz powiedzieć, że nasz motel jest obserwowany przez tych łotrów? – Jego drżący palec wskazał kierunek, w którym znajdowała się szara kula. – Że wiedzą o naszym istnieniu?

– Byłoby naprawdę dziwne, gdyby nie wiedzieli – rzekł Nolan. – Dodajesz tyle curry i pieprzu do potraw, że wywąchaliby twoją garkuchnię ze stu mil, a co dopiero z dziesięciu.

Cameron zignorowała go i spojrzała na zatroskanego Lee.

– Nie powinieneś się przejmować – rzekła. – Gdyby Przeźroczyści chcieli nas zniszczyć, już dawno by to zrobili. Tymczasem chcą wiedzieć, co robimy. Najwyraźniej są czymś bardzo zajęci albo nie uważają nas za zagrożenie. Przynajmniej na razie.

– Coś powinniśmy z tym zrobić! – rzekł Lee. Nadal kręcił głową z niedowierzaniem.

– Zostawmy je tam, gdzie są – powiedziała Cameron. – Niech Przeźroczyści sądzą, że niczego nie zauważyliśmy. Przekaż wszystkim, by ich nie ruszali.

– Doskonały pomysł. – Nolan uśmiechnął się szeroko, choć w jego oczach nie było ani odrobiny wesołości. – Zobaczysz, jeszcze się z nimi zaprzyjaźnimy.

Cameron odwróciła się ku chłopakowi z szybkością, która zaskoczyła nawet jego samego. W jej oczach błysnął gniew.

– O co ci chodzi, młody człowieku? – warknęła, odsłaniając idealnie białe zęby. – Ta społeczność chce przetrwać, a ja próbuję w tym pomóc. Skoro sam nie masz pojęcia, jak to robić, przynajmniej nie przeszkadzaj!

– Chcecie przetrwać? – Nolan spoważniał. – A po co?

Cofnął się, kręcąc z niedowierzaniem głową, a potem odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia. Wendy wyjrzała w ślad za nim i patrzyła przez moment, jak niespiesznym krokiem idzie korytarzem i pozdrawia łypiącą naokoło rozgwiazdę obelżywym gestem. Jej myśli znów gwałtownie przyspieszyły, gdy przypomniała sobie ich rozmowę na dachu. Jego ostatnie dwa zdania rozbrzmiewały echem w jej głowie.

„Chcecie przetrwać? A po co?".

„No właśnie, po co mamy przetrwać? – pomyślała. – By żyć z dnia na dzień w tej wilgotnej piwnicy? By wyżerać resztki po upadku cywilizacji? By dożyć chwili, kiedy nawet napakowana konserwantami żywność stanie się niejadalna?".

Niespodziewanie przypomniała sobie swą ostatnią rozmowę z Heather, tę samą, podczas której przyjaciółka zdradziła jej, że szykuje się do wyprawy. Tę samą, która dręczyła ją później przez długie tygodnie i odebrała jej przyjemność z zajmowania się sprawami codziennymi. Tę rozmowę, która pokazała jej, że o świat trzeba zacząć walczyć.

Dziewczyna podniosła głowę i ujrzała Lee oraz Cameron naradzających się półgłosem. I niespodziewanie wśród jej ponurych myśli pojawił się pomysł, ulotny i niepozorny niczym strużka światła w absolutnych ciemnościach. Spojrzała na biolożkę i oblizała suche usta.

– Pani profesor – zaczęła nieśmiało.

– Doktor – odparła Cameron z udawaną uprzejmością, ale w jej oczach na powrót błysnęło ostrzeżenie. Wendy jednakże nie czuła już lęku.

– Chciałabym z panią porozmawiać – powiedziała. – Na osobności.

Koniec Świata pociągnął za sobą tysiące zmian w życiu Wendy. Jedną z najważniejszych było to, że ni z tego, ni z owego otworzyła się na odgłosy natury. Wcześniej miała w zwyczaju odurzać się ostrą muzyką alternatywną i wywoływać tym samym dziesiątki awantur z rodzicami, dla których utwory The Sisters of Mercy czy Siouxsie and the Banshees były tylko chaotycznym jazgotem bez ładu i składu. Teraz nastały czasy bez prądu, a baterie stały się luksusem i Wendy ku własnemu zdumieniu zaczęła doceniać piękno odgłosów przyrody. Bywało, że siadywała na schodach Domu, żeby posłuchać cykania świerszczy i krzyków nocnych ptaków, aż przeganiało ją stamtąd zimno.

Teraz zrobiła to samo. Zamknęła oczy i wsłuchała się w błogą ciszę wieczoru, której nie zakłócał żaden szum, warkot, brzęk czy wrzask. Cisza, bezpieczna i ciepła, otuliła ją ze wszystkich stron. Wendy słyszała jedynie swój oddech. Napięcie powoli ją opuszczało i przez krótką, bezcenną chwilę poczuła się jak w Domu.

Koncentrację przerwał odgłos zbliżających się kroków. Dziewczyna otworzyła oczy, odetchnęła z ulgą i szybko odwróciła się w stronę dźwięku.

Pomimo późnej pory, coraz niższej temperatury oraz oczekującej ich długiej wędrówki doktor Cameron nadal miała na sobie spódniczkę, żakiet oraz buty na obcasie. Na widok dziewczyny zatrzymała się i rozejrzała z niesmakiem po leśnej ścieżce.

– Bardzo się cieszę, że panią widzę – powiedziała Wendy. – Obawiałam się, że...

– Że co? – spytała ostro naukowiec. – Że się rozmyślę, zjem kolację i ułożę się do snu, nie pamiętając o bezczelnej smarkuli, która namówiła mnie do samobójczej wyprawy? Wiele można mi zarzucić, ale na pewno nie puszczam słów na wiatr. Zrobiłam wszystko, o co mnie prosiłaś, Wendy. Zostawiłam list dla Lee i wymknęłam się jedynym wyjściem, przy którym nie było rozgwiazd. Nikt nie wie o twoim szalonym pomyśle.

– Dziękuję – szepnęła Wendy.

– Co nie zmienia faktu, iż wciąż nie mogę uwierzyć, że się dałam na to namówić – dokończyła Cameron.

– Ja też. – Dziewczyna uśmiechnęła się blado. – Bo to naprawdę szaleństwo, pani doktor. Skrajne szaleństwo.

– W istocie – przytaknęła kobieta i obdarzyła ją sztucznym uśmiechem, który za dawnych czasów na jej uczelni zapewne był reakcją na każdą próbę żartu w jej towarzystwie. – Ale z drugiej strony, cóż innego mi pozostało, prawda?

Obrzuciła przy tym dziewczynę wzrokiem przeznaczonym dla innych ludzi wtajemniczonych w sekret. Wendy opanowała dreszcz przestrachu i poprawiła torbę na ramieniu.

„Latarka, woda, pistolet, apteczka, nóż, pamiętnik Heather, coś do jedzenia, trzy pary słuchawek budowlanych – przejrzała w myślach jej zawartość, nie chcąc myśleć o tym, co właśnie usłyszała. – I mapa. Dobrze, mam wszystko. Oby tym razem udało się odnaleźć drogę”.

Udając opanowanie, wyciągnęła z torby mapę, rozprostowała ją na kolanie i włączyła malutką latarkę.

– Wydaje mi się, że powinnyśmy iść... – Przygryzła wargę i rozejrzała się dookoła. Mrok wśród drzew gęstniał szybko, a na niebie gasły różowe plamy, pozostawione przez zachodzące słońce.

– Tamtędy – wskazała Cameron.

– Skąd pani wie? – zdziwiła się dziewczyna.

– Zależy ci na tym, by obejść habitat Przeźroczystych od północy, prawda? A więc zaufaj mi. Przez ostatnie cztery lata byłam przewodniczącą koła ornitologicznego uniwersytetu w Marington. Znam okoliczne lasy jak własną kieszeń.

„I całe szczęście" – pomyślała Wendy, po czym pospiesznie ruszyła w ślad za biolożką. Drzewa, które w ciemnościach wydawały się wyższe i potężniejsze niż w rzeczywistości, spoglądały na nie w milczeniu.

Nolan siedział po turecku na dachu starego mustanga z porozbijanymi szybami, porzuconego kilka metrów od wiaduktu kolejowego, dokładnie tam, gdzie się umówili. Gdyby nie dłuższe włosy, muskane wiatrem, w gęstniejącym mroku można by go wziąć za złowieszczego gargulca.

Na widok chłopaka Cameron gwałtownie wciągnęła powietrze, zatrzymała się i smagnęła Wendy wściekłym spojrzeniem.

– Najwyraźniej nie wtajemniczyłaś mnie we wszystkie szczegóły swego szalonego planu – warknęła. – Jak mam to rozumieć, Wendy? Chcesz, by ten dzieciak wziął udział w naszej ekspedycji? Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

Dziewczyna przełknęła ślinę i śmiało spojrzała w oczy Cameron.

– Proszę mi wybaczyć, pani doktor – powiedziała cicho, próbując opanować drżenie głosu. – Mój plan był wystarczająco zwariowany i z trudem udało mi się panią do niego przekonać. Gdybym powiedziała, że Nolan idzie z nami, mogłaby się pani nie zgodzić.

– Sprytnie rozegrane – parsknęła z niechęcią biolożka i spojrzała na Nolana, który ześlizgnął się na maskę samochodu i zeskoczył na ziemię. Szedł sprężystym krokiem, roztrącając mgłę.

– Sprytnie – powtórzyła. – A więc postawiłaś mnie przed faktem. Wiesz, że go nie znoszę, prawda?

– Wiem – rzekła dziewczyna. – To nieznośny, wredny, złośliwy typ i na pani miejscu też bym go nie znosiła, ale nie może pani brać tego do siebie.

– Ja nie biorę tego do siebie! – Cameron zmiażdżyła go wzrokiem. – Co ty wygadujesz, dziecko? Takich młodych typków zwykłam bez wahania dyscyplinarnie wyrzucać z uczelni za lekceważący stosunek do zajęć i wykładowców i nigdy się nie zdarzyło, bym do któregokolwiek powróciła myślą! Chodzi mi wyłącznie o to, że jego zachowanie może zaważyć na sukcesie naszej misji!

– Nie sądzę – odparła twardo Wendy. – Nolan jest sfrustrowany, pani doktor. W przeciwieństwie do Lee i całej reszty, którzy chcą tylko przetrwać, on pragnie czegoś więcej. Chce walczyć. Chce działać. Chce coś stworzyć. Stąd się bierze ta jego opryskliwość. Tylko stąd.

– Po co chcesz, by z nami szedł?

– Dla bezpieczeństwa. On... Cóż, jest dobry w zabijaniu.

Cameron nie odpowiedziała. Obie spoglądały na Nolana, który zmierzał ku nim, chłodny i spokojny niczym zjawa. Jego jasna twarz wydawała się nieziemsko piękna i Wendy złapała się na tym, że nie może oderwać od niej wzroku. Nieco speszona odwróciła głowę dopiero, gdy przy nich stanął. Kątem oka widziała, jak obrzucił wzrokiem strój biolożki, ale skinął jedynie głową, nie mówiąc ani słowa.

Cameron wycelowała w niego palec.

– Jeśli odezwiesz się choć raz w nieodpowiednim momencie... – warknęła.

– To co? – spytał Nolan. W jego głosie nie było drwiny, a jedynie ciekawość.

– To pani doktor wywali cię z uczelni – ucięła Wendy. – Idziemy. Długa droga przed nami.

I ruszyła przed siebie, nie zwracając uwagi na resztę.

„Chyba udało mi się ich pogodzić – pomyślała. – Byłabyś ze mnie dumna, Heather".

Szli bez końca. Z każdą przebytą milą napięcie z wolna ustępowało, a w jego miejsce pojawiało się znużenie, aż Wendy złapała się na tym, że zaczyna ziewać. Co gorsza, pomimo kurtki zapiętej aż po samą szyję i naciągniętej na oczy czapki było jej coraz zimniej. Zerknęła na idącego obok niej Nolana i zauważyła, że i on zaciera dłonie. Spoglądała na niego o jedną chwilę za długo, gdyż chłopak odwrócił się ku niej i mrugnął.

– Porąbana sprawa, co? – spytał, ale w jego głosie słychać było stonowany entuzjazm.

– Sama nie wiem. – Wendy wzruszyła ramionami. – Nie denerwuj jej, dobra?

– Masz na myśli Cameron? – Nolan wskazał biolożkę ruchem głowy. Ta szła przed siebie równym krokiem, nie oglądając się na boki, odporna zarówno na zimno, jak i na zmęczenie. – Słuchaj, ja nic do niej nie mam. Ja nie mam nic do nikogo. Ja tylko...

Jego głos nagle załamał się i dziewczyna miała wrażenie, że usłyszała w nim bezgraniczne znużenie. Nie dokończył, zamiast tego uśmiechnął się i spytał:

– A tak w ogóle to jak ją namówiłaś do tego wszystkiego? Przecież ta wyprawa to wariactwo.

– Bez większego trudu – szepnęła Wendy. – Wiesz, ona ma pewien szczególny Dar. Da sobie radę. W każdym razie sama chyba w to wierzy.

– Spoko – mruknął Nolan. – Dobrze to wszystko wymyśliłaś.

– Dzięki.

Po zmarzniętych policzkach Wendy rozlał się gorący rumieniec. Podświadomie spojrzała na chłopaka, chcąc odczytać jego minę, ale ten przyspieszył kroku, by nadążyć za niknącą w mroku Cameron.

Nie rozmawiali przez resztę drogi, ale i tak Wendy była mu wdzięczna za te kilka słów.

„Proszę – pomyślała. – Nie miałam pojęcia, że tej nocy wydarzy się coś dobrego".

Skromna pochwała Nolana wystarczyła, by odepchnąć zarówno lęk, jak i znużenie. Maszerowała w ślad za niestrudzoną badaczką, wyprzedzając nawet chłopaka.

„Jeszcze trochę – pocieszała się w myślach. – Musimy nadrobić wiele drogi, by Przeźroczyści nie skojarzyli nas z gromadką Lee. Niedługo będziemy na miejscu. Na pewno".

Szarzało i Wendy dostrzegała już mijane drzewa. Przez jakiś czas wędrowali gruntową drogą pełną zamarzniętych kałuż, aż niespodziewanie wyszli na przedmieścia Marington. Szli asfaltową alejką, wzdłuż której rosły masywne klony i kasztany, bezlistne, czarne wśród mgieł poranka. Za nimi majaczyły wille, niegdyś symbol zamożności, a teraz puste, smutne skorupy.

– Masz coś do jedzenia? – zapytał ochrypłym głosem Nolan. Jego blada twarz była ściągnięta ze zmęczenia.

Wendy pospiesznie wyciągnęła batonik i wręczyła mu go. Poruszona jego zmęczeniem, chciała zawołać Cameron i poprosić ją

o chwilę wytchnienia, ale biolożka zatrzymała się sama. Bez słowa uniosła rękę i pokazała coś w oddali.

Z tej odległości szara kula okazała się tworem bardziej nieforemnym, nieco spłaszczonym od góry. Wendy odnosiła wrażenie, że kiedyś była to ogromna hala sportowa, obiekt weekendowych pielgrzymek całej okolicy. Teraz miejsce wydawało się wymarłe. Dziewczyna wytężyła wzrok, ale nie dostrzegła wokół ani śladu ruchu. Szyby nielicznych, dawno zapomnianych samochodów rozrzuconych na wielkim parkingu połyskiwały matowo.

– Jesteśmy na miejscu – odezwała się Cameron. – Tutaj musimy się rozstać. Znajdźcie sobie jakieś ciepłe miejsce i obserwujcie habitat. Pod żadnym pozorem nie wolno wam przyciągać uwagi ani Odmienionych, ani Przeźroczystych. Z moich obserwacji wynika, że ci pierwsi o tej porze pogrążeni są jeszcze w letargu, a ci drudzy, którzy najprawdopodobniej w ogóle nie odczuwają potrzeby snu, raczej mnie nie zauważą.

Mrugnęła przy tym porozumiewawczo do Wendy.

– Zachowajcie więc spokój i nie przyciągajcie niczyjej uwagi – dodała. – Powinnam wrócić za jakąś godzinę, nim Odmienieni się rozbudzą.

– Niech pani na siebie uważa – powiedziała cicho Wendy. Bliskość ogromnego szarego monolitu znów napełniła ją trwogą.

– Mam na imię Patricia – oznajmiła biolożka, odwróciła się i ruszyła w kierunku siedliska Przeźroczystych.

Nolan patrzył w ślad za nią z niedowierzaniem.

– Słuchaj, ona serio ma zamiar wleźć w to gniazdo os? – spytał, zupełnie jakby bliskość szarej kuli również jemu odebrała pewność siebie.

– Tak – powiedziała Wendy. – Ja zaś mam zamiar tego doczekać. Poszukajmy jakiegoś ciepłego miejsca. Ten dom chyba się nadaje.

Wskazana przez nią willa była jedynym piętrowym budynkiem w okolicy. Koniec Świata nastąpił w nocy, przez co większość nowoczesnych domów, wyposażonych w mocne drzwi i antywłamaniowe okna, a przy tym zamkniętych przez właścicieli na noc, była niemalże niedostępna dla ludzi pozbawionych ciężkiego sprzętu. Na szczęście drzwi do tego domu zostały uprzednio wyważone przez grupy rozsyłane przez Radę Ocalenia Ludzkości i Nolan oraz Wendy bez trudu wślizgnęli się do środka.

– Zaczekaj! – szepnęła dziewczyna, przypomniawszy sobie niefortunną przygodę z kotami i bąbelkami w akwarium. – To miejsce może być zamieszkane.

– I co z tego? – parsknął Nolan. Jego oczy błysnęły niebezpiecznie i Wendy, która już chciała go pochwycić za ramię, błyskawicznie cofnęła dłoń.

Szabrownicy, choć pracowali dla Rady oraz innych ocalałych, nie mieli względów dla bogatych wnętrz willi. Nie poprzestali na opróżnieniu kuchni, piwnicy oraz szaf z ubraniami. Z nieludzką pasją porozbijali wazony, postrącali obrazy wiszące na ścianach, zniszczyli zastawę stołową w kredensie, a nawet połamali kije bilardowe. Wendy, choć nadal przerażona, nie mogła opanować niechęci.

„Zwierzęta” – pomyślała, idąc za Nolanem na górę.

Pokój, którego okna wychodziły na dawną halę sportową, przypuszczalnie należał do młodego chłopaka, o czym świadczyły kosz do koszykówki nad drzwiami, plakaty gwiazd baseballu na ścianach oraz niewyobrażalny wprost bałagan, który z pewnością nie był dziełem szabrowników. W szarym blasku zmierzchu wszystkie przedmioty wydawały się niewyraźne i zetlałe, jakby należały do snu, który lada chwila ma ulecieć w niepamięć.

Jeśli Nolan miał w sercu jakiekolwiek sentymenty, skrywał je bardzo starannie. Gwałtownym szarpnięciem przysunął komputerowe krzesło pod okno i usiadł na nim ciężko, a potem

strącił ustawione na parapecie płyty i oparł na nim łokcie. Plastykowe opakowania z trzaskiem upadły na zagraconą podłogę.

– Przestań robić hałas – szepnęła dziewczyna. Podniosła jedną z płyt – był to piracki krążek Archive z nazwą grupy wypisaną pisakiem.

„Archive – pomyślała z żalem. – Czy kiedykolwiek usłyszę jeszcze ten zespół?".

Rozejrzała się po zabałaganionym pokoju.

„Chłopak, który tu mieszkał, był sportowcem, a do tego słuchał dobrej muzyki – pomyślała. – Jeszcze kilka miesięcy temu pewnie marzyłabym, by mnie kiedyś zaprosił. Dziś siedzę tu z psychopatą obdarzonym niszczycielskimi mocami".

Nie potrafiła jednakże włożyć w tę myśl niechęci. Odrzuciła płytę na skłębioną kołdrę i stanęła za Nolanem. Korciło ją, by położyć mu dłoń na ramieniu, ale zamiast tego zacisnęła ją na lornetce, wycelowanej w szary monument. Choć szyba okienna była przybrudzona, udało jej się odnaleźć drobną postać Cameron, która powoli, niepowstrzymywana przez nikogo, zmierzała w stronę ciemnej plamy, najprawdopodobniej będącej wejściem do siedziby Przeźroczystych. W porównaniu do jej rozmiarów kobieta wydawała się całkiem bezbronna, ale mimo to biła od niej energia i odwaga. Wendy pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Mój stary lubił filmy wojenne – odezwał się niespodziewanie Nolan. Mówił cichym, lekko ochrypłym głosem, jakby wbrew sobie. – Najbardziej takie stare, czarno-białe. *Bitwa o Ardeny*, *O jeden most za daleko* i inne podobne. Oglądaliśmy je razem. Rany, to chyba była jedyna rzecz, którą robiliśmy wspólnie.

Wendy milczała, zaskoczona jego słowami.

– Ja z ojcem jeździłam konno – bąknęła, sądząc, że chłopak chce porozmawiać dla dodania otuchy. – A z bratem grałam w *Heroes of Might and Magic*. Miał wielki talent do...

Nolan nie słuchał jej. Niespodziewanie podniósł rękę i wskazał uśpioną okolicę szarej kuli.

– Pamiętam jedną scenę, w której kilku żołnierzy idzie przez zamglone pole minowe. To jeden z tych momentów, w których wiesz, że zaraz zginie ktoś z twoich ulubionych bohaterów. Wiesz, kamera najeżdża na twarze, ktoś przekazuje komuś list pożegnalny, atmosfera na moment robi się luźniejsza i tak dalej.

– Po co mi to mówisz? – szepnęła Wendy.

– Bo mam wrażenie, że właśnie patrzę na taką scenę.

Szarość kuli zdawała się wysysać z okolicy wszystkie kolory oraz oznaki życia. Doktor Cameron przemierzała uśpiony, jałowy krajobraz i dokładnie w chwili, gdy Nolan zakończył kwestię, znikła na moment w obłoku mgły.

– Nie kracz – szepnęła Wendy. – Proszę, nie kracz. Cholera, mam nadzieję, że jej się uda.

Uniosła lornetkę do oczu. Cameron pokonała mgłę i zmierzała ku wejściu do kuli.

– Nic jej nie będzie – powiedziała dziewczyna i spojrzała na Nolana. – Słyszysz?

Nie słuchał jej. Zamiast tego wpatrywał się w coś w ogrodzie.

– A może to my jesteśmy na tym polu minowym, a nie Cameron? – szepnął.

Wendy spojrzała w tym samym kierunku i ujrzała wielką wyrwę w płocie. Ktoś lub coś wyrwało spory kawałek metalowej siatki i podeptało rosnące w tym miejscu krzewy. W ogrodzie znajdującym się dalej brakowało kilku metrów drewnianego parkanu. W kolejnym zniszczono najpierw niewielką szklarnię, a potem drewnianą szopę na narzędzia, za którą – jeśli Wendy dobrze widziała – znajdowała się kolejna jama.

Wszystkie one układały się w długi ciąg dziur i wyrw prowadzący prosto ku szarej kuli.

– To jakaś cholerna droga zaopatrzeniowa! – uświadomiła sobie Wendy.

W tej samej chwili oboje usłyszeli niski, wibrujący odgłos. Przewracając krzesło, rzucili się ku torbie dziewczyny, pospiesznie, niemalże w panice wyrwali z niej słuchawki i założyli na uszy. Świat natychmiast zamilkł, a wtedy podpełzli do parapetu i ostrożnie wyjrzeli na zewnątrz.

Najpierw dostrzegli ogromnego, włochatego ludostwora z pazurzastymi łapami sięgającymi do ziemi. Ramiona Odmienionego pozostawały w ciągłym ruchu, gdy odsuwał lub odrzucał wszystkie przeszkody stojące mu na drodze. Kilka kroków za nim wędrował kolejny, przygarbiony i nieco zdeformowany. Wendy zmrużyła oczy i zobaczyła, że na grzbiecie istoty siedzi jakaś inna, przypuszczalnie Przeźroczysty, ale częściowo przykryty bujnym włosiem tragarza. A za nimi...

Za nimi dwoma szedł szereg ludzi, przygarbionych, wlekących się krok za krokiem, najwyraźniej otumanionych cichym śpiewem Przeźroczystego. Skrajnie zaskoczona Wendy uświadomiła sobie, że skądś ich zna. Identyczną wojskową kurtkę nosił Parker, a taka czapka należała przecież do Joya. Ten szalik zaś...

„To Marcus! – pomyślała z przerażeniem. – Oni... Przeźroczyści porwali całą drużynę z Domu! Prowadzą ich do kuli!”.

Spojrzała na Nolana. Szaleńczy błysk w jego oczach zdradził dziewczynie, że doszedł do tego samego wniosku. W przeciwieństwie do niej nie wahał się jednak, co z tym odkryciem zrobić.

Nim zdołała go powstrzymać, runął schodami na dół.

Wendy nigdy dotąd nie widziała, by ktoś działał tak szybko i z taką bezwzględnością.

Nolan pomknął w dół schodów, ostatnie kilka stopni pokonał tygrysim susem, potknął się, cudem odzyskał równowagę, barkiem pchnął drzwi i wypadł na zewnątrz. Przerażona Wendy, nawet się nie zastanawiając, runęła w ślad za nim, wyswobadzając w biegu pistolet. W jej głowie pulsowała tylko jedna myśl:

„Boże, oni mają Marcusa!”.

Zimne powietrze poranka uderzyło ją w twarz. Świat znikł na moment, zamazany wilgocią, a gdy przetarła oczy, z trudem powstrzymała okrzyk przestrachu. Włochaty potwór zamachnął się pazurzastym ramieniem na Nolana, ale chłopak uniknął jego ciosu, wykonał widowiskowy, wręcz teatralny piruet i musnął brzuch potwora. Zatańczyły trącone kosmyki futra. Gest Nolana wydawał się pozbawiony sensu, ale dwa uderzenia serca później potwór rozwarł paszczę, jakby ryczał z bólu – wszystko odbywało się w całkowitej ciszy – i zatoczył się. Nolan odskoczył w tył z mściwym uśmiechem, a ludostwór osunął się na oszroniałą trawę. Wystarczył przelotny dotyk chłopaka, by odebrać mu życie.

Ziemia zadrżała, gdy do ataku rzuciła się druga z włochatych bestii. Spod rozwianego futra wyjrzał Przeźroczysty, kurczowo trzymający się grzbietu. Jego oczy powiększały się, jakby nie ograniczały ich oczodoły ani powieki. Pomimo słuchawek szczelnie zakrywających uszy Wendy słyszała, jak jego pieśń nabiera mocy. Ogłuszające, hipnotyczne dźwięki przebijały się przez ciszę, wdzierały do jej umysłu, odbierały władzę nad sobą. Kątem oka widziała, jak jeńcy osuwają się na kolana. Parker trzymał się za uszy, Joy kulił na ziemi, Marcus...

Marcus zaległ nieruchomo na trawie.

Szalona z rozpaczy Wendy odepchnęła zalewające ją odrętwienie. Uniosła broń, powoli, ociężale, wciąż zbyt wolno...

Ubiegł ją Nolan.

Obojętny na paraliżującą pieśń wyrzucił ramiona do przodu i zmrużył powieki. Oczy Przeźroczystego natychmiast eksplodowały. Szara papka trysnęła na wszystkie strony, a istota zsunęła się z grzbietu szarżującego stwora, bezwładna niczym wystrzępiony ręcznik. Włochaty ludostwór zupełnie tego nie zauważył i nadal pędził na Nolana, wyciągając szponiaste ramiona ku jego głowie.

„Wiedzą – przemknęło Wendy przez głowę. – Wiedzą, że się w ten sposób chronimy".

Nolan uniósł ręce. Straszliwa, niepojęta siła targnęła ciałem ludostwora. Nie zdołał zrobić nawet kolejnego kroku i runął na trawę obok pobratymca, jakby gwałtowny gest chłopaka wyszarpnął z niego życie.

Nolan, blady jak ściana, spojrzał na Wendy. Jego oczy otworzyły się szerzej.

Ziemia ponownie zadrżała.

Wendy, uwolniona już całkiem od paraliżującego śpiewu Przeźroczystego, odwróciła się i odruchowo, bez zastanowienia, podniosła broń. Przemarznięty, różowiejący świat przesłoniło

ogromne cielsko trzeciego z ludostworów, rozpędzonego, śmiercionośnego. Dziewczyna nacisnęła spust, potem ponownie i jeszcze raz. Wśród rozkołysanych strąków futra wybuchały plamy czerwonej krwi. Każda trafiająca kula spowalniała szarżę Odmienionego, a trzecia, która uderzyła na wysokości kolana, posłała go na ziemię. Wendy podeszła do drżącej bestii, uniosła broń i bez wahania wpakowała jeszcze dwa pociski w jej głowę.

Starcie przebiegło w niemalże absolutnej ciszy. Wystrzały, choć słyszalne, były stłumione, jakby docierały z zupełnie innego świata, jakby zupełnie jej nie dotyczyły. Dopiero kiedy rozlewająca się plama krwi prawie dotarła do jej buta, Wendy uświadomiła sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Dłoń trzymająca pistolet zadrżała, a potem zatrzęsły się jej kolana...

Obróciło ją gwałtowne szarpnięcie za ramię. Spojrzała w dzikie, szalone oczy Nolana, który zerwał jej słuchawki z uszu.

– I po co ci to było? – warknął. – Po co?

– O czym ty... – zaczęła, ale chłopak wskazał jej broń.

– Po co strzelałaś, do cholery? Nie pamiętasz, co mówiła Cameron? Zaalarmowałaś ich wszystkich!

– Cameron! – szepnęła przerażona dziewczyna. Nagle przypomniała sobie o lornetce. Uniosła ją do oczu i ujrzała, że na terenach wokół szarej kuli, jeszcze chwilę temu uśpionych, zaroiło się od Odmienionych.

– Cameron...

– Niech szlag trafi tę stukniętą babę! – krzyczał Nolan. – Przeźroczyści zaraz roześlą patrole! Niedługo będzie po nas! Po co strzelałaś, do cholery? Ja załatwiłbym ich po cichu! Czy ty musiałaś...

– Dość. – Ochrypły, surowy głos Parkera przeciął powietrze niczym bicz. – Co się stało, już się nie odstanie.

Wysoki Indianin był trochę blady i chwiał się nieco na nogach, ale wzrok miał surowy i niezłomny jak zawsze, co zarówno dodało Wendy otuchy, jak i przeraziło ją do granic. Jej wzrok umknął w bok, a wtedy dojrzała leżącego na ziemi Marcusa. Klęczał przy nim Chewie, trącając go bezradnie. Dziewczyna bez wahania odepchnęła Odmienionego, uklęknęła przy bracie i ujęła jego głowę.

– Boże, Marcus, co ja narobiłam... – szepnęła z przerażeniem.

– Nie mam pojęcia – wymamrotał chłopak, nie otwierając oczu. – I dobrze by było, byś to jakoś logicznie wytłumaczyła. Bo szukamy ciebie od dobrych paru dni.

– Szukacie mnie... – Głos dziewczyny zadrżał, gdy uzmysłowiła sobie znaczenie słów brata. – Boże, to wszystko przez mnie... Tak mi przykro, Marcus, tak mi cholernie przykro... Mogliście wszyscy zginąć!

– Ale żyjemy. – Marcus usiadł z trudem, podtrzymywany przez Chewiego. – To już coś. Znaleźliśmy też ciebie i... – Zerknął przez ramię. – I Nolana, a to jeszcze więcej. Jeśli...

– Dość tego. – Casey Parker patrzył w stronę szarej kuli. – Później pogadamy. Zabierajmy się stąd.

Wendy odepchnęła żal oraz wyrzuty sumienia. Podniosła się i wyciągnęła rękę do brata. Ten ją złapał i wstał z sapnięciem.

– Możesz iść? – spytała dziewczyna, siląc się na opanowanie.

– Chyba tak. – Marcus pokiwał głową. – Jeść mi się chce jak diabli, ale poza tym nic mi nie jest. Casey ma rację. Chyba trzeba stąd spadać. Nie mam ochoty wysłuchiwać dźwięków wydawanych przez tych cholernych...

Spojrzał na ciało martwego Przeźroczystego i wzdrygnął się.

– No to ruszajmy. – Parker już szedł w stronę, z której przybyli.

– O ile dobrze pamiętam, tam ciągnie się jakaś rzeka – rzekł Nolan, który natychmiast wyrósł u boku Indianina. – Może uda nam się znaleźć jakąś łódź i zmylić pogoń.

Wendy spojrzała z rozpaczą na szarą kulę.

– Zaczekajcie! – szepnęła. – Zaczekajcie! – zawołała głośniej. – Tam jest jedna z naszych! Przeprowadza zwiad! Szuka...

– Nie. – Marcus zacisnął dłoń na nadgarstku dziewczyny z siłą, której by się po nim nie spodziewała. – Nie ma mowy, Wendy. Uciekamy stąd i nie ma co do tego dwóch zdań. Zapomnij o protestach. Zapomnij o wszelkich własnych pomysłach.

Chewie pokręcił gwałtownie głową, jakby chciał poprzeć zdanie chłopaka, i ujął ją za drugą rękę. Joy, któremu otrząśnięcie się z szoku zajęło najwięcej czasu, stanął za jej plecami i popchnął ją lekko.

– Ruszaj, młoda – mruknął.

Wendy z narastającą rozpaczą spojrzała na kulę.

– Nolan! – krzyknęła. – Przecież tam może być Heather! Musimy zaczekać na Cameron.

Była niemalże przekonana, że plecy chłopaka przeszył skurcz, jakby słowa dziewczyny trąciły w nim czułą strunę, ale nawet się nie odwrócił.

– Ruszamy – powiedział Marcus bez cienia emocji w głosie.

Nie licząc ponaglających warknięć Parkera, utyskiwań Joya i cichych, rytmicznych cmoknięć Chewiego, ucieczka przebiegała w niemalże całkowitej ciszy. Z początku Wendy odwracała się co rusz w nadziei, że ujrzy doganiającą ich Cameron, ale w labiryncie porzuconych domów i zaniedbanych ogrodów nie było ani śladu życia. Wkrótce więc dziewczyna zobojętniała, a potem poddała się zmęczeniu. Z opuszczoną nisko głową szła w ślad za Marcusem, który bez przerwy sprawdzał, czy wciąż za nim podąża.

Jego spojrzenia oraz świadomość, że swą lekkomyślnością naraziła Cameron na pewną śmierć, potęgowały jej przygnębienie. Miała wrażenie, że wszyscy jej się przyglądają i nazywają ją w myślach egoistyczną, bezmyślną smarkulą.

„I na co mi to wszystko było?" – zapytała siebie po raz tysięczny.

W końcu dotarli do rzeki, która okazała się szeroką na kilkanaście metrów strugą. Nad jej leniwym nurtem nachylały się bezlistne, czarne wierzby, a blade, białawe słońce odbijało się w jej niezmąconej powierzchni. Nigdzie nie było widać łodzi, ale Parker szybko wypatrzył niewielką kładkę na podmurówce, przerzuconą w miejscu, gdzie rzeka była najwęższa. W niedużej zatoczce po drugiej stronie kołysały się częściowo zalane wodą kajaki oraz zatopiona, przysypana liśćmi łódka. Wśród drzew majaczył drewniany domek z dużą werandą oraz grillem.

– Tam się zatrzymamy – oznajmił Parker.

Nawet jeśli ktoś miał inne zdanie, był zbyt zmęczony, by się sprzeciwić. Grupka uciekinierów szybko pokonała kładkę i zbliżyła się do domu. Przez zakurzone szyby widać było drabiny, wiadra oraz przykryte folią meble. Drzwi wejściowe były uchylone, a przytrzymywał je w miejscu plastykowy klin.

– Ktoś chyba nie dokończył remontu – mruknął Marcus.

– Cisza – syknął Casey. – Nie wiadomo, co się tam gnieździ. Wendy, zostało ci trochę amunicji?

Dziewczyna otrząsnęła się i podała przewodnikowi pistolet oraz ostatnie pudełko z nabojami, a także latarkę.

– Joy, chodź ze mną – zarządził Indianin. – Reszta niech ma oczy i uszy szeroko otwarte.

Obaj mężczyźni ruszyli ostrożnie w kierunku chaty. Wendy zamrugała oczami i rozejrzała się dookoła, licząc członków grupy.

– Zaraz, a gdzie jest Frank? – spytała z niepokojem. – Co się z nim stało?

– Casey odesłał go do Domu po twojej ucieczce – warknął Marcus. – Ktoś musiał przekazać reszcie, że nie wrócimy tak szybko. Musieliśmy odnaleźć jedną narwaną...

Niespodziewanie przygnębienie Wendy umknęło jak ręką odjęte. Dziewczyna ze złością spojrzała na brata.

– Nie, nie musieliście! – warknęła. – Uciekłam od was, prawda, Marcus? A ucieczka to najczęściej bardzo czytelny znak. Wiesz, jak ów znak rozumieć?

– Tak. – Chłopak zwęził oczy. – Ten znak to: „jestem walnięta, nie wiem, co robię i zaraz popadnę w wielkie tarapaty". Chciałabyś coś dodać?

Wendy miała zamiar odpowiedzieć, ale przeszkodził jej czyjś okrzyk dobiegający z domku. Zaraz po nim nastąpiło wściekłe przekleństwo, coś huknęło i ze środka wymknął się przestraszony borsuk. Rozejrzał się i czmychnął w krzaki.

Drzwi otwarły się ze skrzypnięciem, a na progu stanął Parker.

– Czym chata bogata – mruknął i zamachał zafoliowanym opakowaniem z kiełbasami.

Z rzeczy znalezionych w nieczynnej od wielu tygodni lodówce do zjedzenia nadawały się właściwie tylko kiełbaski, których wypadło po dwie na osobę. Joy, który utrzymywał, że ma żołądek z żelaza, odważył się umoczyć swoje w fabrycznie zamkniętym słoiku musztardy, ale reszta zadowoliła się kilkoma łykami wody i miętowym cukierkiem z zapasów Marcusa.

Gdyby nie emocje targające jej sercem Wendy uznałaby ten posiłek za niemalże niebiański.

– Odpoczniemy tutaj chwilę – oznajmił ochrypłym głosem Parker, który przez ostatnie kilka minut wpatrywał się w mapę i przecierał

zmęczone oczy. – Z mapy wynika, że rzeka chroni nas przed pościgiem. Odmienieni będą mogli się tu dostać jedynie przez tę kładkę. Kto ma ochotę stanąć na warcie?

– Ja! – odezwał się niespodziewanie Joy.

– Naprawdę? – Casey zmrużył oczy i przyjrzał mu się badawczo. – Nie chcesz odpocząć?

– O jakim odpoczynku mówisz? – parsknął Joy i spojrzał na Wendy, która przysiadła na przykrytej folią lodówce z napojami. – Przecież wy się tylko szykujecie, by zmyć tej biednej dziewczynie głowę. Wolę znaleźć się jak najdalej od tej kłótni. Dajcie mi pistolet.

Parker wręczył mu broń i odprowadził go wzrokiem. Gdy skrzypnęły zamykane drzwi, spojrzał na Wendy i westchnął ciężko.

– Słuchaj, Wendy, tu nie chodzi o to... – zaczął, ale dziewczyna mu przerwała:

– Ja też nie mam ochoty na kłótnię, Casey. Jest mi cholernie przykro, że popadliście przeze mnie w takie problemy. Naprawdę. Na samą myśl, że komukolwiek z was mogłoby się z tego powodu stać coś złego, mam ochotę wrzeszczeć z przerażenia. Powinnam była rozegrać to inaczej. Powinnam była chociaż zostawić jakiś list bądź wtajemniczyć kogoś w swój zamysł, ale...

– Mnie powinnaś była wtajemniczyć! – wrzasnął Marcus i zerwał się ze stopnia drabiny, na którym siedział dotychczas. – Mnie! Ode mnie powinnaś była zacząć!

Wendy smagnęła go wzrokiem i wydęła usta.

– Ja właśnie przed tobą uciekłam, Marcus. Przed twoją cholerną nadopiekuńczością. Przed twoją wścibskością i wszędobylskością. Przed twoimi niekończącymi się pytaniami o moje samopoczucie i konsekwencją, z jaką zatruwałeś mi każdą chwilę na osobności. Czy ty w ogóle zdawałeś sobie sprawę z tego, jak nieznośny się stałeś od chwili powrotu z Cracktown?

Marcus otworzył usta z niedowierzaniem i pokręcił głową.

– Co ty wygadujesz? – wyjąkał. – Przecież ja tylko chciałem cię chronić!

– Przez cały ten czas nic mi nie groziło. Nic.

Chłopak potrząsnął głową raz jeszcze, jakby nie przyjmował do wiadomości tego, co właśnie usłyszał, i obronnym gestem skrzyżował ramiona.

– Nie mów tylko, że to przeze mnie postanowiłaś uciec!

– Nie. – Wendy przeniosła wzrok na Parkera. Nie mogła się nadziwić swemu spokojowi. – Przez niego.

Indianin zamrugał oczami z niedowierzaniem.

– Słucham?

– A także przez Barry'ego, Franka, Dolores, Flinta i całą resztę – dokończyła Wendy. – Przez wszystkich z was, którzy przeczytali pamiętnik Heather, ale nie zrozumieli z niego ani słowa.

– Możesz mówić jaśniej? – Parker podniósł się z szelestem kurtki. – Gdzie popełniłem błąd, Wendy?

– Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, gdy Frank opowiedział wam o tym, co zaszło w Marington – syknęła ze złością Wendy. – Pamiętam, że tej nocy długo nie mogłam spać. Przetaczałam się po łóżku, nie mogąc opanować emocji. Byłam tak nieprawdopodobnie dumna z Heather i nie mogłam się doczekać, kiedy wyruszymy jej z pomocą! Chciałam walczyć o lepszy świat, a tymczasem następnego dnia rano dowiedziałam się, że musimy zbudować chatkę dla dzieci przywiezionych przez Franka. I że trzeba przywieźć z Cracktown nową cysternę z paliwem. I że szambo się zapchało.

– Dom zamieszkuje w tej chwili sto kilkadziesiąt osób, Wendy! – burknął gniewnie Parker. – Chciałaś, bym porzucił ich wszystkich, chwycił za broń i poszedł na wojnę z jakimiś reptilianami, którzy w tym czasie rozprawiają się z Prattem i...

Wendy była przekonana, że chciał powiedzieć „Nolanem". Zerknęła nawet w kąt, gdzie chłopak siedział na puszkach z zeschłą farbą, ale

wydawał się całkowicie nieporuszony.

– ...i z resztą jego samozwańczej bandy? – dokończył Indianin.

Wendy uśmiechnęła się rozbrajająco.

– Nie wiem, Casey. Jesteś starszy oraz mądrzejszy ode mnie i podjąłeś własną decyzję. Ja podjęłam inną. Doszłam do wniosku, że budowanie szopy czy przetykanie szamba innym wychodzi lepiej niż mnie. Uznałam, że odnajdę Heather i pomogę jej w walce.

– Jesteś stuknięta! – wrzasnął Marcus. – Ty i Heather, obie jesteście walnięte. Naraziłaś nas wszystkich na niebezpieczeństwo i tylko tyle wyszło z tej twojej idiotycznej...

– Zamknij się – odezwał się Nolan.

Jego słowa, choć ciche, wręcz wyszeptane, przecięły wywód wściekłego Marcusa. Nolan wstał i podszedł do krzykacza, nie spuszczając z niego wzroku. Wysoki, blady, z rozognionym spojrzeniem, znów wydał się kimś nierzeczywistym, a przez to śmiertelnie groźnym.

– Naraziła cię na niebezpieczeństwo, ale potem cię przed nim ocaliła, durniu! – syczał Nolan z pogardą. – Spójrz tylko na siebie! Użalasz się nad sobą i nazywasz ją idiotką, a tymczasem jako jedyna z was odważyła się wyruszyć na wojnę! Co więcej, znalazła sposób na to, jak rozgryźć Przeźroczystych od środka! A ty, Marcus? Czego ty dokonałeś dla dobra ludzkości?

Wendy przyglądała się scenie z zapartym tchem. Chciała przypaść do Nolana, złapać go za ramię i odciągnąć od brata, ale z drugiej strony... Przecież miał rację.

I bronił jej.

Serce biło jej tak mocno, że w pierwszej chwili nie usłyszała nawet kroków biegnącego Joya. Podskoczyła jak wszyscy, gdy ten otworzył z hukiem drzwi.

– Są tu – wysapał.

Casey Parker zerwał się i w trzech susach przypadł do drzwi. Odepchnął zdyszanego Joya i wyjrzał na zewnątrz. Wendy zerknęła przez szparę między jego ramieniem a framugą i zobaczyła tłum istot po drugiej stronie rzeki.

– Jasna cholera! – syknął przewodnik. – Jak nas tu znaleźli?

Błysk przerażenia w oczach Parkera zdradził Wendy wszystko. Casey, najstarszy i najsilniejszy z nich wszystkich, tracił panowanie nad sytuacją. Spanikowana dziewczyna spojrzała na brata, który zacisnął pięści i cofnął się o krok, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Nie – szepnął ledwie słyszalnie. – Tylko nie to...

– Musimy uciekać! – wysapał Joy.

– Bzdura! – huknął Nolan, krzywiąc się z pogardą. Szedł w stronę drzwi. – Możemy stawić im czoła!

– Mamy tylko jeden pistolet! – zaprotestował Joy. – Przecież to samobójstwo!

– Ucieczka to samobójstwo! – wrzasnął z furią Nolan. – Naprawdę chcesz, żeby cię dogonili i rozszarpali w biegu?

Wendy spojrzała na brata.

– Powinniśmy zostać i walczyć – szepnęła. – Marcus, pamiętasz *Heroes of Might and Magic*?

– Co? – Chłopak zamrugał oczami z niedowierzaniem. – Wendy, czy ci...

– Cicho bądź i pomyśl – syknęła dziewczyna. – Spójrz na nas wszystkich i zacznij myśleć! Przecież każdy z nas ma Dar! Musisz...

– To może zadziałać – jęknął chłopak. – Rany boskie, Wendy...

Dziewczynie wydawało się, że w oczach Marcusa błysnęła wdzięczność, ale pewności nie miała, gdyż ten wypadł na zewnątrz jak burza.

– Oszalał! – wrzasnął Joy. – Marcus, odbiło ci?

– Wręcz przeciwnie – mruknął Nolan i runął w ślad za dawnym kolegą ze szkoły. W biegu spojrzał na Wendy.

– A nie mówiłem, że Marcus coś wykombinuje?

– Fajnie, że doceniłeś mój wkład – parsknęła Wendy i pochyliła się nad swoją torbą, z której wyciągnęła dwie pary słuchawek budowlanych. – Casey, Chewie, Joy! Za mną!

Stłoczyli się na werandzie, czekając na nadciągającą hordę. Zapadał już wieczór i trudno było wypatrzeć poszczególnych Odmienionych, ale wyraźnie ujrzeli tego, który gnał przodem. Był to włochaty ludostwór przypominający bestie, które eskortowały drużynę z Domu, ale większy i szerszy w barach. W biegu opierał się kłykciami o ziemię, niczym goryl. Na ich oczach wtargnął na kładkę, która zadygotała pod jego ciężarem.

– Widzicie jakiegoś Przeźroczystego? – zawołał wysokim głosem Marcus.

– Nie! – wykrzyknął Joy. – Nie i właśnie dlatego proponuję spieprzać stąd, póki...

– Cicho bądź i słuchaj! – Głos Marcusa drżał, ale jego słowa emanowały autorytetem, jakiego nikt z nich nigdy dotąd nie słyszał. – Wskakuj na balustradę i wytężaj wzrok! Jako jedyny widzisz

w ciemnościach! Melduj o wszystkim Wendy, bo ja i tak nie będę nic słyszał!

– Czemu? – chciał się dowiedzieć Joy, ale Marcus wziął od Wendy słuchawki i jedną parę rzucił Nolanowi. – Casey, oddaj mi broń!

Indianin bez sprzeciwu podał mu pistolet. Obaj chłopcy zbiegli po drewnianych schodach. Marcus rzucił jeszcze kilka słów do Nolana, a potem obaj naciągnęli słuchawki. Włochata bestia była już na środku mostu. Z jej gardzieli dobywał się nieludzki pomruk.

– To jakieś szaleństwo! – mruknął Indianin. Wpatrywał się w scenę szeroko otwartymi oczami. – Oddałem jedyny pistolet dwóm nastoletnim...

– Widzę tych kolejnych! – zameldował Joy, podekscytowany i przerażony jednocześnie. – Trzech, może czterech! Błyszczą, jakby byli pokryci łuską...

– Dziwne, że nie ma żadnego Przeźroczystego! – syknęła Wendy, zaciskając pięści. – Nolan!

Włochaty potwór odbił się, aż zatrzeszczały deski mostu, i niczym monstrualny nietoperz runął prosto na Nolana. Zafalowało futro, szpony odbiły blask zachodzącego słońca, błysnęły odsłonięte kły. Chłopak odskoczył umiejętnie, przyklęknął na jedno kolano i znów wyrzucił ramiona przed siebie. Potwór zaryczał głucho i złapał się za serce, drąc skórę szponami.

Uwagę Wendy przykuły jednak pozostałe ludostwory.

Joy miał rację – rzeczywiście w pierwszej chwili przypominały ludzi pokrytych łuską, ale dziewczyna odniosła wrażenie, że ich ciała powleka cieniutka warstwa błyszczącego śluzu. Nie spodobało jej się to.

Jeszcze mniej do gustu przypadło jej to, że wszystkie pędziły prosto na Marcusa.

– Strzelaj, chłopie! – ryknął Parker.

Marcus jednakże teatralnym gestem skrzyżował ramiona i przekrzywił głowę, jakby nic sobie nie robił z nadciągającego błyskawicznie zagrożenia. Wendy odgadła zamysł brata i mimo woli uśmiechnęła się.

– Spokojnie – szepnęła. – Młody wie, co robi.

Pierwszy ze śluzowatych ludostworów przemknął obok Marcusa, a potem kolejne trzy. Zachowywały się, jakby w ogóle go nie widziały, choć przecież stał na ich drodze. Gnały prosto na Nolana, który nadal celował dłońmi we włochatego Odmienionego. Ludostwór ryczał w agonii i darł pazurami ziemię, usiłując się zerwać i dopaść dokuczliwego człowieka. Wyglądało na to, że dysponuje niewyobrażalną siłą i nie chce łatwo rozstać się z życiem. Nolan pobladł, a jego dłonie zauważalnie drżały.

– Teraz! – szepnęła Wendy.

Dosłownie w tej samej chwili Marcus wyciągnął broń. Pierwszy z powleczonych śluzem ludostworów mijał go w odległości dosłownie dwóch kroków i chłopak nie mógł chybić. Pocisk przeszył czaszkę Odmienionemu, który padł na ziemię i siłą rozpędu wykonał jeszcze kilka kroków. Marcus błyskawicznie wycelował w kolejnego i wpakował mu dwie kule w plecy, a potem dosłownie rozstrzelał trzeciego.

Pozostał czwarty.

Tym razem zamiast wystrzału rozległ się metaliczny szczęk. Czas nagle zwolnił. Struchlała Wendy patrzyła, jak rozpędzony Odmieniony, zaalarmowany niespodziewaną śmiercią trzech towarzyszy, wytraca prędkość i obraca lśniącą od śluzu głowę w stronę miejsca, w którym stoi Marcus. Zadrobił nogami, by wyhamować. Z rozchylonych, pozlepianych strużkami śluzu ust wydobył się chrapliwy bulgot.

Chłopak jednakże nie stracił głowy. Uniósł rękę z pistoletem i trzasnął Odmienionego w kość policzkową, która pękła z ohydnym mlaśnięciem. Ludostwór runął na ziemię, a wtedy Marcus kopnął go

z całej siły w splot słoneczny. W tej samej chwili ryk włochatego Odmienionego, z którym zmagał się Nolan, przerodził się w przeraźliwy, coraz wyższy pisk, aż ucichł. Stwór zamarł, a z jego oczu popłynęły dwie strużki krwi.

Wendy chciała wrzasnąć z radości, gdy nagle dotarło do niej, że Joy coś szepcze.

– Jest... Tam jest jeszcze jeden... Wielki, włochaty, z garbem, ruchomym garbem... Taki jak tamten...

Teraz i ona go widziała. Potwór stał nieruchomy niczym skała, a dziewczyna miała wrażenie, że dostrzega złowrogie, błyszczące oczy oceniającego sytuację Przeźroczystego siedzącego mu na plecach.

– I co teraz? – szepnął Joy. – Marcusowi skończyły się pociski, a Dar Nolana nie sięga aż tak daleko.

„Na pewno jest jakiś sposób! – myślała gorączkowo Wendy. – Z pewnością te dranie mają jakieś słabe punkty. Zaraz, zaraz... Poruszają się powoli i potrzebują wierzchowców... Są delikatne i kruche... Delikatne? Szare kule... Zimno! Boją się zimna!”.

– Parker! – wykrztusiła. – Wiatr! Stwórz najzimniejszy wiatr, jaki...

Niespodziewanie powietrzem zatrzęsły wibracje, ledwie słyszalne, ale dla dziewczyny równie wstrząsające jak nagłe uderzenie w klawisze organów w pustym kościele. Zatoczyła się, ale w porę chwyciła poręcz. Joy nadal stał na balustradzie, a Parker potrząsał głową, usiłując się skupić.

„Co jest grane? – pomyślała z gwałtownym przestrachem. – Przecież Przeźroczysty mógłby nas zabić tymi wibracjami, a tymczasem...”.

Kątem oka ujrzała jakiś gwałtowny ruch. Odwróciła się błyskawicznie tylko po to, by ujrzeć szarżującego Chewiego.

Milczący towarzysz Marcusa nie był nawet w połowie tak ogromny i dziki jak ludostwór, który pokonał kładkę nad rzeką, ale w tej chwili

robił przerażające wrażenie. Na ogół cichy i potulny, teraz szczerzył kły, a przymrużone oczy ziały nienawiścią. A pazury... Wendy nigdy dotąd nie zwróciła uwagi na śmiercionośne szpony Odmienionego.

Pędził zaś prosto na Parkera.

„Opętał go".

Powietrzem targnął pierwszy mocniejszy podmuch, który wydął kurtkę Joya i zmierzwił włosy Nolana. Chewie był coraz bliżej. Wendy mogła zrobić tylko jedno.

Bez namysłu rzuciła się na ludostwora.

Mięśnie brzucha Chewiego były nieprawdopodobnie twarde i oszołomiona dziewczyna miała wrażenie, że zderzyła się ze skałą. Impet jednakże zrobił swoje i Chewie wylądował na plecach, rozgniatając swoim ciężarem zapomniane krzesło ogrodowe z plastyku. Wendy runęła na niego.

W ostatniej chwili wyciągnęła ręce, by zamortyzować upadek, ale Chewie machnął ramieniem i bez najmniejszego wysiłku zrzucił ją z siebie. Dziewczyna przetoczyła się po drewnianych deskach. Zerwała się w porę, by ujrzeć, jak kudłaty ludostwór szykuje się do skoku na skupionego Parkera. Joy coś krzyczał, ale jego słowa zakłócał szum przybierającego na sile wiatru.

Wystrzelona nie wiadomo skąd kula strzaskała deskę tuż obok włochatej, pazurzastej łapy Chewiego. Ludostwór wrzasnął przenikliwie i odskoczył, a Parker niespodziewanie otworzył oczy. Jego głuchy, gardłowy ryk wzmocnił pieśń wichru, który w tej samej chwili, niczym koń trącony ostrogą, wystrzelił naprzód z niewyobrażalną siłą. Nolan stracił równowagę i padł na ziemię, a Marcus przetoczył się i zderzył z pokrytym śluzem martwym Odmienionym.

Wibrująca pieśń naraz zadrżała, a potem urwała się.

Oszołomiona Wendy przeniosła wzrok za rzekę. Ludostwór dźwigający Przeźroczystego pochylił się i przez moment stał

nieruchomo, jakby chciał wytrzymać napór wiatru, ale pchnięty rozkazem jeźdźca naraz odwrócił się i rzucił do ucieczki.

– Przeliczył się! – westchnął Joy.

Wendy przypadła do Chewiego, który przylgnął do futryny i drżał gwałtownie, jakby i jego poraził lodowaty wiatr wytworzony przez Indianina. Chwyciła go za ramię i patrzyła, jak zdeptana przez walczących trawa, a potem sama kładka pokrywa się białym językiem szronu.

– Już dobrze, dobrze – szeptała, głaszcząc przerażonego Odmienionego po plecach.

– Padł! – wrzasnął Joy.

Wendy miała wrażenie, że jej również udało się dojrzeć, jak Przeźroczysty spływa z pleców ludostwora, który sam biegnie coraz wolniej, aż zamiera i wali się na ziemię niczym pień ściętego drzewa.

Parker złożył ręce i odetchnął ciężko. Wiatr ucichł w mgnieniu oka i niespodziewanie nastała cisza.

Zakrawało to na cud, ale podczas starcia nikomu nic się nie stało. Wendy co chwila masowała bark, obolały po zderzeniu z Chewiem, a Nolan nadal trząsł się z zimna, ale najbardziej poszkodowany wydawał się Marcus, który wciąż nie mógł zetrzeć lepkiego śluzu z twarzy i dłoni.

– Niesamowite! – powtarzał Joy. – Rany, aleśmy ich rozwalili. Cholera, Marcus, aleś dał przedstawienie!

Marcus, który wreszcie pozbył się resztek mazi z dłoni, podszedł do Chewiego i uklęknął przy nim. Ludostwór uspokoił się już nieco i wpatrywał się w niego z lękiem.

– Nic się nie stało – szepnął chłopak. – Naprawdę nic.

Wzruszona Wendy miała wrażenie, że oczy Odmienionego zaszkliły się, jakby chciał się rozpłakać. Marcus przełknął z trudem ślinę.

– Musimy go odesłać do Domu – rzekł zduszonym głosem.

Chewie wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Wyciągnął łapę i pogłaskał go haczykowatymi szponami po policzku z delikatnością dziwnie kontrastującą z furią, którą Wendy widziała ledwie kilka chwil temu. Chłopak uśmiechnął się i mocno uścisnął pazury przyjaciela.

– Musimy go odesłać – powtórzył mocniejszym głosem.

– Odesłać? – odkaszlnął Casey. Wysoki Indianin wydawał się nadal nieobecny, jakby wciąż nie docierało do niego to, czego przed momentem dokonał. – Myślałem, że wszyscy wrócimy do Domu.

– Do Domu? – Marcus przeciągnął słowa. – Naprawdę po tym wszystkim chcesz wrócić do Domu?

Joy zapalił malutką świeczkę na przykrytym zakurzoną folią stole. Wnętrze remontowanego pomieszczenia, jeszcze przed momentem tonące w półmroku, rozświetlił migotliwy płomyk. Grotołaz wyprostował się i spojrzał z zaintrygowaniem na rozmawiających.

– Po co? – zapytał Marcus, wpatrując się w Indianina.

– Nie poznaję cię, Marcus – rzekł Parker z ociąganiem. – Na początku naszej wyprawy zrobiłbyś wszystko, by jak najszybciej wrócić do Domu. Po zniknięciu Wendy zmieniłeś zdanie, ale to zrozumiałe. Chciałeś ocalić siostrę. A teraz? Masz ochotę dalej bawić się w matrix?

– Nasze Dary to potężna broń, Casey – odezwała się Wendy, zachęcona słowami brata. Nie mogła oderwać od niego wzroku: nigdy dotąd nie wydawał jej się tak odważny i zdecydowany. – Nie wolno nam ich zmarnować. To, co stało się z Radą, pokazuje, że resztki ludzkości mają przeciwko sobie bardzo silnego wroga.

– Przeźroczyści błyskawicznie się uczą – zabrał głos Nolan, bledszy i bardziej zmęczony niż kiedykolwiek wcześniej. – Nauczyli się strącać nasze helikoptery. Podporządkowali sobie innych Odmienionych. Nauczyli się na nich jeździć. Trzymają się poza naszym zasięgiem, a podczas walki próbują nam zerwać słuchawki. Jak myślisz, Parker, ile czasu upłynie, zanim dowiedzą się o naszej obecności?

– Z tego powodu właśnie wolałbym być w Domu i przygotować się do jego obrony! – uparł się przewodnik.

– Wyślemy Chewiego do Domu – sprzeciwił się Marcus. – Nie może z nami zostać, bo Przeźroczyści mogliby go wykorzystać przeciwko nam. Przekaże list Barry'emu i Jane, niech oni się martwią o bezpieczeństwo Domu. My zaatakujemy szarą kulę.

– Odbiło ci – westchnął Indianin, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Tym razem chyba zgodzę się z wielkim wodzem – bąknął Joy. – Jak masz zamiar to zrobić? Natknąłeś się gdzieś na zamaskowany, zatankowany czołg z instrukcją obsługi?

– Przeźroczyści bez najmniejszego trudu rozpędzili Radę Ocalenia Ludzkości na cztery wiatry – odezwał się znużonym tonem Nolan. – Nie przyjdzie im nawet do gąbczastych głów, że niewielka grupka desperatów może stanowić jakiekolwiek zagrożenie. Nie wolno nam się wahać.

– Jak chcesz ich zaatakować? – powtórzył pytanie Parker. Pochylił się przy tym niczym byk szykujący się do szarży.

– Wiem, gdzie znaleźć broń – powiedział Nolan. – Dużo broni.

– Przy odrobinie szczęścia uda nam się podejść niespostrzeżenie – wtrąciła Wendy. – Tuż przed świtem wokół kuli panuje absolutna cisza.

– Ja zaś znajdę sposób, by podprowadzić cię jak najbliżej, Casey – rzekł Marcus z błyszczącymi oczami. – Wtedy będziesz musiał jedynie dmuchnąć najsilniej jak umiesz.

Parker przygryzł wargę i znów pokręcił głową, odwracając spojrzenie.

– A ja? – spytał z głupia frant Joy.

– A ty? – Casey powtórzył pytanie chrapliwym głosem. – Ty masz ładny charakter pisma. Siadaj więc na czterech literach i pisz list do Jane.

Nolan uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili ich spotkania. Wendy nie sądziła, by kiedykolwiek widziała coś równie pięknego.

Napięcie sprawiło, że nikt nawet nie myślał o odpoczynku. Wszyscy wyszli z domku kilkanaście minut później, zaraz po tym, jak Joy dokończył list do Barry'ego i Jane, a świeczka wypaliła się do końca. Marcus wyściskał Chewiego i wręczył mu list, który Odmieniony wsunął do swego ulubionego plecaka.

– Idź na wschód – poradził mu. – Tam! – Machnął ręką. – Rany, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

– Nie musisz – mruknął Parker.

W istocie, oczy Chewiego błyszczały niespokojnie. Parokrotnie spojrzał z wytęsknieniem na las, jakby była to rzeczywistość o wiele mu bliższa niż skomplikowane układy między ludźmi.

– No, leć! – Marcus klepnął go w ramię.

Chewie pomknął z gracją we wskazanym kierunku i znikł po kilku susach.

– Chyba czas na nas – rzekł Joy, schodząc po stopniach werandy. – Czekają nas dobre dwie godziny ostrego marszu.

Indianin mruknął coś pod nosem i ruszył w ślad za nim, a potem Nolan i zauważalnie wzruszony Marcus. Wendy nachyliła się i musnęła palcem deskę strzaskaną kulą znikąd. Pokręciła z niedowierzaniem głową i udała się za pozostałymi.

Przez resztę nocy hulały wiatry i nad ranem przymrozki ustąpiły miejsca słocie. Nieustająca kąśliwa mżawka rozmazywała wszelkie kontury i przenikała przez ubrania. Wendy nie sądziła, że może być tak bardzo zmęczona. Zatrzymała się i przez moment oddychała ciężko. Nie obchodziło jej, że wszędzie ciągnie się rozmokłe błoto. Chciała po prostu się położyć, zamknąć oczy i spać jak najdłużej, obojętna na to, co się wydarzy później.

– Wendy! – syknął ktoś przed nią.

Twarz Nolana, blada i ledwie widoczna w półmroku, była jedyną rzeczą, która dawała jej jakiekolwiek nadzieje. Spróbowała się uśmiechnąć i chyba nie wyszło jej to najlepiej, ale Nolan szedł już naprzód. Przed nim brnął zgarbiony Marcus z pistoletem maszynowym, a dalej majaczyła ogromna postać Parkera. Prowadził Joy, który znakomicie widział w ciemnościach.

Otaczała ich cisza, złowroga, nieprzenikniona. Nie zaśpiewał żaden ptak.

„Dobrze – powtarzała w myślach dziewczyna. – Dobrze, tak ma być. Cisza jest naszym sprzymierzeńcem. Dopóki panuje cisza, dopóty...”.

Casey przykucnął i machnął ku nim energicznie, zaalarmowany jakimś widokiem. Cała piątka skryła się za dostawczym vanem.

„Słoneczniki?” – zarejestrowała półprzytomnie Wendy, przyglądając się burtom samochodu. Szarość świtu pochłaniała wszystkie kolory i kwiaty były trudne do rozpoznania. Minęła dłuższa chwila, nim dziewczyna zorientowała się, że Parker pokazuje coś w oddali.

Wyjrzała ostrożnie znad zderzaka. Szara kula, habitat Przeźroczystych i więzienie dla bliżej nieokreślonej liczby ludzi, wyrastała jakieś pół mili przed nimi. Z tej odległości obca konstrukcja wydawała się jeszcze potężniejsza i bardziej złowieszcza. Cisza dokoła była niepokojąca.

– Tam! – Joy wskazał im coś. – Ta ciężarówka!

Wendy zamrugała kilkakrotnie, a potem zmrużyła oczy. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegła światełko w kabinie porzuconej ciężarówki. Był to nadspodziewanie kojący widok – przez moment łudziła się, że patrzy na kierowcę, który odpoczywa i przegląda mapę przed kolejnym odcinkiem drogi, ale wiedziała, że to niemożliwe.

Potem tknęła ją zupełnie inna nadzieja.

– Zaraz, a może to Cameron? – szepnęła, zerkając na Nolana.

Ten pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To niemożliwe – mruknął. – Przecież po twoich strzałach wybuchło wielkie zamieszanie! Nie sądzę, by ktokolwiek uszedł z życiem. Jeśli Cameron przeżyła, jest teraz częścią żywej spiżarni tych...

Jego głos zadrżał z nienawiści.

– A któż inny siedziałby w kabinie porzuconej ciężarówki tuż pod ich nosem? – sprzeciwiła się Wendy. – Cameron wie więcej o Odmienionych i Przeźroczystych od nas wszystkich razem wziętych. Z pewnością poznała ich zwyczaje.

– O kim wy gadacie? – zniecierpliwił się Parker i wygodniej ułożył karabin maszynowy na kolanach.

– O nieoczekiwanym sojuszniku – powiedziała cicho Wendy. – Musimy podejść bliżej.

Wendy nie wiedziała, czy bardziej zdziwiło ją to, że Cameron spostrzegła ich niemalże natychmiast, czy może to, że biolożka nadal miała na sobie buty na obcasie, spódniczkę i żakiet. Choć skradali się najciszej jak umieli, Cameron otworzyła drzwi ciężarówki, wyszła na zewnątrz i pomachała do Joya i Nolana, skrytych za budką poboru opłat za parking. Potem położyła palec na ustach i przywołała ich gestem.

Joy spojrzał na Nolana. Ten wzruszył ramionami i skinął na resztę. Cała grupa przekradła się bliżej ciężarówki, a Cameron przeszła na tył samochodu i uchyliła drzwi.

– Jesteście przyjaciółmi Wendy? – spytała. – O, witaj, Nolan. Jest i Wendy. Wskakujcie do środka.

– Boże! – jęknął cicho Marcus, patrząc na podarte rajstopy i lekki żakiet biolożki. Sam miał na sobie grubą kurtkę i wełnianą czapkę. – Nie jest pani zimno?

Biolożka spojrzała na niego ze zdumieniem, jakby nie wiedziała, o czym mówi. Zaczekała, aż Casey jako ostatni wejdzie do środka, a potem zamknęła tylne drzwi samochodu. W świetle malutkiej lampki, palącej się w kabinie kierowcy, ich twarze były niewyraźne i pożółkłe.

„Może już wszyscy jesteśmy martwi?” – pomyślała znużona Wendy, a potem przypomniała sobie o prawdziwym Darze Cameron i z trudem opanowała dreszcz lęku.

– Pani doktor, chcielibyśmy przeprosić za to całe zamieszanie – zaczęła mówić najszybciej jak mogła, by pokonać wstyd i zmieszanie. – Wiem, że inaczej się umawiałyśmy, ale... Ale

zobaczyliśmy grupę Przeźroczystych, którzy pojmali naszych przyjaciół, i poniosły mnie emocje. Zaczęłam strzelać. Mam nadzieję, że nie popadła pani w żadne tarapaty?

Biolożka uśmiechnęła się lekko.

– Nie – odparła niemalże wesoło, jakby właśnie opowiadała dowcip zrozumiały tylko dla ludzi z jej kręgu naukowego. – Niemalże natychmiast po pierwszych strzałach pojawiły się pierwsze grupy Odmienionych, ale ja zdążyłam się skryć w szarej kuli i żaden z nich mnie nie spostrzegł.

– A Przeźroczyści? – Parker wpatrywał się w Cameron z niedowierzaniem.

– Nie przeszkadzam im – odparła biolożka. Uniosła przy tym dłoń, jakby chciała spuścić okulary na nos. – Precyzyjniej mówiąc: nie zauważają mnie do tego stopnia, że przez cały dzień spacerowałam swobodnie po ich habitacie. Fascynujące doświadczenie, zapewniam was.

– Z pewnością – bąknął Joy. – Idealny pomysł na weekendową wycieczkę.

– Nie sil się na dowcipy, młody człowieku. – Cameron wyciągnęła stertę kartek i rozłożyła je na podłodze samochodu. Ku zdumieniu zebranych ułożyły się one w mapę.

– Budowla, którą tam widzicie – mówiła wykładowym tonem, wskazując przybrudzone okienko w ścianie – jest w zasadzie kompletna. Przeźroczyści zachowali formę areny sportowej, ale poprowadzili wzdłuż ścian wewnętrznych kilka ścian działowych, tworząc rzędy kolistych korytarzy. Szara masa, z której zostały wykonane, ma nieco inną strukturę od tej, z której wykonali zewnętrzną warstwę. Jest bardziej plastyczna i w sposób, którego nie rozumiem, podtrzymuje życie uwięzionych w niej ludzi.

Wszyscy słuchali słów biolożki z napięciem. Wendy zauważyła, że Nolan zaciska dłonie z taką siłą, że pobielały mu kłykcie.

„Czyżby myślał o Heather?” – pomyślała. Z niejasnych powodów myśl ta wydała jej się nieprzyjemna.

– Wszystkie ściany wewnętrzne są więc pomyślane jako gigantyczna spiżarnia – ciągnęła biolożka. – Odurzeni śpiewem ludzie są systematycznie wtapiani w ściany, które w jakiś sposób podtrzymują ich funkcje życiowe do czasu...

Cameron zawahała się przy tych słowach.

– Do czasu, gdy ich wykrawają i pożerają – dokończył za nią Nolan z ponurą miną. Plamy cienia na jego twarzy złowieszczo kontrastowały z bladością cery, ale Wendy i tak z trudem powstrzymała odruch dotknięcia jego dłoni.

– Nie stwierdziłam tego – powiedziała Cameron, ściągając brwi. – Nie można jednakże wykluczyć tego, że Przeźroczyści w istocie traktują jeńców jako zapas żywności, jeśli nie dla siebie, to być może dla służących im Odmienionych, w przeważającej części wszystko-bądź mięsożernych. Zapotrzebowanie pokarmowe samych Przeźroczystych...

– Że się wtrącę – odezwał się dość szorstko Parker. – Zostawmy sobie szczegóły anatomiczne na inną okazję, bo teraz myślę, że tracimy czas. Czy ten ich cały habitat ma jakieś słabe punkty? Miejsca, przez które moglibyśmy się wkraść?

– Nie. – Cameron pokręciła głową. – Zapewne już wiecie, że Przeźroczyści boją się zimna. Miejsce, które można uznać za wejście, jest zamknięte samozasklepiającą się błoną, która stanowi cud przyrody. Jest tak delikatna, że wystarczy ją mocniej nacisnąć, by rozerwać na strzępy, ale po kilku sekundach zaczyna się samoistnie spajać. Zakładam jednak, że Przeźroczyści zareagowaliby na waszą obecność i odurzyli was wibracjami nawet pomimo słuchawek.

Nolan wyprostował się i oparł potylicą o ścianę cieżarówki. Parker zaklął pod nosem.

– A co oznaczają te znaki? – spytał zaintrygowany Marcus, który wpatrywał się w mapę, nie słysząc rozmowy. Jego palec wodził

wzdłuż północnej krawędzi habitatu, w przeciwieństwie do innych oznaczonej rzędami małych kropek i kółeczek.

– To jak do tej pory jedyna część habitatu, w której przechowywani są ludzie – objaśniła Cameron. – Duże kółka oznaczają osoby w wieku dorosłym, pomniejsze osoby nastoletnie, a kropkami oznaczyłam...

– Patricia – szepnęła Wendy, oszołomiona nagłą myślą.

Biolożka przerwała i spojrzała na nią z zainteresowaniem. Dziewczyna zerknęła na pękaty plecak, który przytaszczył Parker, a potem przygryzła wargę i rzekła:

– Chyba wiem, jak uwolnić przetrzymywanych tam ludzi. Problem w tym, że musiałabyś jeszcze raz wejść do szarej kuli.

W ciężarówce panował półmrok i trudno było mieć pewność, ale wydawało jej się, że biolożka uśmiechnęła się blado.

W drodze do habitatu Przeźroczystych Nolan zaprowadził ich do jednego z posterunków Rady Ocalenia Ludzkości, który podobnie jak pozostałe został zniszczony przez Odmienionych, ale nie rozbrojony. Przeźroczyści wiedzieli już, że broń ludzi stanowi dla nich śmiertelne zagrożenie i ludostwory skrzętnie zabierały ją z zaatakowanych przez siebie placówek, ale najwyraźniej jak dotąd ani jednym, ani drugim nie przyszło do głowy, by przeszukać pobojowiska. Nolan bez wahania powiódł resztę grupy do budynku stacji kolejowej, w której mieściła się kwatera główna. Włączył latarkę i nie przejmując się panującym w środku bałaganem, ruszył prosto ku rzędom metalowych szafek depozytowych.

– Dobrze, że Przeźroczyści nie potrafią czytać – mruknął, oświetlając wypisany flamastrem napis: „AK-47”. Na sąsiedniej widać było „Glocki”, a dalej „MP5” i inne.

Teraz, gdy nad oblepioną szarą masą arenę powoli nadpełzał świt, mogli się tylko z tego cieszyć.

Wendy znów zapomniała o zmęczeniu. Wpatrywała się w habitat, jakby mogła wzrokiem rozbić jego ściany. Jej serce biło jak szalone, a dłonie pociły się na rękojeści pistoletu maszynowego. Nigdy w życiu nie strzelała z broni automatycznej i musiała polegać na zdawkowych objaśnieniach Parkera, ale nie to było najgorsze.

„W ciągu następnych paru minut wszystko się rozstrzygnie – myślała gorączkowo. – Albo zginiemy, albo... Rany, sama nie wiem, co dalej. A może to wszystko jest rzeczywiście niepotrzebne? Może bez powodu wbijamy kij w mrowisko? Może trzeba wrócić do Domu i spróbować żyć normalnie? Przecież...".

Eksplozja była przytłumiona i o wiele mniej efektowna niż w filmach akcji, za to morderczo skuteczna. Przytaszczony przez Parkera spory ładunek semteksu, przerobiony na trzy bomby sprzęgnięte z jednym zapalnikiem, wydarł ogromną czarną dziurę w stalowej konstrukcji areny sportowej i rozerwał szarą masę na przestrzeni wielu metrów. Poszarpane szare ochłapy przemieszane z gruzem i stalowymi elementami spadały wszędzie niczym groteskowy deszcz. Kilka kroków od oszołomionej Wendy rąbnął w ziemię żelbetowy pręt grubości ludzkiego ramienia, a kawał betonu zmiażdżył któryś z samochodów.

Nie przebrzmiał jeszcze huk eksplozji, gdy Nolan wrzasnął:

– Naprzód!

Runął pierwszy ku wyrwie, a obok niego Joy z plecakiem i karabinem maszynowym. Za nimi biegł Parker, nieco zgarbiony, skupiony, wręcz nieobecny, a tyły zabezpieczali Wendy i Marcus, oboje również uzbrojeni po zęby. To właśnie Marcus jako pierwszy dostrzegł zaalarmowanych Odmienionych.

– Są! – krzyknął. – Gotuj się! Casey!

– Wiem – mruknął Indianin. – Mamy niewiele czasu. Uważajcie na siebie, dzieciaki.

Z tymi słowami zamknął oczy.

„Dzieciaki – pomyślała Wendy. – W istocie, nigdy nie czułam się mniejsza i bardziej przerażona”.

Odmienieni wrzeszczeli i miotali się wokół szarej kuli, oszołomieni i wystraszeni eksplozją, lecz gdy powietrzem niespodziewanie poruszyła pierwsza wibracja, zaskakująco gniewna i gwałtowna, ogłupiały tłum rozpadł się na mniejsze, bardziej zdyscyplinowane grupy. Wendy natychmiast nałożyła słuchawki i spojrzała na brata. Ten uniósł kciuk i uśmiechnął się szeroko, naśladując pozę komiksowych superbohaterów, ale jego oczy błyszczały strachem.

„Moje pewnie też... – pomyślała Wendy i wymacała granat w kieszeni. – Kimkolwiek jest ów tajemniczy strzelec, mam wielką nadzieję, że nas nie opuścił”.

Miała wrażenie, że ogląda film bez dźwięku. Pierwsza horda ludostworów, gibkich, przypominających antylopy humanoidów z wielkimi, wręcz przerośniętymi głowami, rzuciła się prosto na nich. Dziewczyna widziała, jak rozchylają usta i wrzeszczą, ale nie usłyszała ani jednego dźwięku. Nie usłyszała również wybuchu pierwszego, przerażająco celnego granatu, rzuconego przez Nolana. Poczuła tylko drżenie gruntu i zobaczyła, jak oślepiająco czerwona eksplozja rozrywa ciała kilku pierwszych biegnących, a reszta rozprasza się w panice. Paru Odmienionych padło nieprzytomnych, inni wlekli się ranni, pozostali kulili się na ziemi i trzymali za głowy.

Jej gorące policzki studził wiatr. Zerknęła na Parkera, spoconego i skupionego jak nigdy dotąd. Celował obiema dłońmi w wyrwę wywołaną eksplozją, a wzbudzany przez niego wiatr nabierał mocy, przewracał przerdzewiałe kosze na śmieci, trzaskał drzwiami samochodów, odrzucał nielicznych Odmienionych wystarczająco nieostrożnych, by podejść bliżej.

Marcus trącił ją w ramię i pokazał coś w górze.

Drobna sylwetka odbiła się spomiędzy nierówności szarej masy, wyskoczyła w powietrze i nagle rozrosła się z głośnym łopotem.

Dołączyły do niej kolejne i przerażona dziewczyna uświadomiła sobie, że patrzy na kilkanaście opadających ku nim istot przypominających meduzy. Kątem oka wychwyciła rozbłysk na końcu lufy broni Marcusa.

Bez namysłu poszła w jego ślady.

Ich serie szatkowały i rozrywały opadające ludostwory, aż nie pozostał żaden. Tymczasem granaty Joya zatrzymały zgraję innych, bladoskórych z dredami przypominającymi wijące się węże. Nolan opróżnił własny magazynek, odrzucił pistolet i wskoczył w sam środek innej sfory, po czym zakręcił się wokół własnej osi i jednym machnięciem ramion odebrał życie wszystkim atakującym.

Potem obrazy zaczęły się zlewać. Wendy strzelała, zmieniała magazynek i znów strzelała, nieświadoma tego, że przez cały czas krzyczy. Co chwila odruchowo zerkała przez ramię i widziała, jak wiatr Parkera pozostawia białą smugę szronu, która staje się coraz szersza. Szron rozlewał się również wzdłuż krawędzi wyrwy i sięgał coraz dalej, jakby moc Parkera mogła zamienić habitat w monstrualną śnieżną kulę. Najgorsze jednak działo się wewnątrz.

Wendy nie miała pojęcia, że małomówny, surowy przewodnik jest w stanie wytworzyć tak niszczącą potęgę. Wywołana przez niego wichura z dzikim rykiem wtłaczała do wnętrza szarej kuli ogromne ilości śniegu. W środku kotłowała się dzika biel, tak jasna, że Wendy musiała zmrużyć oczy.

„Ludzie! – uświadomiła sobie nagle. – Przecież tam są również ludzie! On ich wszystkich pozabija!”.

Złapała go za ramię, które okazało się zaskakująco ciepłe.

– Casey! – krzyknęła. – Już dość! Przestań!

Na pobojowisku, wśród stosów trupów, włóczyło się jeszcze kilku Odmienionych. Oszołomione spojrzenia, jakimi obrzucali garstkę śmiałków, świadczyły o tym, że nikt już nimi nie steruje.

– Tak – wychrypiał Joy i opuścił broń. – Już dość.

Dłonie Parkera opadły. Wściekła wichura zgasła w jednej chwili i pobojowisko otuliła zaskakująca cisza.

– Naprzód – syknął Nolan i jako pierwszy ruszył w stronę wyrwy wywołanej eksplozją. W jego ręku pojawił się żelazny pręt. U boku Nolana wyrósł Joy, skupiony i czujny, za nimi szli Wendy i Marcus, osłaniając boki, a tyły zabezpieczał Parker, który wydawał się wstrząśnięty tym, czego właśnie dokonał.

Na krawędzi wyrwy powitała ich nieporuszona Cameron. Od stóp do głów była pokryta grubą warstwą szronu, ale wszystko wskazywało na to, że nie wywarło to na niej najmniejszego wrażenia.

– Doktor Cameron! – zawołał zaskoczony Parker. – Nie powinna pani tak blisko podchodzić! Umawialiśmy się, że...

– To bez znaczenia – przerwała mu biolożka. – Zaprowadzę was do części wykorzystywanej jako spiżarnia.

– Ale jest pani wychłodzona!

Cameron machnęła ręką i odwróciła się. Grupa weszła za nią do środka, gdzie ich oczom ukazały się fantazyjne konstrukcje z szarej masy, w tej chwili pokryte grubą warstwą śniegu. Przez moment Wendy próbowała sobie wmówić, że wkracza do pięknego królestwa zimy, zupełnie jak w *Lwie, czarownicy i starej szafie*, ale wrażenie zepsuł Nolan, który wyskoczył naprzód z głuchym warknięciem, niosąc pręt. Dopiero wtedy dziewczyna zauważyła niewyraźną, oblepioną śniegiem sylwetkę Przeźroczystego, niemalże wtopionego w bielutką ścianę. Nolan spuścił mu pręt na głowę, rozbijając ją z obrzydliwym chrzęstem.

– Zabijcie każdego z nich – parsknął wściekle.

– Jak na mój gust są dostatecznie martwi – zaprotestował Joy.

– Jak na mój gust za dużo gadasz – oznajmił Nolan.

Joy wzruszył ramionami, rozejrzał się, wypatrzył innego i rozgniótł mu oblicze kolbą karabinu.

Podążali w ślad za Cameron. Nikt nie mówił ani słowa, a jedynym odgłosem był stukot obcasów biologżki oraz rozlegający się co chwila trzask rozbijanej czaszki Przeźroczystego. Joy, Marcus, a nawet stateczny Parker szybko zarazili się furią od Nolana i niszczyli każdego napotkanego przeciwnika, a ci, zamrożeni lodowym podmuchem Indianina, nawet tego nie zauważali.

Wendy jako jedyna nie uczestniczyła w makabrycznej zabawie i ona pierwsza zauważyła, że temperatura otoczenia zaczyna rosnąć. Potem dostrzegła leżącego na ziemi Przeźroczystego, który wydawał się lekko poruszać, i uświadomiła sobie, że znaleźli się w bardziej odległych rejonach habitatu, gdzie wicher Parkera nie był aż tak dotkliwy.

– Docieramy do spiżarni – odezwała się Cameron głosem nauczycielki zwracającej się do szkolnej wycieczki.

Warstwa szronu na ścianach była tu zauważalnie cieńsza i dziewczyna ku swemu zdumieniu i przerażeniu dostrzegła na nich zarysy ludzkich sylwetek. Cameron zauważyła jej wzrok.

– Szara masa jest krucha – objaśniła. – Konsystencją przypomina piankę budowlaną, choć teraz jest nieco zmarznięta. Można ją bez trudu kroić nożem kuchennym.

– Więc do roboty – sapnął Parker i rozgniótł ciężkim traperskim butem czaszkę leżącego na ziemi Przeźroczystego. Wyciągnął długi nóż i zaczął wykrawać ze ściany człowieka zauważonego przez Wendy. Szara masa łatwo poddawała się ostrzu i po chwili więzień z cichym trzaskiem pękającej pianki wypadł na zewnątrz. Indianin złapał go i delikatnie ułożył na ziemi, po czym sprawnie zbadał jego puls.

– Żyje – rzekł, spoglądając na resztę. – Puls jest wolny, ale stabilny. Wydaje się pogrążony w śpiączce.

– Zostaw go tutaj – poleciła Cameron. – Nic mu nie będzie, a my musimy wyzwolić pozostałych.

W ciemnobrązowych oczach Parkera pojawiła się nowa iskierka.

– Zaczynam panią lubić, pani doktor – rzekł. – Czy umówi się pani ze mną, gdy nasza wojna dobiegnie końca?

– Nie – odparła bez emocji Cameron. – Nie byłoby to dla ciebie przyjemne, Casey. Chodź, Wendy.

Dziewczyna, zaskoczona brutalnymi słowami biolożki w tym samym stopniu co Parker, bez wahania ruszyła w ślad za nią. Ta pewnym krokiem szła wśród rzędów wtopionych w ściany ludzi, zastygłych w najrozmaitszych pozach. Z każdym krokiem warstwa szronu stawała się cieńsza i rysy więźniów robiły się wyraźniejsze. Wendy widziała na ich twarzach lęk, zaskoczenie i rozpacz, a nawet fizyczny ból.

– Wygląda na to, że faza stapiania więźnia ze ścianą, na pozór banalna, okazuje się dość bolesnym przeżyciem. – Cameron znów wydawała się czytać dziewczynie w myślach. – Odurzeni ich śpiewem ludzie najwyraźniej źle to znoszą.

Wendy naraz zapragnęła własnoręcznie rozbić czaszkę jakiemuś Przeźroczystemu.

– Dokąd właściwie idziemy? – spytała.

– Już jesteśmy na miejscu – odparła Cameron i wskazała postać na ścianie. Wendy westchnęła z przerażenia.

Rozpoznawała tę piękną, choć zniekształconą strachem twarz. Dobrze znała wiecznie zmarszczone czoło i włosy niesfornie wpadające w oczy. Równie dobrze znała wymalowane na niej zaciętość i odwagę, które tak bardzo chciała w sobie odnaleźć.

– To Heather – powiedział ktoś za jej plecami.

Wendy odwróciła się i ujrzała Nolana. Wpatrywał się w uwięzioną dziewczynę z wyrazem, którego nigdy jeszcze u niego nie widziała. Był to widok tak zaskakujący, że przez chwilę nie umiała go nazwać.

„To łagodność? – spytała z oszołomieniem w myślach. – Tęsknota? A może...”.

Uniesienie, wywołane odnalezieniem przyjaciółki, wyparowało gdzieś, a pozostało wrażenie pustki i odosobnienia. Bez emocji patrzyła, jak Nolan wypuszcza z ręki stalowy pręt, podchodzi do Heather coraz szybszym krokiem, najpierw dotyka jej twarzy, dłoni, ciała, a potem gorączkowo szuka noża.

– Gdzie jest mój nóż? – sapnął ze złością nieco drżącym głosem. – Wendy!

Rozejrzał się w poszukiwaniu dziewczyny, ale znieruchomiał. Jego uwagę przykuło coś innego.

Wendy niechętnie spojrzała w tym samym kierunku i uświadomiła sobie, że Nolan wpatruje się w inną postać, uwięzioną przez Przeźroczystych po drugiej stronie korytarza. W przeciwieństwie do pozostałych więźniów, którzy godzili się na cierpienie, ten do końca nie przestawał walczyć. Na jego mało wyraźnej twarzy zastygł drapieżny grymas, jedno ramię unosiło się jak do ciosu, a drugie sięgało po coś. Palce zaciskały się, jakby człowiek do ostatniej chwili próbował kogoś złapać.

Złapać? A może sięgnąć po kogoś?

Zaskoczona myślą Wendy spojrzała w tym samym kierunku, w którym patrzył mężczyzna, nim oblepiony przez szarą masę zapadł w letarg.

Patrzył na Heather.

Wtedy dziewczyna uświadomiła sobie, że skądś zna tego człowieka. Rozpoznawała jego rysy twarzy, przypominała sobie również skórzaną kurtkę z pasem zakończonym ciężką klamrą.

„Riders on the Storm – pomyślała. – Ten gang motocyklistów... Jak się nazywał ten Anglik? Fire? Nie, chyba Flame...”.

Odwróciła się w stronę Nolana, chcąc użyczyć mu noża, gdy niespodziewanie ujrzała jego spojrzenie. Wszelkie ciepłe uczucia, które tak zaskoczyły ją chwilę temu, wyparowały bez śladu. W ich miejsce pojawiła się zimna, bezwzględna nienawiść.

Chłopak odwrócił się i wyszedł.

Ciemność rozbłysła bólem.

Wstrząśnięta Wendy pospiesznie otworzyła oczy i rozejrzała się, masując czoło.

– Zasnęłaś – mruknął Parker, pochylony nad kierownicą.

– Przepraszam – wychrypiała rozespana dziewczyna i odruchowo przygładziła włosy. – Nie chciałam...

– Daj spokój – rzucił Indianin. – Należy ci się chwila wypoczynku.

Jego blada twarz i podkrążone oczy sugerowały, że potrzebował wytchnienia tak samo jak ona i Wendy poczuła tym większe wyrzuty sumienia.

– Daleko jeszcze? – spytała w nadziei, że odpowie: „Zaledwie kawałek”.

– Zaledwie kawałek – odparł Indianin.

Wendy zerknęła na zegarek, umieszczony pośrodku deski rozdzielczej, i pokręciła z dezaprobatą głową. Dochodziła piąta po południu, co oznaczało, że zasnęła zaledwie pół godziny temu. Mieli przed sobą jeszcze spory szmat drogi.

– Casey, zamieńmy się – powiedziała. – Umiem jeździć samochodami z manualną skrzynią.

Kąciki ust Indianina uniosły się lekko, jakby pomimo skrajnego znużenia słowa dziewczyny tylko go rozbawiły. Wendy sapnęła ze zniecierpliwieniem i rozparła się na siedzeniu. Casey Parker był wspaniałym człowiekiem. Nie skarżył się, nie tracił opanowania i zawsze w pierwszej kolejności myślał o innych, ale nigdy, przenigdy nie pozwalał sobie pomóc.

„Baran – pomyślała, spoglądając przez brudne, zakurzone okno ciężarówki. – Uparty, stary baran".

Zapadał zmrok i szczegóły mijanej okolicy rozmywały się. Kiedyś, na długo przed Końcem Świata, była to jej ulubiona pora dnia. Nigdy nie przyznałaby się do tego przed nikim w szkole – z uporem lansowała przecież image szorstkiej, sarkastycznej, odpornej na wszelkie piękno gothki – ale uwielbiała siadać przy oknie z kubkiem gorącej czekolady i patrzeć, jak jesienny zmierzch otula Cracktown. Liczyła światła migoczące w oknach i zastanawiała się, co robią mieszkający tam ludzie, potem unosiła wzrok i przyglądała się gwiazdom. Piła stygnącą czekoladę, marzyła i tęskniła za czymś, czego nie umiała nazwać.

„Chyba za życiem, w którym nie musiałabym niczego udawać – pomyślała z goryczą. – Wygląda na to, że się doczekałam".

Krajobraz za oknem był całkowicie ciemny, a gwiazdy nad głową, świecące coraz jaśniej, wydawały się tym razem zimne i złowrogie. Jedynym źródłem światła były reflektory cieżarówki, oświetlające spękaną szosę, oraz emanacja prędkościomierza, zamieniająca twarz Parkera w trupią maskę.

Wendy pochyliła się i spojrzała w lusterko wsteczne. Ciężarówka prowadzona przez Joya jechała tuż za nimi, a na samym końcu podążał mikrobus, którym kierowała Cameron. Niewielka karawana uwoziła ponad czterdzieści osób ocalonych z habitatu Przeźroczystych, w tym Heather, Flame'a oraz grupkę dzieci. Byłby to bez wątpienia najwspanialszy moment w życiu Wendy, gdyby nie to, że wycięcie z masy tworzącej ściany we wnętrzu szarej kuli

bynajmniej nie przywróciło nikogo do pełni sił. Ocaleni przez nich ludzie żyli i oddychali, ale nie wykazywali żadnych oznak przytomności. Nie pomogło mówienie, nic nie dało szarpanie, szczypanie czy nawet polewanie wodą. Wieźli czterdzieści bezwolnych warzywek i nikt nie miał bladego pojęcia, co zrobić, by ich przywrócić do formy.

„Co tu począć?" – pomyślała Wendy po raz setny. W myślach przejrzała znane sobie Dary, ale nie widziała żadnych rozwiązań.

– Dokąd właściwie jedziemy? – spytała, by czymś zająć myśli.

– Nie wiem – odparł Indianin i potarł czoło. – Jak najdalej. Przydałby się jakiś szpital czy coś w tym stylu! – zaśmiał się gorzko. – Ci ludzie – wskazał kciukiem tył furgonetki – potrzebują pomocy. Ta szara masa w jakiś sposób podtrzymywała ich funkcje życiowe. W przeciwnym razie już by poumierali z głodu. Boję się, że lada moment cała nasza walka pójdzie na marne.

Wendy przymknęła oczy. Pomyślała o Heather, trupio bladej, bezwładnej, z trudem przytaszczonej do samochodu przez Joya i Marcusa. Nie wiedziała, ile czasu spędziła przy niej, mówiąc do niej i czesząc jej włosy, ale gdy wstała, jej twarz była całkiem mokra od łez. Posiedziała chwilę dłużej przy Flamie, ale Anglik, podobnie jak reszta, również nie wykazywał oznak przytomności. Odbili z rąk Przeźroczystych czterdzieści żywych trupów. Ich zwycięstwo miało gorzki posmak klęski.

Parker zerknął w boczne lusterko, a potem uczynił to raz jeszcze. Zmarszczył brwi, zjechał na pobocze i zaciągnął ręczny hamulec, po czym złapał pistolet maszynowy, otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Do środka wtargnął zimny wiatr. Zaskoczona Wendy patrzyła, jak staje na środku popękanej jezdni i wpatruje się w ciemność za nimi. Odruchowo skinął na jadące z tyłu samochody, które zatrzymywały się jeden po drugim.

Wendy dopięła kurtkę i wyszła za Parkerem.

Joy odchylił okno i wystawił głowę.

– Co się dzieje?! – wykrzyknął.

– Wydawało mi się, że widzę za nami światła jeszcze jednego samochodu! – odkrzyknął Indianin.

– Może to minibus Cameron?

– Nie, znacznie dalej! – Parker nadal wpatrywał się w ciemność, obojętny na wiatr, który wydymał jego kurtkę i szarpał włosami.

– Słuchaj, Casey! – odezwał się znów Joy, tym razem mniej pewnie. Wendy spojrzała na niego i wydawało jej się, że w półmroku szoferki dostrzega obrys twarzy Nolana, niewyraźnej, ledwie widocznej, a mimo to złowrogiej.

„Co się z nim stało wtedy w szarej kuli? – po raz setny zapytała się w myślach. – Dlaczego wyszedł i nie odezwał się już ani słowem?".

Parokrotnie chciała podejść i zapytać dlaczego, ale delikatna więź, jaka nawiązała się między nimi przez ostatnich kilka dni, pękła bezpowrotnie. Znikł gdzieś szalony, wojowniczy entuzjazm, dzięki któremu Nolan wydawał się w miarę ludzki. W to miejsce pojawiła się niebywała oschłość, typowa dla ludzi, którzy utracili resztki nadziei.

„Co się z nim stało?" – myślała.

Ledwie zarejestrowała to, że Joy cały czas mówi.

– ...jakieś pięćdziesiąt mil! Może mniej! Tymczasem chyba idzie śnieżyca!

Przez snopy światła reflektorów przemykały pierwsze drobinki śniegu. Wendy czuła delikatne, zimne ukłucia na policzkach. Parker potrząsnął głową.

– Wiem, że idzie śnieżyca! – powiedział ze złością. – Ale nic na to nie poradzę! Nie znam tych okolic i nie wiem, gdzie można zawieźć tych ludzi! Na pewno nie do Domu!

– Czemu nie? – spytała Wendy, z trudem skupiając się na rozmowie.

– Nie wiadomo, czy Przeźroczyści nie śledzą nas w jakiś sposób! – Casey wpatrywał się w mrok. – Nie możemy ich podprowadzić do jedynego bezpiecznego miejsca w tym świecie!

Trzasnęły drzwi samochodu. Jak duch wyłonił się Nolan.

– Schronisko Lee również odpada – rzekł. – Przeźroczyści obserwują je przez te cholerne rozgwiazdy na ścianach.

Wiatr dmuchnął mocniej, drobne śnieżynki zatańczyły w świetle reflektorów.

– Potrzebujemy odosobnionego, ciepłego, wygodnego miejsca, najlepiej pełnego zapasów żywności i obsadzonego przez sztab fizjoterapeutów! – parsknął Casey i uderzył pięścią o dłoń. – Przyjmę każdą propozycję! – rzucił z sarkazmem. – W przeciwnym razie chwytajmy za łopaty, nim ziemia zamarznie. Trzeba będzie wykopać groby dla Heather i reszty.

Wendy zamrugała oczami. Wzmianka o Heather niespodziewanie podsunęła jej pewien niesprecyzowany jeszcze pomysł.

– Poczekaj – szepnęła. – Chyba znalazłam rozwiązanie. Niech no coś sprawdzę.

Do Nolana i Parkera podszedł Marcus, dopinając kurtkę. Joy nadal wyglądał przez okno i naciągał czapkę na oczy. Cała czwórka ze zdumieniem powiodła wzrokiem za Wendy, która wskoczyła do szoferki, otworzyła torbę i zaczęła w niej grzebać. Natychmiast wymacała grzbiet sfatygowanego pamiętnika i przewertowała go pospiesznie w świetle kieszonkowej latarki.

– Już, już... – szeptała do siebie. – Mam!

Powróciła do reszty, trzymając pamiętnik Heather założony na odpowiedniej stronie. Wiatr niecierpliwie szarpał kartkami zeszytu.

– Jest takie miejsce! – oznajmiła z tryumfem. – Heather dobrze je opisała. Pamiętacie Golden Leaves?

– Ten dom starców? – Marcus przypomniał sobie jako pierwszy. – Rany boskie, ty chyba masz rację!

Casey oparł karabin o karoserię furgonetki, wyciągnął ze środka mapę samochodową i rozpostarł ją na masce pojazdu. Jego palec w wełnianej rękawiczce zatoczył koło na południe od Marington, ale potem wrócił wzdłuż drogi międzystanowej na północ.

– To jakieś pięćdziesiąt mil! – powiedział z ożywieniem. – Za kilka godzin bylibyśmy na miejscu. Znakomity pomysł, Wendy.

Uśmiechnięty Marcus poklepał ją po ramieniu, a Joy uniósł kciuk. Wendy wpatrywała się jednakże tylko w Nolana, którego twarz nawet nie drgnęła, zupełnie jakby jej nie usłyszał.

– ...koniecznie zatankować! – zawołał Joy i wskazał coś nad ich głowami.

Kilkadziesiąt kroków dalej, na skraju zasięgu reflektorów, znajdował się znak drogowy zapraszający do przydrożnej stacji paliw.

Przez ostatnich kilka miesięcy wszyscy mieszkańcy Domu przywykli do korzystania z ręcznych pomp paliwowych, ale po raz pierwszy zdarzyło im się tankować samochody podczas śnieżycy. Wystarczyło niecałe pół godziny, by świat przesłoniła niesiona wiatrem, wirująca biel. Joy i Marcus, wściekle przeklinając, szarpali za wajchę, Nolan penetrował wnętrze sklepiku, smagając ciemne wnętrza światłem latarki, a Parker i Wendy, owinięci szalikami po oczy, stali na straży i próbowali przeniknąć wzrokiem śnieżną ćmę.

Myśli Wendy, równie niespokojne jak podmuchy wiatru, krążyły wokół pamiętnika Heather. Usiłowała skupić się na czymkolwiek, byle nie myśleć o Nolanie. Na szczęście odnalezienie wzmianki o Golden Leaves przypomniało jej o innym niewyjaśnionym sekrecie.

– Casey! – odezwała się do Indianina.

Ten powoli odwrócił głowę ku niej. Śnieg oblepiał jego szal, brwi i rzęsy.

– Czytałeś pamiętnik Heather, prawda?

– Tak, jakiś czas temu. – Jego głos był niewyraźny i stłumiony. – Czemu pytasz?

– Pamiętasz może, o czym był jej ostatni wpis?

– O szarych kulach i o tym, że Przeźroczyści emitują te swoje przeklęte fale. Powtórzę: dlaczego pytasz?

– Tak sobie.

Znów skupiła się na próbach przeniknięcia śnieżycy wzrokiem.

„W istocie, ostatni wpis w pamiętniku Heather dotyczy fal Przeźroczystych – myślała. – Ciekawe, czy kiedykolwiek istniał jakiś późniejszy. W pamiętniku widać resztki wyrwanych kartek. Czy tak było od początku? A może Heather napisała tam coś, co nie spodobało się Parkerowi, i ten postanowił tę wiedzę zataić? Przecież ten człowiek jeszcze kilka tygodni temu zrobiłby wszystko, by tylko uchronić Dom przed niebezpieczeństwem!”.

Przyglądała mu się bacznie, jakby mogła w ten sposób dojść do tego, czy tajemniczy Indianin mówi prawdę. Już otwierała usta, by zadać mu kolejne pytanie, gdy przez świst wiatru przedarło się wołanie Joya:

– Hej! Profesor Cameron! Podjeżdża pani czy nie?

Wendy odwróciła się i ujrzała obu chłopaków nad pompą, wymachujących rękami w kierunku samochodu, za kierownicą którego siedziała biolożka. Od chwili wyjazdu Cameron nie zamieniła z nikim ani słowa i nie wysiadła ani razu z samochodu. Teraz siedziała nieruchomo i patrzyła przed siebie, a silnik jej pojazdu pomrukiwał cicho, uśpiony w tym samym stopniu co kierowca.

– Halo! – Przemarznięty Joy stracił cierpliwość. – Słyszy nas pani? Czy może zamarzła już pani na śmierć?

Wendy uśmiechnęła się wbrew sobie.

„Żebyś ty wiedział...”.

Jej myśli przerwał szum silniczka opuszczającego szybę od strony kierowcy. Potem pojawiła się ręka Cameron trzymająca obrzyna. Celowała prosto w chłopaków.

– Odbiło jej! – wrzasnął Joy i obaj z Marcusem rzucili się na boki.

Mrok nocy rozdarł ogłuszający huk, obie lufy plunęły ogniem. Przez długą sekundę, może dwie, nic się nie działo, a potem wśród zamieci zamajaczył ogromny kształt. Przypominałby niedźwiedzia polarnego, gdyby nie głowa, przerażająco ludzka i o wiele za mała w stosunku do reszty ciała. Pośród jasnego, targanego wiatrem futra czerniała plama krwi.

Sekundę później stworzenie runęło bez życia na drogę i zamarło na bielejącej ziemi, kilkanaście kroków od zderzaka samochodu Parkera i Wendy.

Dwie sekundy później rozpętało się piekło.

Kolejny potwór wyłonił się zza budynku stacji paliw. Z głuchym pomrukiem ruszył na Joya i Marcusa, ale wtedy pojawił się Nolan. Trzasnął głośno drzwiami, rozbijając szybę i przyciągając tym samym uwagę Odmienionego. Wyrzucił ręce przed siebie i jednym gwałtownym machnięciem odebrał mu życie. Jego twarz przypominała teraz mroczną maskę.

– Tam! – wrzasnął Parker i uniósł broń.

W śnieżycy przemykały kolejne kształty. Indianin bez wahania otworzył ogień, a Wendy poszła w jego ślady. Broń nie leżała już źle w jej dłoni, wręcz przeciwnie. Wystarczyła jedna bitwa, by stała się naturalnym przedłużeniem ręki.

Serie pocisków siekły śnieżną ćmę, terkotaniu broni odpowiedziały dzikie wrzaski, trudno powiedzieć: bólu czy furii. Joy poderwał się, uniósł strzelbę i wpakował dwa pociski w kolejnego Odmienionego, który wychynął z zawiei. Wendy władowała całą serię w białawego olbrzyma, który wyłonił się zza starego datsuna charade, stojącego

przy pojemnikach na śmieci. Marcus ostrzelał innego, próbującego zeskoczyć z zadaszenia dystrybutorów, Nolan pozbawił życia jeszcze innego, który podpełzł do mikrobusa Cameron i usiłował wejść do środka. Potem sam wspiął się na dach pojazdu i zeskoczył między dwie włochate, pochylone bestie z rzędami płytek wyrastającymi wzdłuż grzbietu. Powietrze nagle stężało, twarz Nolana pociemniała i oba ludostwory, jeszcze chwilę temu pędzące na Wendy, osunęły się miękko na ziemię.

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko ogłuszający łoskot wystrzałów, a potem wszystko ucichło. Oszołomiona Wendy widziała dookoła parujące zwłoki zastrzelonych Odmienionych. Poświstywał wiatr.

– Wszyscy cali? – Ciszę przerwał okrzyk Marcusa.

– Tak! – zawołała drżącym głosem Wendy. Potem zaś odezwał się Joy.

– Niech to szlag! – ryknął Parker, tracąc słynne opanowanie. – Niech to cholera jasna!

Przeładował pistolet, podszedł do najbliższego powalonego ludostwora i wpakował w niego cały magazynek. Rozbłyski wystrzałów w regularnych odstępach czasu opromieniały jego wykrzywioną furią twarz.

Trzaśnięcie drzwi samochodu, które nastąpiło chwilę po jego serii, zabrzmiało jak kolejny wystrzał.

– Już pan rozładował emocje? – Cameron szła ku niemu. Jej spojrzenie było chłodniejsze od powiewu wiatru. – Ten Odmieniony był martwy od dobrych dwóch minut, a pan zdaje się nie opracował jeszcze metody pozyskiwania nabojów z powietrza.

– Ścigali nas? – spytał, a raczej stwierdził Marcus. – Założę się, że wysłali ich kolesie tych Przeźroczystych, których załatwiliśmy dziś rano.

„Dziś rano? – pomyślała otępiała Wendy. – Mam wrażenie, że upłynęła wieczność”.

– Nie ma sposobu, by to udowodnić – rzekła biolożka. – To, że ci są do siebie podobni, niczego nie dowodzi. Odmienieni najczęściej łączą się w stada o zbliżonych cechach gatunkowych. Niewykluczone, że naruszyliśmy terytorium grupy, która postanowiła go bronić.

– Kończcie tankowanie – polecił Parker. – Ruszamy w dalszą drogę. Chcę być przed świtem w Golden Leaves.

– Beze mnie – rzekł Nolan, nie patrząc na nikogo.

– Oszalałeś, chłopcze – warknął Parker, zatrzymawszy się w pół kroku.

– Nie, Casey – powiedział dziwnie miękkim głosem chłopak. – To ten świat oszalał. Ja tylko próbuję podjąć decyzje właściwe dla siebie i dla innych. W Domu czy też w Golden Leaves czułbym się równie źle jak w grupie Lee, a wy – przyznajcie to sami – odetchniecie z ulgą, gdy się od was odłączę. Nie mam po co... Nieważne. Będę zabijał te paskudztwa i kontynuował rozpoznanie. Może się na coś wam przydam.

W jego głosie nieoczekiwanie pojawił się tak głęboki smutek, że Wendy aż zabolało serce. Wpatrywała się intensywnie w twarz Nolana, lecz ten nawet na nią nie spojrzał.

Indianin odetchnął ciężko i spojrzał ku niebu, sypiącemu śnieżnym puchem.

– W Domu mamy radiostację polową – wychrypiał, patrząc na chłopaka wzrokiem, jakiego Wendy nigdy jeszcze nie widziała. Nie umiała rozpoznać tych emocji. Duma? Zazdrość? Niedowierzanie?

– Zapisz sobie częstotliwość – ciągnął Parker mocnym głosem. – Barry prowadzi nasłuch codziennie między dziewiątą i dziesiątą wieczór. Jeśli dowiesz się czegoś ważnego, przekaż nam tę informację. Jeśli nie... Cóż, uważaj na siebie, synu. Prosto z Golden

Leaves wracam do Domu, tam skrzykuję oddział ochotników i ruszam do Marington, by porozwalać te szare purchawy. Daj mi tydzień, maksymalnie dziesięć dni. I nie martw się o nic. Wezmę ze sobą Jane, ona cię znajdzie.

Nieoczekiwana deklaracja Caseya sprawiła, że wszyscy na powrót zamilkli, poruszeni. Jako pierwszy odezwał się Joy:

– O ile dobrze pamiętam, Jane posłała nas ostatnio w siną dal. Lepiej sam się o siebie zatroszcz, Nolan, bo Dar naszej Jane nie działa już tak jak kiedyś.

– Dary się nie psują, a jedynie stają coraz potężniejsze. – Parker smagnął go wzrokiem. – Istnieje w związku z tym szansa, Joy, że twój też kiedyś na coś się przyda. I lepiej się postaraj, bo ruszamy na wojnę.

– Coś wymyślę, wodzu! – Joy rozpromienił się. Marcus zaklaskał dłońmi w rękawiczkach, nawet przez twarz Nolana przemknął cień uśmiechu.

Słysząc jego słowa, Wendy podjęła ostateczną decyzję.

– Casey, mogę zamienić z tobą dwa słowa na stronie? – spytała cicho, tak by nie usłyszał jej nikt inny poza przewodnikiem, a w myślach dodała: „Bywaj, Heather”.

Nolan z grzechotem zrzucił stertę polan na podłogę. Wendy zamrugała oczami i wysunęła głowę spod koca.

– Czy ty kiedykolwiek odpoczniesz? – spytała zaspanym głosem.

– Za chwilę. – Nolan był nieco zdyszany, a jego policzki różowiły się lekko. Wyglądał nadspodziewanie normalnie. – Nie wiadomo, jak długo ta śnieżyca potrwa.

– Na litość boską! – Wendy usiadła wygodniej i wskazała rosnącą stertę drewna przed kominkiem. – Przetrwalibyśmy „sztorm stulecia" z tym, co narąbałeś. Czytałeś tę książkę?

– Widziałem film – odparł sucho Nolan. – Przez wiele lat szukałem czegoś, co przerazi mnie bardziej niż zwykłe życie, ale nie znalazłem. Nawet *Krąg* nie dał rady. Zaraz wracam.

Otworzył drzwi. Zaskrzypiały schody, a potem rozległo się stłumione trzaśnięcie. Wendy westchnęła i podeszła do okna. Odsunęła zasłony. Na zewnątrz panowały całkowite ciemności, przesycone niesioną wiatrem bielą. Śnieżyca przybrała na sile tak bardzo, że mały datsun, którym wyruszyli spod stacji benzynowej, mógł lada chwila ugrzęznąć. Postanowili więc przeczekać noc w pobliskiej willi, która okazała się luksusową rezydencją z wielkim

marmurowym kominkiem, aksamitnymi zasłonami i dębowymi podłogami.

„I na co komu to wszystko? – pomyślała dziewczyna, muskając palcami drogocenny parapet. – Właściciel tego majątku pewnie biega teraz po lesie i wyje do księżyca".

Rozbawiła ją ta myśl na moment, a potem wytężyła uwagę. Gdzieś pośród tej zamieci stał ich niewielki samochód, a Nolan rąbał drewno w świetle jego reflektorów. Śnieżyca była tak gęsta, że nie widziała nawet tego. Wydawało się, że cały świat zewnętrzny znikł za śnieżną kotarą.

„Zupełnie jakby nadszedł drugi Koniec Świata".

Myślami wróciła do rozmowy, którą odbyła z Parkerem tuż przed opuszczeniem grupy.

„Nie mogę rozmawiać z Marcusem – powiedziała mu. – Znam go. Będzie histeryzował, namawiał mnie, bym nigdzie sama nie jechała, tłumaczył, że musi o mnie dbać i że gdzieś indziej nie jestem bezpieczna. Boże, spójrz na te trupy! – Pokazała mu ciała zastrzelonych Odmienionych. – Nigdzie nie jest bezpiecznie. Poza tym ja nie jadę sama".

Indianin, jak dotąd nieporuszony jej słowami, uniósł wówczas głowę i spojrzał na Nolana, który odgarniał śnieg z pracującego na jałowym biegu datsuna.

„Ten chłopak to szaleniec – rzekł w końcu, a w jego ciemnych oczach błysnęło wówczas zrozumienie. – Daj sobie spokój, Wendy. Już kiedyś jedna dziewczyna opuściła Dom, podążając za nim, i nic dobrego z tego nie wyniknęło".

Potrząsnęła głową, nie chcąc tego słuchać.

„Ja... Nieważne. Nie próbuj mnie przekonać, Casey. Dość już mam słuchania tego, co powinnam zrobić".

„Popełniasz błąd".

„Możliwe. Spotkamy się za kilka dni i wtedy się przekonamy. Teraz pozwól mi działać. Mam zresztą... Mam pewien pomysł, który muszę zrealizować" – skłamała.

„Kłamiesz".

„Przekonaj Marcusa. O to jedno cię proszę. Aha, i jeszcze coś. W »Golden Leaves« znajdziesz Pratta".

„Tego sukins...".

„Nie. To już nie jest ten sam człowiek. Daj mu spokój, dobrze? Obiecaj mi, że nie będziesz próbował zrobić mu krzywdy".

„Obiecuję".

Drzwi znów skrzypnęły i do środka wszedł Nolan, przynosząc ostatnią porcję drewna. Strzepał śnieg z ramion i głowy, a potem przykucnął przed kominkiem i zaczął ogrzewać dłonie.

– Zabawne, że to, co jeszcze niedawno było luksusem, teraz stało się sposobem na przetrwanie – powiedziała Wendy.

Nolan skrzywił się lekko. Po chwili wstał i sięgnął do plecaka, z którego wyjął kilka zafoliowanych opakowań z parówkami.

– Zabawne jest to, że te parówki nadal nadają się do spożycia – rzekł. – Wielka jest moc konserwantów. Ile chcesz?

Jedli ze smakiem i żartowali. Wiatr świstał za oknem, trzaskało palące się drewno. Wendy przymknęła oczy i po raz kolejny wyobraziła sobie, że świat zewnętrzny nie istnieje, a ona została uwięziona w luksusowej, opuszczonej rezydencji wraz z... No właśnie, z kim? Z szaleńcem? Mordercą? Obłąkanym mścicielem? A może po prostu zwykłym chłopakiem, którego okoliczności zmusiły do zajmowania się złymi rzeczami?

Rzeczami, które były złe, ale służyły dobru?

Spojrzała na niego ukradkiem. Był wymizerowany, blady i nieco brudny, ale w jego oczach dojrzała dzikość, która wydawała jej się intrygująca. Odgarnął włosy z oczu, zebrał plastykowe opakowania i podszedł do kominka, by je wrzucić do ognia.

– Zostaw je lepiej na podłodze – powiedziała Wendy. – Palący się plastyk śmierdzi jak diabli. Moja rodzina miała podobny w letnim domku mojego ojca i kiedyś...

– W letnim domku mojego ojca – powtórzył drwiąco Nolan, ale opakowania położył obok kominka. – Co dziewczyna z dobrego domu robi w towarzystwie kogoś takiego jak ja?

– Walczy z Przeźroczystymi.

– A serio? – Nolan przeszył ją wzrokiem. – Dlaczego nie zostałaś z Marcusem i Parkerem?

– Skoro ci się to nie spodobało, to dlaczego nie zaprotestowałeś, gdy wsiadłam do samochodu?

– Wciąż nie odpowiedziałaś na pytanie.

– Odpowiem, jeśli ty odpowiesz na moje.

– Aha. – Nolan rozparł się na wygodnym fotelu naprzeciwko dziewczyny i założył nogę na nogę. – Bawimy się w szczerość, tak? Dobrze. Co chcesz wiedzieć?

Wendy przez moment skubała brzeg koca, aż zebrała się na odwagę, spojrzała na niego i zapytała:

– Wtedy w szarej kuli, gdy ujrzałeś Heather i Flame'a... Dlaczego wyszedłeś z taką złością? Co się stało?

– Mam z tym Anglikiem na pieńku – odrzekł Nolan, patrząc w ogień. – Spotkaliśmy się przed Marington w pewnej dziurze o nazwie Dogsville i... No, nieważne. Doszło między nami do różnicy zdań.

„Dogsville" – powtórzyła Wendy w myślach, a głośno dodała: – I to tyle? Zobaczyłeś starego wroga, obraziłeś się i poszedłeś sobie? Jesteś pewien, że chodzi tylko o to?

Oczy Nolana były zimne jak śnieżyca.

– Tak. A teraz ty odpowiedz na moje pytanie.

– Cóż. – Wendy spojrzała na przesłonięte okno. – Chciałam wrócić do szarych kul i coś wypróbować. Wymyśliłam jeszcze jeden sposób

na walkę z Przeźroczystymi.

– Opowiesz mi o tym?

– Nie. Muszę najpierw coś sprawdzić. – Dziewczyna wciąż unikała jego wzroku. Gdzieś skrzypnęła podłoga.

– Jasne. – Nolan uśmiechnął się bez wesołości. – I ja mam ci w to uwierzyć?

– Wierz sobie, w co chcesz.

Chłopak obrzucił towarzyszkę lekko drwiącym spojrzeniem.

– Mniejsza o to. – Machnął ręką. – Bez sensu są takie rozmowy. Dobrze, że tu jesteś.

Zaskoczona jego słowami Wendy patrzyła, jak naciąga czapkę, bierze koc i otula się nim szczelnie.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz porządnie spałem – powiedział z przepraszającym uśmiechem i zamknął oczy. Wendy spoglądała, jak zasypia, a potem, gdy jego oddech stał się rytmiczny, przeniosła wzrok na ogień.

„Dobrze, że tu jestem – powtórzyła w myślach. – Zobaczymy. W każdym razie dobrze, że nie drążyłeś, Nolan. Nie miałabym pojęcia, co ci powiedzieć".

Spała snem niebywale mocnym. Wydawało jej się, że gdzieś skrzypnęły drzwi i zerwał się przeciąg, ale nie wiedziała, czy to aby nie część majaków. Tak czy owak nie byłaby w stanie się dobudzić. Trwała więc w błogiej nieświadomości, aż do wnętrza pokoju zaczęła wnikać szarość. Z trudem otworzyła oczy i spojrzała na żarzące się drwa w kominku. Z każdym oddechem wokół jej ust pojawiał się obłoczek pary.

– Ale zimno – westchnęła i opanowała dreszcze. – Nolan?

– Wyszedł – odpowiedział jej obcy głos.

Wendy zerwała się, błyskawicznie odpędzając resztki senności. Jej serce biło mocno. Na fotelu, na którym spał Nolan, rozparł się teraz nieznajomy mężczyzna. Miał na sobie puchową kurtkę z kapturem, wojskowe spodnie i mocne, ciepłe buty, ale uwagę dziewczyny w pierwszej kolejności przyciągnął karabin z celownikiem optycznym na jego kolanach. Z narastającym lękiem spojrzała na jego twarz, na pierwszy rzut oka jowialną i dobrotliwą, nieco zarumienioną, ale dziewczynie nie spodobał się wyraz niebieskich oczu, zniekształconych nieco przez grube szybki okularów.

– Jak to wyszedł? – podniosła się, nadal zakrywając kocem, jakby była naga. – Kim pan jest?

– Kim jestem? – spytał obcy. – Cóż, na to pytanie akurat nie jestem przygotowany. Załóżmy, że mam na imię Oliver. No, niech będzie Ollie.

– Co pan tu robi? – Wendy zerknęła na nocny stolik, gdzie przed zaśnięciem położyła broń. Stolik był pusty.

– Siedzę. – Nieznajomy uśmiechnął się i zdjął okulary, by przetrzeć zaparowane szkło. – Pilnuję twego snu. Dobry, zdrowy sen to przywilej w tych ciężkich czasach.

– W porządku. – Wendy wstała i uniosła dłonie w obronnym geście. – Jest pan niezmiernie dowcipny, ale ja jakoś nie mam nastroju do zabawy. Będę więc wdzięczna, jeśli pójdzie pan stąd w diabły, chyba że, oczywiście, jest pan właścicielem tej rezydencji. Wtedy to my się stąd zwiniemy.

– Pozwolisz, że poprawię kilka błędów. – Oliver uniósł dłoń w wełnianej rękawiczce bez palców. – Po pierwsze, to nie „my”, tylko ty. Już mówiłem, że twój przyjaciel odjechał. Datsun to dobra marka. Odpalił za drugim razem.

– Nolan! – krzyknęła dziewczyna. Odpowiedziała jej grobowa cisza.

– Drugi błąd to prawo własności – ciągnął Oliver, zginając powoli drugi palec. – Moim skromnym zdaniem Koniec Świata oraz upadek

wszelkich form społecznych sprawiły, że możemy wreszcie definiować prawo własności wedle własnego uznania.

– Nie mam zamiaru tego słuchać! – Wendy przypadła do okna i gwałtownym szarpnięciem rozsunęła zasłony. Zamrugała parokrotnie, oślepiona jasną szarością nieba, ale po chwili z przerażeniem skonstatowała, że człowiek przedstawiający się imieniem Oliver nie blefuje. Samochodu nie było.

Nolana również.

– Może jednak powinnaś, bo to dotyczy również ciebie – ciągnął Oliver spokojnie.

Wendy przemknęła przez pokój. W biegu porwała torbę, wypadła na schody i zbiegła pospiesznie na dół, potykając się kilka razy. Przypadła do klamki przy imponujących drzwiach wejściowych i szarpnęła za nie parokrotnie, ale nie ustępowały. Dziewczynę oblał zimny pot.

– Zamknąłem je, byśmy mogli dokończyć rozmowę w spokoju! – zawołał mężczyzna u góry schodów. – Tylne drzwi również, więc oszczędź sobie wysiłku. A zatem... Chciałem ci przekazać, Wendy, że wedle filozofii, którą wypracowałem przez ostatni tydzień...

– Zamknij się! – warknęła dziewczyna. Przypadła do ciężkiego stolika, na którym były właściciel rezydencji zapewne kładł kluczyki, komórkę i portfel, chwyciła go za nogę i przymierzyła się do uderzenia w okno. Rzuciła spojrzeniem za siebie, ale Olivera nigdzie nie było widać. Dodało jej to otuchy. Uchwyciła ciężki stolik mocniej i...

Silne uderzenie w twarz posłało ją na ziemię. Stolik upadł z trzaskiem tuż obok niej.

– Szyby są antywłamaniowe – poinformował ją Oliver. – Nie udałoby ci się ich rozbić nawet przedmiotem dwakroć cięższym, ale skoro przychodzą ci do głowy rozmaite gwałtowne pomysły, ustalmy sobie coś raz na zawsze. Stanowisz moją własność.

– Co? – parsknęła Wendy, podnosząc się na rękach. Splunęła krwią i spojrzała na nieznajomego z furią. – We łbie ci się pomieszało, idioto!

– Och, nie. – Oliver postawił stolik na miejsce i usiadł na ostatnim stopniu schodów. – Bynajmniej. Filozofia, którą sobie wypracowałem, nie jest szczególnie skomplikowana, ale prosta i klarowna. W dobie kryzysu ludzkości mamy prawo do ustalania własnych definicji świata. Posłużyłem się nią i doszedłem do wniosku, że stanowisz moją własność.

– A niby jakim prawem? – spytała drwiąco dziewczyna. Widziała kiedyś na filmie, jak ofiara szaleńca próbuje go zagadać, by zyskać na czasie, i postanowiła uciec się do tej sztuczki. Nie spodziewała się jednak, że odpowiedź okaże się tak wstrząsająca.

– Bo parokrotnie uratowałem ci życie. Najpierw na leśnej drodze, gdy uciekałaś przed tymi pełznącymi paskudztwami, potem na przedmieściach Marington, a na końcu podczas owej strzelaniny na moście.

– To byłeś ty? – Zaskoczenie dziewczyny było tak wielkie, że na moment zapomniała o bólu piekącego policzka, wściekłości oraz strachu.

– Podążam za tobą od dłuższego czasu. – Oliver uśmiechnął się ironicznie. – Wpadłaś mi w oko, Wendy. Zauważyłem cię tego samego wieczoru, gdy byłem zmuszony zabrać wam kawę. Wiesz, mam nieco inne podejście do kwestii własności i...

– Jak? – wykrztusiła wreszcie Wendy. – Jak ci się udało do nas podkraść? Przecież Casey to znakomity tropiciel. Usłyszałby cię!

– Może by usłyszał, ale by nie zauważył. – Uśmiech Olivera pogłębił się. – Dysponuję bowiem pewną bardzo pożyteczną umiejętnością, która pozwoliła mi na intymny kontakt z tobą przez cały ten czas, choć nie miałaś o tym pojęcia. Wiele się o tobie nauczyłem. Wiem, że jesteś wrażliwa i bezbronna. Stać cię na

gwałtowne zachowania, to prawda, ale myślę, że szybko sobie z nimi poradzimy, prawda?

Wendy odruchowo zmrużyła oczy i wejrzała w jego duszę. Niespodziewanie wszystkie elementy układanki zaczęły się dopasowywać.

„Niewidzialność. Jego Darem jest niewidzialność! To on jest owym zaginionym człowiekiem, którego wykryła Jane! To tego sukinsyna szukaliśmy przez tyle dni na próżno...".

Naraz uświadomiła sobie, że Oliver stoi nad nią, a jego głos przybrał nieco inny, drapieżny ton.

– Nie po to cię ścigam tak długo, byś teraz miała sprawiać kłopoty – cedził. – Wybrałem cię dla siebie i stanowisz moją własność. Życzę sobie, byś była mi posłuszna. W przeciwnym razie nie zawaham się, by cię skrzywdzić.

Ciężki but Olivera niespodziewanie uderzył ją w bok. Oślepiona bólem dziewczyna padła na zimną podłogę.

– Oto dowód. – Oliver szepnął tuż przy jej uchu, a potem pogładził ją po czole.

– Nolan... – wychrypiała Wendy. Wtedy mężczyzna uderzył ją ponownie.

– Zatrzymamy się tu jeszcze na jakiś czas, bo twój koleżka w istocie może powrócić – ciągnął jej oprawca. – Czekałoby go jednak bardzo przykre rozczarowanie, bo jak widzisz, strzelam świetnie, a wasz japoński samochodzik słychać z daleka. Nie zmarnujemy jednak tego czasu, skądże. Poznamy się lepiej, opowiesz mi coś o sobie, ja opowiem tobie co nieco, a potem...

Kątem oka Wendy widziała, jak wzrusza ramionami i patrzy przez okno na świat. Jego oczy skrzyły.

– A potem zadecydujemy, co począć dalej – dokończył. – Widzisz, ten Koniec Świata to nie jest wcale taka zła rzecz. Kiedyś sprzedawałem bezwartościowe polisy na życie, miałem szefa

choleryka, nienormalnych kolegów w pracy i sąsiada, którego pies regularnie obszczywał mi buty. Teraz jestem wolnym człowiekiem. Całkowicie wolnym.

– A ja jestem twoją własnością – wymamrotała Wendy. Opanowała ból i lęk na tyle, by móc powrócić do poprzedniej strategii.

– Już chwytasz! – ucieszył się Oliver. – No, podnoś się. Wracamy na górę. Aha, i jeszcze jedno. Podsłuchiwałem wczoraj waszą rozmowę.

Skrzypnięcie desek.

„Ten zboczeniec był tu przez cały czas".

Ciało Wendy przeszył zimny dreszcz, który niespodziewanie pobudził jej myśli.

– Chcecie walczyć o ten świat, ty i ów dziwny chłopak, który cię porzucił dziś rano? Wzruszające. Obawiam się, że to kolejna rzecz, którą należałoby przedyskutować. Po co walczyć o świat, który i tak się rozpadł? Nie lepiej stworzyć własny, bardziej pasujący do rzeczywistości? By walczyć, potrzebujesz armii, broni i powodu. Nie masz ani jednej z tych rzeczy, Wendy. Masz natomiast mnie.

„Jestem twoją własnością, tak? – Umysł Wendy pracował jak szalony. – Nie strzelisz do mnie. Będziesz chciał mnie złapać i na pewno wykorzystasz swój Dar...".

Podniosła się powoli, o wiele wolniej, niż musiała. Najpierw oparła się o ścianę i długo kaszlała, a potem przez moment udawała torsje. Ciężko oddychała i ocierała czoło, zerkając na niego ukradkiem, niby ze strachem. W jej sercu zbierała się gotowość.

– Mała, kochana Wendy. – Głos Olivera zdawał się dobiegać z oddali, choć stał ledwie kilka kroków od niej. – Co ty robisz? Stój!

Dziewczyna znienacka rzuciła się do biegu. Jej umysł już funkcjonował precyzyjnie. Wpadła w korytarz prowadzący do kuchni,

udała, że się potyka, i zerknęła przez ramię. Nie widziała Olivera ani w korytarzu, ani na schodach.

„Idziesz za mną. Chcesz mnie zaskoczyć, tak? Sęk w tym, że znam twój sekret, zboczeńcu”.

Nadszedł czas na najbardziej ryzykowną część jej szaleńczego planu. Oparła czoło o ścianę i westchnęła głęboko, niczym z wielką ulgą. Jej lewa, a więc niewidoczna dla Olivera dłoń zakradła się w okolice stojącej tuż obok ozdobnej komódki i ujęła wielki wazon. Szkło było równie zimne jak jej myśli.

Jej kark musnął ciepły oddech.

– Naprawdę myślałaś, że... – Rozbawione słowa Olivera, które wydawały się napływać znikąd, przerwał trzask tłukącego się szkła. Potem rozległ się łoskot ciała walącego się na podłogę. Szczęknął upuszczony karabin, nagle widzialny.

Ciało Olivera zamigotało i stało się materialne. Wendy ujrzała przekrzywione okulary i strużkę krwi przecinającą okrągłą, jowialną twarz. Oczy oprawcy, przed chwilą zimne i drwiące, były teraz zaszklone, półprzytomne.

– Wendy – mamrotał, oszołomiony. – Nie wolno tak postępować. Nie wolno! Będę musiał cię ukarać...

Jego dłoń pełzła po dywanie niczym wielki pająk albinos i szukała karabinu leżącego tuż obok. Wendy niespiesznie nachyliła się i podniosła broń. Jej serce nadal biło jak szalone, ale wszelkie emocje ucichły. Niespodziewanie uświadomiła sobie, że wie, jak czuł się Nolan, gdy unosił broń i strzelał Ethanowi między oczy. Nie była świadkiem tej sceny – znała ją jedynie z opowieści Heather – ale naraz doskonale wiedziała, jakie emocje musiały mu towarzyszyć.

Na pierwszy plan wysunęła się świadomość, że za kilka sekund jej życie zmieni się nieodwołalnie.

Oliver chyba zrozumiał, co się dzieje. Jego oczy naraz rozwarły się szeroko i pojawiło się w nich skrajne przerażenie.

– Poczekaj, Wendy! Zaraz, zaraz, tylko nie...

Wendy cofnęła się o krok i nacisnęła spust. Potem zrobiła to jeszcze trzykrotnie.

Skądś wiedziała, że Nolan wróci po nią. Nie spieszyła się więc. Powoli i starannie spakowała swą torbę, zgromadziła wszystkie zapasy żywności, jakie znalazła w rezydencji, doczytała interesujące ją fragmenty w pamiętniku Heather, a potem, świecąc sobie latarką, zeszła do piwniczki. Tam znalazła dokładnie to, czego szukała.

Gdy niewielki czerwony datsun znów się pojawił, przedzierając się mozolnie przez śnieżne zaspy, przed gankiem stał rząd kilkudziesięciu butelek wina. Nolan zatrzymał samochód i spojrzał z niedowierzaniem na dziewczynę.

– Urządzamy imprezę? – spytał suchym głosem.

– Nie tu – odparła. Patrzyła na chłopaka śmiałym, zdecydowanym wzrokiem. – Gdzie byłeś?

– Podjechałem do motelu, w którym mieszkał Lee oraz reszta – powiedział Nolan i odwrócił spojrzenie. – Martwiłem się o nich i... I chyba słusznie. Przeźroczyści ich znaleźli. W miejscu motelu wyrosła wielka, szara kula.

– Cóż – westchnęła Wendy bez emocji. – I tak nic byśmy na to nie poradzili.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? – zdziwił się Nolan.

– A co jeszcze chcesz usłyszeć? Działać trzeba, a nie gadać. Pomóż mi zanieść te flaszki do samochodu.

– Po co?

– By prowadzić wojnę, potrzeba armii, broni i powodu. – Wendy podniosła naręcze butelek i ruszyła w stronę datsuna. – Powód mamy. Broń, zdaje się, również, bo nawet czołgi i karabiny

maszynowe nie przebiją naszych Darów. Potrzeba nam armii, a ja właśnie wymyśliłam, gdzie można ją znaleźć. Jedziemy do Dogsville i zawieziemy naszym przyszłym sojusznikom prezenty powitalne. Jeśli wierzyć opisom Heather, docenią je z wielką wdzięcznością.

– Na litość boską, Wendy! – Nolan oparł pięści o biodra i spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Czy ci odbiło?

– Tak. W chwili, w której postanowiłam opuścić brata po raz drugi. – Wendy starannie ułożyła butelki w bagażniku i odwróciła się w stronę Nolana. – Wiem, że kiedyś byłeś w Dogsville. Przypuszczam, że wiesz, jak rozmawiać z tym ich Starym. Jeśli coś nabroiłeś i nie masz ochoty tam wracać, powiedz mi o tym teraz i zjeżdżaj stąd. Przyzwyczaiłam się do twoich zniknięć.

Nolan nadal nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Stał i rozważał jej słowa, nadal kręcąc lekko głową z niedowierzaniem. Naraz przez jego usta przemknął cień uśmiechu pozbawionego wesołości.

– Dobra – burknął, wpatrując się w dziewczynę bez wyrazu, a potem ruszył w stronę butelek stojących w śniegu. Wtedy zauważył jej zaczerwieniony policzek i zatrzymał się w pół kroku.

– Co ci się stało? – spytał.

– Nic. Bierz te butelki i zabierajmy się stąd, bo zmarzłam.

DOGSVILLE
POPULACJA: 84
GÓWNO CIĘ TO OBCHODZI

Przysypana śniegiem, obrośnięta soplami tablica zapowiadała Dogsville. Poniżej znajdował się napis „ludność” oraz wielokrotnie przekreślona trzycyfrowa liczba, obok której ktoś wreszcie dopisał sprayem: „Gówno cię to obchodzi”.

– Ciekawe, do kogo skierowali ten przekaz – mruknął Nolan i pociągnął łyk lodowato zimnej wody z plastykowej butelki. – Odmienieni nie potrafią czytać, a przybyszów powinni witać z otwartymi ramionami.

– Tak, zwłaszcza kobiety – stwierdziła Wendy i wyprostowała się na fotelu kierowcy. Siedziała za kierownicą datsuna od dobrych paru godzin i zaczynał jej dokuczać ból pleców.

– Powinnaś się bać – rzekł Nolan.

– Serio? – Dziewczyna skrzywiła się. – Po tym wszystkim, co przypadło nam w udziale, mam jeszcze czegoś się bać?

– Jasne. – Nolan wydął wargi. – Nie wiesz, że ludzie potrafią być o wiele większymi potworami od Odmienionych?

– Z tego, co Heather pisze w pamiętniku, ów Mitch nie jest taki zły.

Nolan parsknął.

– Mitch to szajbus – rzekł. – On nienawidzi ludzi, którzy dysponują Darami, i zrobi wszystko, by się ich pozbyć. Uważa ich za źródło wszelkiego zła. Solidny z niego człowiek i dobry przywódca, ale fanatyk i tyle. Poza tym – uśmiechnął się krzywo – skąd masz pewność, że nadal rządzi tym bałaganem? Może zastąpiła go inna kanalia? Widziałaś tablicę, prawda? Liczebność tej zgrai zmienia się dość płynnie.

– Mniejsza o to, kto rządzi. Najważniejsze, by cię pamiętali.

– Myślisz, że będą? – Chłopak uśmiechnął się gorzko. Przez jego twarz przemknęło wahanie, jakby chciał powiedzieć coś bardzo ważnego, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Ciebie się nie da zapomnieć – rzekła dziewczyna. Zwolniła i ostrożnie pokonała zakręt, który, jak zauważyła, został starannie odśnieżony, co obudziło w niej zarówno ulgę, jak i tęsknotę za kolejnymi przejawami cywilizacji. Obawiała się jednak, że Nolan miał rację i to, co miała za moment ujrzeć, mogło nie mieć z cywilizacją wiele wspólnego.

– To komplement? – spytał chłopak.

– Nie.

Nolan przez moment wpatrywał się w zaśnieżony krajobraz.

– Obawiam się, że będą mnie pamiętać – powiedział zmienionym głosem. – Ciekawe tylko, jak zareagują na owo wspomnienie.

Wendy chciała odwrócić głowę i spojrzeć na niego, ale powstrzymała się ze wszystkich sił.

– Mam nadzieję, że nie kropną cię, zanim wyłuszczymy naszą sprawę – oznajmiła.

– Kiedy to stałaś się taka wyrachowana? – spytał Nolan.

Wendy nie odpowiedziała. Ich oczom po chwili ukazały się zaśnieżone przyczepy kempingowe i domki jednorodzinne, składające się na przedmieścia typowego amerykańskiego miasteczka. Do tego, że brakowało w nim innych typowych cech –

szczekających psów, dzieci na rowerach, młodych matek z wózkami – zdążyła się już przyzwyczaić. Nie była natomiast przyzwyczajona do widoku szarego, wysokiego muru zwieńczonego drutem kolczastym, zza którego wyłaniały się słupy dymu.

– A więc Dogsville przeistoczyło się w twierdzę – szepnęła. – Ciekawe, czy to dobrze, czy źle?

Tym razem to Nolan milczał, najwyraźniej przygotowując się psychicznie do spotkania z ludźmi, od których kiedyś uciekł. Wendy zwolniła więc i zmierzała na drugim biegu w kierunku ogromnej bramy z falistej blachy oraz uzbrojonych mężczyzn, którzy grzali sobie dłonie nad beczką z płomieniami.

Byli u celu. Dotarli do ostatniej twierdzy w Nevadzie.

Wendy była oszołomiona.

Nie pamiętała chwili, kiedy po raz ostatni znalazła się w tłumie hałaśliwych ludzi. Mieszkańcy Dogsville, głównie barczyści, szorstcy górnicy, teraz wydający się jeszcze więksi dzięki ciepłym kurtkom, czapkom i szalom, pokrzykiwali głośno, pogwizdywali na widok Wendy i nie szczędzili jej sprośnych komentarzy, ale dziewczyna mało co słyszała. Odurzona zgiełkiem i ściskiem, czuła tylko ich Dary, które pulsowały, wręcz wibrowały w powietrzu. Ich szorstka, nieokiełznana moc powalała na kolana i odbierała jej umiejętność logicznego myślenia. Uśmiechała się głupkowato i szła w ślad za Nolanem, nie mając pojęcia, dokąd ją prowadzi. Kątem oka rejestrowała jednak, że mieszkańcy Dogsville spoglądają na Nolana z rezerwą i witają się z nim ozięble, jeśli w ogóle.

Jej myśli zaczęły do niej wracać, gdy znaleźli się w jakimś budynku i ruszyli w górę schodów. Minęli brodatego strażnika z karabinem maszynowym i wełnianą czapką naciągniętą aż po brwi.

– Siema, Doug – rzekł Nolan. Jego głos niespodziewanie zadrżał lekko. Czyżby z lęku?

Zagadnięty strażnik nie odpowiedział. Otworzył drzwi i wszedł w ślad za nimi do pomieszczenia, gdzie za szerokim biurkiem oczekiwał ich potężny, ponury mężczyzna o niebywale zaczerwienionych oczach. Wendy była już w pełni sobą.

„Jak mnie Nolan określił? – zapytała się w myślach. – Powiedział, że jestem wyrachowana? No, zobaczymy".

– Masz na imię Mitch, prawda? – zaczęła, wyciągając do niego dłoń.

Mężczyzna w pierwszej chwili w ogóle jej nie dostrzegł. Wpatrywał się intensywnie w Nolana, a ten, co Wendy zauważyła nie bez pewnej dumy, bez lęku odwzajemnił jego wzrok. Nie było to łatwe – Mitch onieśmielał zarówno ogromną posturą, jak i surową twarzą, okoloną grzywą siwiejących włosów. Najstraszliwsze jednakże były jego oczy: podsiniaczone, wiecznie zmrużone, czerwone, jakby zalała je krew.

– Dziwię się, że masz w ogóle tupet tu wracać, chłopcze – warknął głucho.

Nolan wzruszył ramionami.

– To nie tupet, Mitch. Myślisz, że wróciłbym do tej waszej cuchnącej nory tylko po to, by zrobić ci na złość? Nie pochlebiaj sobie.

– To po co? – Ogromna, włochata dłoń Mitcha znajdowała się blisko leżącego na biurku AK-47. – Życie ci zbrzydło?

– O tym, Mitch, nie będę z tobą rozmawiał. – Nolan skrzywił się, jakby właśnie połknął coś cuchnącego. – Sprawę do ciebie mam. Chciałbym, byś na moment poskromił swój kretyński fanatyzm i wysłuchał tej młodej damy. – Wskazał przy tych słowach Wendy. – W przeciwieństwie do ciebie, miewa ciekawe pomysły.

Mitch odwrócił ku niej głowę. Uczynił to tak powoli, że dziewczyna podświadomie spodziewała się usłyszeć zgrzyt metalowych elementów w jego karku.

Terminator – przypomniała sobie jeden z ulubionych filmów Marcusa i pomimo powagi sytuacji o mało nie parsknęła śmiechem.

– No, młoda damo? – odezwał się Stary chrapliwym głosem. Przymknął oczy, jakby przyćmione światło w pomieszczeniu sprawiało mu ból. – Cóż to za pomysły miewasz?

– Wiem, jak zakończyć tę wojnę – powiedziała Wendy.

– Którą? – zadrwił Mitch.

Wzrok dziewczyny przesunął się na mapę, przypiętą do tablicy korkowej zawieszonej na ścianie. Powbijano w nią wiele różnobarwnych szpilek układających się w kręgi. Te kończyły się niedaleko Marington, gdzie przymocowano kilka przeciętych na pół piłeczek pingpongowych. Ignorując zdziwione spojrzenie Mitcha, podeszła do tablicy i przyjrzała jej się bacznie, opierając dłonie na biodrach.

– Tę wojnę – powiedziała.

– Rany boskie, dziecko! – rozzłościł się Mitch. – Jesteś jakąś natchnioną prorokinią czy co? Nie mam czasu na te bzdury!

– Wiem, że tępicie Odmienionych – ciągnęła Wendy, nie zwracając uwagi na irytację mężczyzny. – Mniejsza o to, czy to ma sens, czy nie. Zdaje się, że wasze polowania zakończyły się gdzieś tu.

Jej palec musnął najszerszy, najbardziej zewnętrzny krąg, najbliżej piłeczek wyznaczających szare kule Przeźroczystych.

– Tu gdzieś okazało się, że bandy Odmienionych stały się zbyt silne lub zbyt dobrze zorganizowane. Nie dały już się nabierać na waszą sztuczkę z reflektorem. Co gorsza, pojawiły się dziwne wibracje, które mieszały wam w głowach. Wasze patrole przestały wracać i w końcu odechciało wam się aktualizować stan ludności na tablicy. Za dużo było z tym roboty

Mitch zacisnął mocno usta, dając tym samym sygnał, że Wendy trafiła w sedno.

– Te szare kule to habitaty istot, które zwiemy Przeźroczystymi – ciągnęła dziewczyna. – To najinteligentniejsza grupa znanych nam Odmienionych, która sprawuje telepatyczną władzę nad innymi ludostworami i dzięki mocy własnych umysłów jest w stanie porazić ludzki umysł oraz bez trudu nim zawładnąć. Nie mamy żadnych wątpliwości, że gromadzą ludzi i przechowują jako zapasy żywności. Mają nad niedobitkami naszych rodaków wielką przewagę i jeśli się ich nie pozbędziemy, trzeba będzie przekreślić „Gówno cię to obchodzi" i wyrysować tam wielkie zero. Na szczęście Przeźroczyści mają swoje słabe punkty, a my wiemy, jak je wykorzystać.

– My też – burknął Mitch. – Słabo znoszą wybuchy granatów.

– Rozwalenie habitatów granatami doprowadziłoby do śmierci setek ludzi, których Przeźroczyści przetrzymują w charakterze zapasów żywności – rzekła Wendy. – Granaty nic nam nie dadzą. Musimy skorzystać z innych metod.

– Poprosić ich grzecznie, by poszli w cholerę? – Mitch skrzywił się. – Dziecko, czy ty...

– Musimy wykorzystać Dary – przerwała mu Wendy.

Przywódca Dogsville przymknął oczy, odchylił się na krześle i pokręcił głową, jakby nie wierzył w to, co właśnie usłyszał. Doug sapnął i z głośnym szczękiem odbezpieczył broń.

– Powoli – rzekł Nolan z rozbawieniem, ale jego oczy były poważne. Śmiertelnie poważne. Wendy widziała kątem oka, jak odwraca głowę i spogląda na Douga. Brodacz po chwili opuścił nieco broń. – Powoli, Doug. Ty nie chcesz chyba wycelować tej zabawki we mnie, co?

– Jesteś szybszy od palca naciskającego spust? – parsknął brodacz.

– Nie odpowiada się pytaniem na pytanie. To nieuprzejme. A ty, Mitch, lepiej posłu...

– Oszalałaś! – ryknął Stary ogłuszająco i zerwał się błyskawicznie. Z niewyobrażalną furią pchnął biurko i przewrócił ciężki mebel z hukiem. Pistolet maszynowy pomknął po podłodze i zatrzymał się przed progiem. Wendy odsunęła się przerażona. W ułamek sekundy później jej świat przesłoniło czerwone, nabrzmiałe oblicze wściekłego Mitcha.

– Oszalałaś, dziecko! Oszalałaś! Jak śmiesz wchodzić do mego biura i mówić mi, co mam robić! Te twoje cholerne Dary to jeszcze większe przekleństwo niż ludostwory i Przeźroczyści razem wzięci! To zło, czyste zło! Niekontrolowana moc, która niszczy wszelki porządek! To zło, grzech, zbrodnia! Nie pozwalam na to! Zabraniam! Każdy z nas, który dysponuje Darem, został przegnany lub zabity!

Uniósł dłoń, jakby chciał ją uderzyć. Wendy ujrzała, jak jego ogromne palce zaciskają się w pięść, i odruchowo cofnęła się jeszcze dalej. Wtedy na drodze Mitcha stanął Nolan.

Wydawał się drobny, wręcz niepozorny wobec barczystego, kipiącego gniewem Starego, ale było w nim coś, co powstrzymało furię przywódcy Dogsville. Dłoń Mitcha opadła, a potem zrobił on krok w tył. Czerwień ustąpiła z jego twarzy, zastąpiona przez bladość.

– Nolan! – wykrztusiła Wendy, patrząc na blednącego Mitcha. – Nolan, opanuj się...

Złapała chłopaka za ramię i z zaskoczeniem odkryła, że jego mięśnie naprężone są niczym stal. W oczach zaś malował się mrok, jakiego dziewczyna nigdy dotąd nie widziała. Krzyknęła i odskoczyła, jakby prąd ją poraził.

– To nie tupet mnie tu sprowadził – wycharczał Nolan. Jego uwaga skupiona była wyłącznie na Mitchu, który z narastającym przerażeniem wybałuszył przekrwione oczy. – Nie tupet, Mitch.

Chciałem ci pokazać, jakim jesteś szaleńcem! Na skutek twoich kretyńskich pomysłów zginęło więcej ludzi niż z rąk Odmienionych!

– O czym ty... – wycharczał Mitch, ale nie było mu dane dokończyć. Nolan postąpił krok ku niemu i w tym samym momencie niewidzialna, lecz potężna moc pchnęła Starego na ścianę. Uderzył w nią z ogromnym impetem. Z sufitu posypał się tynk, korkowa tablica obluzowała się i spadła na ziemię.

– O czym? – Nolan mówił teraz nie swoim, chrapliwym głosem. – O wyroku śmierci, jaki wydałeś na wszystkich, którzy ujawnili swój Dar! O ludziach, których nakłaniałeś do donosów na innych! O więzieniu pełnym Bogu ducha winnych ludzi!

– Może masz na myśli Wilcox, Baskee'ego i Macharsky'ego? – warknął Mitch i zrobił krok naprzód, ale Nolan uderzył w niego raz jeszcze, ze zdwojoną siłą. Spomiędzy spękanych, wykrzywionych ust mężczyzny wyrwał się stłumiony jęk. – To ty... – jęknął.

– Ich śmierć to twoja wina! – wycharczał Nolan, blady i straszny. – Twoja i szaleństwa, które rozpętałeś w tym nieszczęsnym miasteczku. Rozumiesz mnie?

– Nolan! – krzyknął Doug piskliwym głosem. Szczęknęła odbezpieczana broń. Wendy kątem oka widziała, jak brodacz unosi karabin do strzału. Otworzyły się drzwi i do środka wpadł strażnik z korytarza. Zamarł na widok sceny, a jeśli planował w jakikolwiek sposób zareagować, powstrzymał go palec Nolana, wymierzony w jego kierunku.

– Za twoją sprawą stało się w tym miejscu wiele złego – szeptał złowieszczo Nolan, nadal nie odwracając wzroku od Mitcha. – I od tej pory żałowałem, że dałem się wciągnąć w twą nędzną gierkę! Żałowałem, że uciekłem, a nie stanąłem przed tobą i nie powiedziałem ci, byś palnął się w ten pusty łeb! I dlatego teraz posłuchasz głosu rozsądku! – wrzasnął, aż drobinki śliny opryskały siną twarz Mitcha.

Jego palec zmienił położenie i wskazywał teraz Wendy. Dziewczyna zdołała już opanować lęk i wahanie. Skądś wiedziała, że nadeszła na nią pora. Jej moc uaktywniła się i niespodziewanie Wendy znała już prawdę. Zyskała największy argument w nadchodzącej rozmowie.

– Prześladujesz innych, ponieważ z dniem Końca Świata odkryli w sobie Dary, tak? – spytała cicho, podchodząc do Mitcha. Choć była od niego o wiele młodsza oraz słabsza, położyła mu dłoń na głowie i wyzywająco spojrzała w oczy. – Dziwne. A może sam siebie również wtrąciłbyś do więzienia, co? Może byś na siebie doniósł albo się wygnał, hę?

Mitch oddychał chrapliwie. Po nieogolonym policzku płynęła pojedyncza kropla potu. Przekrwione oczy błyskały dziko.

– Bo ty również masz Dar, nieprawdaż? – szepnęła, a jej moc wnikała w umysł coraz bardziej przerażonego, drżącego Mitcha. – Nic nie mów, ja i tak wiem wszystko. Nie musisz spać, tak? Od Końca Świata nie zmrużyłeś oka. Nie spałeś ani minuty. Chcesz czuwać, bo przecież nigdy nie wiadomo, kiedy za twoimi plecami objawi się ktoś, kto dysponuje Darem? Oj, oj...

Syknęła z udawaną dezaprobatą. Kątem oka widziała, jak przez twarz Nolana, nadal przekształconą w groteskową maskę śmierci, przemknął cień uśmiechu. Dodało jej to odwagi.

– Co powiesz na to, że twój najwierniejszy poplecznik Doug również ma Dar? – Wendy odwróciła się w kierunku brodacza, z niedowierzaniem i lękiem przyglądającego się sytuacji. Jej moc błyskawicznie wsiąknęła w ciało górnika i podsunęła jej odpowiedź. – Tak, rzeczony Doug potrafi otworzyć każde drzwi. Wystarczy, że ich dotkniesz, prawda, Doug? A ty, przystojniaku?

Podeszła do zbrojnego, który wbiegł do pomieszczenia jako drugi.

– Instynktownie wiesz, którą drogę obrać, by jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu, prawda? – pytała. – To ty

wyprowadziłeś swoich kumpli z kopalni, gdy zawiodła elektryczność i pomoc z góry?

Szok na twarzy górnika i przerażone spojrzenie, jakim obrzucił Mitcha, były najlepszą odpowiedzią na jej pytanie. Wendy wymownym gestem otrzepała dłonie.

– Jestem pewna, że każdy z twoich ludzi ma Dar – rzekła. – Niektóre z nich okażą się kluczowe w walce o jutro. Pora na decyzję z twojej strony, Mitch. Wytłumaczysz swoim przyjaciołom, że się pomyliłeś, i poprowadzisz ich do walki z Przeźroczystymi, w której oprócz karabinów i granatów wykorzystają również Dary, albo...

Rozległ się pusty śmiech. Zaskoczona Wendy rozpoznała głos Nolana.

– Albo co? – spytał z sarkazmem chłopak. – Daj spokój, Wendy. To nie tani film sensacyjny. Masz przed sobą szaleńca, którego władza oparta jest na strachu. Myślisz, że przyzna się do błędu i stanie po naszej stronie niczym nawrócony czarny bohater? Gdyby nasz Mitch wyznał swoim kolesiom, że się mylił i zupełnie bez powodu wygnał, uwięził bądź zgoła skazał na śmierć wielu ludzi, ci zapewne rozszarpaliby go na strzępy. Nie. Obawiam się, że Mitch stracił dla nas wartość.

Przekrwione oczy Mitcha błyskały. Chciał coś powiedzieć, ale z jego ust dobył się jedynie zgrzytliwy skrzek. Wendy poczuła narastający strach.

– Nie rób nic głupiego... – szepnęła, patrząc na Nolana szeroko otwartymi oczami. – Proszę... Heather opowiedziała mi, co się stało z Ethanem. Nie, Nolan, nie rób tego...

Chłopak spojrzał na nią i mrok, który przez ostatnich kilka minut otulił go szczelnie, zaczął rzednieć. Nolan przygryzł wargę i odetchnął.

– Ty. – Wskazał strażnika, który wbiegł do pokoju po Dougu. – Zaprowadź Starego do aresztu i dobrze go zamknij. Doug, ty zostań. Trzeba omówić twój awans na nowego przywódcę Dogsville.

Było już ciemno, gdy cała trójka – Nolan, Doug i Wendy – wyszli na ulicę. Ludzie zgromadzeni wokół zardzewiałych koksowników natychmiast przerwali pełne napięcia rozmowy i otoczyli Douga, zasypując go zdumionymi pytaniami. W powietrzu niosły się głośne, ożywione okrzyki oraz przekleństwa Douga, próbującego uciszyć kamratów. Nolan i Wendy wykorzystali sposobność, by się wymknąć. Niespostrzeżenie wślizgnęli się do jakiejś bocznej uliczki, oparli plecami o bok samochodu stojącego na cegłach i odetchnęli jak na komendę.

– Da sobie radę? – spytała po chwili Wendy.

– Nie ma tego autorytetu co Stary, ale jest lubiany – odparł z namysłem Nolan. – Co więcej, nie będzie musiał nikogo niczym straszyć i niebawem poprowadzi kumpli na największą rozwałkę w ich życiu. Będziesz musiała jednakże mu pomóc – ci ludzie nauczyli się już myśleć o swoich Darach jako o czymś złym.

– Nie ma problemu. – Wendy uśmiechnęła się. – Wykryłam już kilka ciekawych talentów. Spróbuję zrobić to, czego nauczył mnie Marcus. Podzielę ich na drobne oddziały i... Tylko czy oni będą mnie słuchać?

– Będą – odparł z przekonaniem Nolan. – Musisz się do nich zwracać tak jak do Mitcha – bez cienia wahania.

– Z Mitchem było inaczej. – Wendy znów się uśmiechnęła. – Powstrzymałeś go i był już niegroźny. Nolan...

– Co?

– Dlaczego to zrobiłeś? – szepnęła dziewczyna. – Bo nie mogłeś opanować złości czy może dlatego, że... Że Mitch zamierzył się na mnie i chciał mi zrobić krzywdę?

– Miałem trochę czasu, by przemyśleć sobie wszystko to, co widziałem w Dogsville – rzekł Nolan. Wpatrywał się w przesłonięte chmurami, ciemne niebo. – Ciążyły mi wyrzuty sumienia i nie mogłem się doczekać, aż tu wrócę i wykrzyczę mu to, co o nim myślę.

– A to dopiero. – Wendy uśmiechnęła się gorzko. – Myślałam, że to ja cię namówiłam do przyjazdu do Dogsville. Tymczasem okazuje się, że sam miałeś powody, by tu wrócić. Powiedz mi... Co tak naprawdę miało tu miejsce, Nolan? Dlaczego stąd uciekłeś? Dlaczego chciałeś porachować się z Mitchem? Kim byli Wilcox, Baskee i Macharsky?

– Nieważne – rzekł Nolan, trochę zbyt szorstko. Zreflektował się jednak i ujął Wendy za rękę. Jego dłonie w wełnianych rękawiczkach bez palców były zaskakująco ciepłe. – Zabawne – roześmiał się cicho.

– Co takiego? – spytała Wendy. Gdzieś za ich plecami krzyczał Doug. Od dłuższej chwili nikt mu już nie przeszkadzał.

– Zadajesz kolejne pytania, zamiast mnie zmusić do tego, bym odpowiedział ci na to, które zadałaś jako pierwsze. Nigdy nie spotkałem dziewczyny, która by się tak zachowywała.

– A wiele ich spotkałeś? – spytała Wendy czupurnie.

– Znów to robisz. A odpowiedź brzmi „tak”.

– A jak brzmiało pytanie?

– Natarłem na Mitcha, bo chciał ci wyrządzić krzywdę.

Wendy mocniej ścisnęła jego dłoń. Po ulicy niosły się radosne wiwaty mieszkańców Dogsville, którym zawtórowała palba karabinowa. Spomiędzy chmur zamrugała pojedyncza gwiazda.

W okularze lornetki poobijana toyota hilux wydawała się zabawką, prowadzoną falami radiowymi przez zaśnieżony krajobraz. Wendy patrzyła, jak jedzie powoli po pagórkowatej asfaltowej drodze, znika za wzgórzem, potem za samotnym domem z sadem i szklarniami i wreszcie wyłania się na bocznej drodze, prowadzącej prosto ku szarej kuli na horyzoncie.

„Nie szarej kuli – Wendy poprawiła się w myślach. – Habitatowi MA/7”.

Ujęła radiotelefon i przysunęła sobie zimny plastyk do ucha.

– Cabbage, sprawdźcie ten dom otoczony drzewami – powiedziała lekko drżącym głosem. – Tylko ostrożnie, osły patentowe.

– Się robi, młoda – zachrzęścił w odpowiedzi głośnik.

Dziewczyna wciąż nie mogła przyzwyczaić się do swobodnego, miejscami wulgarnego sposobu wyrażania się górników z Dogsville, choć przypuszczała, że powstrzymują się nieco ze względu na nią. Nie mogła też przywyknąć do specyficznego sposobu, w jaki okazywali jej szacunek. Słuchali jej z niedowierzaniem, a nawet ze wzgardą i nieufnością, ale szybko przekonali się do niej i z coraz większą śmiałością wypróbowywali nowe Dary.

„Kojarzysz im się ze swobodą i wolnością – powiedział Nolan. – A poza tym pokazałaś im, jak korzystać z nowych zabawek".

Nolan... Wendy z niezrozumiałych przyczyn poczuła, jak na jej policzki wypływa rumieniec. Był przy niej przez cały ostatni tydzień, szeptał jej do ucha dobre rady i przemawiał do rozumu tym, którzy nie mieli ochoty słuchać pomysłów nastoletniej dziewczyny. Przypuszczalnie za jego sprawą Doug, który okazał się byłym wojskowym, bez wahania zasiadł z nią do układania planów kontrataku na Przeźroczystych.

Minął tydzień planowania, zwiadów i ćwiczeń w wykorzystywaniu Darów. Nadchodził punkt kulminacyjny i Wendy, choć zmęczona i niewyspana, czuła coraz większe napięcie.

„Mam nadzieję, że wszystko dobrze obmyśliliśmy" – pomyślała, patrząc na drugi z samochodów szpicy, były van kurierski, który skręcił z drogi, rozbił płot i zahamował na oszroniałym trawniku. Boczne drzwi zostały odsunięte i ze środka wypadło kilku mężczyzn ze strzelbami i pistoletami maszynowymi. Chcieli wbiec do środka, ale Cabbage, wysoki chudzielec w czapce z daszkiem, zatrzymał ich uniesioną ręką i rozstawił kilkoma pospiesznymi rozkazami.

– Co tam się dzieje? – Doug tarł szkiełka własnej lornetki.

– Cabbage chyba wykrył legowisko jakiejś grupy Odmienionych – mruknęła Wendy, skupiona na obserwacji.

Cabbage, górnik, który w dniu Końca Świata samotnie zagubił się w jakimś szybie i błądził godzinami w poszukiwaniu reszty, wykształcił umiejętność wykrywania obecności wszelkich istot w swoim sąsiedztwie. Z chwilą gdy Mitch został uwięziony i nie było już potrzeby ukrywania Darów, natychmiast awansował do rangi dowódcy drużyny i wykorzystywał swój talent z perfekcyjną skutecznością.

Ciszę świtu przerwał terkot broni maszynowej. Pociski szatkowały drewniane ściany domów i rozbijały okna. Wendy miała wrażenie, że między jednym wystrzałem a drugim dobiegają dzikie wrzaski

ginących ludostworów. Któryś wypadł na werandę, ale nim przesadził balustradę, zatrzymał go pocisk z shotguna.

– Och, ale super! – jęknął Doug, który wreszcie doczyścił szkiełka.

– Wysprzątane, młoda! – zarzęził zadowolony z siebie Cabbage.

– Co tam się dzieje? – spytał Knoxton, dowódca drugiej drużyny, jadącej prosto na habitat. – Słyszeliśmy strzały!

– Cabbage otwiera wam drogę odwrotu – zameldowała Wendy. – Szykujcie się, Odmienieni zostali zaatakowani!

– Tak, widzimy ich! – warknął Knoxton, ponury drab, który z niewyjaśnionych powodów rozwinął w sobie coś na kształt „szóstego zmysłu" – wyczuwał napastników za plecami, nawet jeśli ich nie widział.

– Pamiętajcie o planie!

– Nie bój żaby, młoda.

Niespodziewanie podniosły się kłęby mgły, które zasłoniły zarówno toyotę, jak i habitat. Wendy z przekleństwem odrzuciła bezużyteczną lornetkę i zasłoniła oczy przed promieniami wstającego słońca.

– Cholera, nic nie widzę... – mruknęła ze złością.

– Spoko – szepnął Doug. – Mam wrażenie, że wszystko idzie jak z płatka.

Mgła zajaśniała wewnętrznym światłem – to kierowca toyoty włączył supersilne reflektory. Pomimo sporej odległości Wendy, Doug i reszta usłyszeli przeraźliwe wrzaski porażonych blaskiem reflektorów, a potem zajazgotały sprzężone karabiny maszynowe nad szoferką toyoty. W chwilę później toyota wyskoczyła z mgły, ścigana przez garstkę gazelopodobnych Odmienionych. Kierowca bez trudu mógłby pozostawić ścigające ich ludostwory z tyłu, a Knoxton położyłby je jedną serią z kaemów, ale obaj trzymali się wytycznych – uciekali ze średnią prędkością, by odciągnąć Odmienionych jak najdalej.

Radiotelefon zarzęził głosem Nolana.

– Ożywienie na północnym wschodzie – meldował chłopak. – Dwie grupy Odmienionych. Dwadzieścia osobników, może więcej. Gnają w stronę miejsca starcia.

– Dwie grupy? Nie więcej? – dopytywała się Wendy. Usiłowała zachować rzeczowy ton, ale serce zabiło jej żywiej.

– Dwie. Puszczać rakietę?

– Tak, zgodnie z planem. Cabbage, Knoxton, dwie grupy Odmienionych na północnym wschodzie. Nolan zaraz wskaże wam... O, już jest!

Po różowiejącym niebie wspinała się zielona rakieta. Toyota skręciła w jej kierunku, ciągnąc stado wrzeszczących ludostworów za sobą. Van podążył za nimi. Wendy odczekała, aż znikną, a potem z napięciem spojrzała na Douga.

– Wygląda na to, że pierwsza część operacji zakończyła się powodzeniem – oznajmiła nieco drżącym głosem, ale jej oczy błyszczały. – Chłopaki ściągnęli na siebie wszystkich Odmienionych. Walimy na habitat?

– Walimy, młoda. – Doug wyszczerzył popsute zęby i wygodniej ujął bazookę. – Jak tam, moje panienki? Zabawimy się?

Mig, krótko ostrzyżony Latynos ze złamanym nosem, uśmiechnął się szeroko i włączył silnik jeepa. Chriss zarechotał i zatarł olbrzymie dłonie w wełnianych rękawiczkach, a niewysoki Mooch, który ani na moment nie przestawał palić cuchnących papierosów, założył słuchawki i stanął za karabinem maszynowym. Jeep był gotowy do drogi. Doug rzucił reszcie słuchawki budowlane, a potem dał sygnał Tadowi, kierowcy drugiego pojazdu.

Zawyły oba silniki, grudki zmarzniętej ziemi strzeliły spod opon. Dwa samochody: jeep i przerdzewiała, zdezelowana ciężarówka runęły w stronę habitatu MA/7 w na pozór samobójczej misji. Wendy, która dopiero w ostatniej chwili przypomniała sobie o konieczności zapięcia pasa, o mało nie wypadła z samochodu. Doug prowadził jak szaleniec i nie szczędził pojazdu, który

podskakiwał na nierównościach terenu, a zawieszenie skrzypiało, jakby wysłużony jeep lada chwila miał się rozpaść. Szybko też zostawił za sobą ciężarówkę Tada, co na szczęście również było elementem planu.

Dziewczyna spojrzała na oddalający się pojazd i pokręciła głową z niedowierzaniem. Najeżony powyginanymi prętami, owinięty drutem kolczastym samochód przypominał rozpędzoną bestię z piekła rodem. Tad zamrugał światłami, jakby wiedział, że Wendy mu się przygląda. Dziewczyna uśmiechnęła się i nałożyła słuchawki.

Wszystkie odgłosy ucichły w jednej chwili. Nie było już ryku silników, zgrzytu zawieszenia czy dzikich okrzyków Chrissa i Miga. Pozostała jedynie szara kula, majestatyczna, groźna, pozornie cicha i bezbronna.

Wendy mocniej ujęła strzelbę.

Kula była rozciągnięta i nieforemna, wybrzuszona w paru miejscach. Po zbadaniu kilku map okolicy Doug i Nolan doszli do wniosku, że Przeźroczyści zamknęli w swoim habitacie miejscową szkołę, co znacznie ułatwiło zadanie. Wendy upewniła się, czy ma pod ręką długi łom. Był. Ciężki kij baseballowy oraz siekiera również.

Byli coraz bliżej. Jeep przemknął przez asfaltową drogę i zatrzymał się na parkingu szkolnym. Otoczona ciszą Wendy miała wrażenie, że znalazła się w samym środku surrealistycznego snu. Widziała maszt flagowy, ławki i kosze na śmieci, widziała chodnik, zmarznięty trawnik, a nawet pierwsze stopnie szkolnych schodów, ale dalej wszystko nikło za ścianą z szarej masy, pnącą się wysoko ku różowemu niebu. Zupełnie jakby ktoś przeciął ich świat na pół.

„Jakby pękło niebo” – pomyślała Wendy.

Poczuła klepnięcie w ramię. Odwróciła się i ujrzała Douga, wskazującego wschód. Skinęła głową i wycelowała broń w tym kierunku. Wiedziała, że sam Doug kontroluje północ, Mig zachód, a Mooch południe. Chriss nadal czuwał nad kierownicą, gotów

w każdej chwili dodać gazu. Wysłużony jeep przekształcił się w ruchomą, najeżoną lufami twierdzę.

Cisza. Całkowity brak ruchu, zupełnie jakby szara kula Przeźroczystych wzgardliwie ignorowała obecność grupki desperatów. Wzrok Wendy przykuła nadciągająca powoli ciężarówka Tada.

„Tylko się nie zepsuj! – modliła się w myślach. – Jeszcze sto metrów, pięćdziesiąt...".

Mig wystrzelił. Wendy kątem oka widziała padającego na ziemię włochatego Odmienionego.

„...dwadzieścia pięć... Dajesz czadu!".

Gdy tylko ciężarówka znalazła się na asfalcie, Tad dodał gazu i popędził prosto na szarą ścianę. W ostatniej chwili otworzył drzwi, wyskoczył, przeturlał się po asfalcie i utykając nieco, pobiegł w kierunku jeepa. Doug chyba coś krzyczał, Mooch strzelał do kogoś, samochód drżał, jakby Chriss dodawał gazu. Wendy widziała jednakże tylko ciężarówkę, nieruchomą, wbitą w ścianę z szarej masy.

„No dalej! – popędzała w myślach bieg wydarzeń. – Szybciej!".

Nie bała się o to, że ktoś z więzionych w habitacie ludzi zaraz zginie – Tad bowiem potrafił przeniknąć wzrokiem ściany i dobrze wiedział, w który odcinek habitatu wbić najeżoną drutami ciężarówkę. W chwilę później rozpromieniony kierowca wspiął się na jeepa, witany rubasznymi klepnięciami i szturchnięciami. Chriss wrzucił bieg i terenówka odjechała nieco dalej. W tej samej chwili w dłoni Douga pojawił się detonator. Uśmiechnął się do Wendy i wcisnął przycisk.

Kilkanaście kilogramów semteksu z zapasów Rady Ocalenia Ludzkości, wskazanych przez Nolana, w bezgłośnej eksplozji rozsadziło szoferkę ciężarówki, a wraz z nią kilkadziesiąt metrów kwadratowych ściany habitatu. Strzeliły ogniste języki, ochłapy szarej masy prysły wszędzie naokoło, po ziemi przetoczyły się kłęby

szarego dymu. Po chwili oczom szóstki bojowników ukazała się gigantyczna wyrwa, w środku której dopalał się wrak ciężarówki.

Doug zeskoczył na asfalt jako pierwszy. Z pistoletem maszynowym w jednej ręce i łomem w drugiej rzucił się ku dziurze, a za nim popędzili podobnie uzbrojeni Mig i Chriss. Wendy bez wahania dołączyła do nich.

Nie bała się już. Resztki strachu i wahania opuściły jej umysł dawno temu, w chwili gdy nacisnęła spust i zabiła Olivera. Kilku Przeźroczystych, kołyszących się lekko, ani chybi śpiewających swą telepatyczną, odurzającą pieśń, zginęło na miejscu, rozprutych kulami lub zatłuczonych kijami baseballowymi. Zdesperowana grupa bojowników szła dalej, tłukąc szyby i wyważając drzwi, a z każdym ich krokiem po szkole rozchodziło się zimno. Na zewnątrz Mooch i Tad wybijali kolejne dziury pociskami z bazooki. Wendy nadal niczego nie słyszała, ale czuła, że pieśń Przeźroczystych słabnie.

Czuła, że wygrywają.

– Ilu? – spytał Nolan, zeskakując z motocykla. Patrzył na ciężarówkę, w której układano właśnie kolejnego człowieka ocalonego z habitatu MA/7.

– Sześćdziesięciu! – zawołała Wendy.

– Sześćdziesięciu dwóch! – poprawił ją Doug, trzymający listę w ręku.

– Ocaliliśmy ponad sześćdziesiąt osób? – pytał z niedowierzaniem chłopak, podchodząc bliżej. – Super! I to bez strat w ludziach! No, to mi się podoba! Świetny plan!

– Doskonała robota, młoda – odezwał się Knoxton, który do spółki z innym górnikiem taszczył nosze z kolejnym uwolnionym z szarej masy człowiekiem. Wszyscy ludzie odbici z rąk Przeźroczystych byli

nieprzytomni, ale w żaden sposób nie psuło to smaku zwycięstwa. Wendy, wpatrzona w roziskrzone oczy Nolana, zrozumiała, że odniosła podwójne zwycięstwo.

Miała ogromną ochotę rzucić się chłopakowi w ramiona i czuła, że otaczający ją barczyści, szorstcy mężczyźni zaczęliby klaskać i wiwatować, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, kim Nolan naprawdę jest.

„To najbardziej nieprzystępny człowiek świata – strofowała się w myślach. – Człowiek skrzywdzony, zagubiony, po wielu przejściach, a do tego noszący w sobie mroczny Dar. Człowiek pełen tajemnic i sekretów. Wojownik, renegat i zabójca. Nie mogę. Nie powinnam".

Nolan najwyraźniej nie dostrzegł jej rozterek. Odwrócił się i spojrzał na trupy Przeźroczystych na schodach szkoły, a potem znów zerknął na nią i uśmiechnął się cieplej niż kiedykolwiek wcześniej. Wendy poczuła, jak jej ostatnie zahamowania kruszą się.

„A, niech to szlag".

Zarumieniona po czubek nosa, podeszła do chłopaka i bez wahania ujęła go za ręce.

– Dziękuję – powiedziała cicho, patrząc mu prosto w oczy.

Nolan odkaszlnął, najwyraźniej nieco zaskoczony reakcją dziewczyny, ale szybko odzyskał rezon.

– Daj spokój – odparł nieco chrapliwym głosem. – Za co?

– To wszystko twoja zasługa – szepnęła dziewczyna. – Nie widzisz tego?

– Potem o tym pogadamy, dobra?

– Potem. – Wypuściła jego dłonie i przytaknęła, usiłując udawać twardą i zdecydowaną.

– Załadunek zakończony – oznajmił Doug, podchodząc bliżej. – Pora na ostatnią część planu, co?

Zaskoczona Wendy uświadomiła sobie, że to było pytanie.

„Boże, ci zaprawieni w bojach twardziele czekają, aż wydam im rozkaz! – pomyślała. – Nie do wiary. No dobra, grajmy więc w tę grę do końca. Tym bardziej, że Nolan na mnie patrzy”.

– Działajcie – powiedziała, klepnąwszy Douga w ramię. Udawała swobodę, ale miała wrażenie, że jej rumieniec się pogłębia. – Ciężarówka z ocalonymi ma ruszyć do Golden Leaves, a my zakładamy ładunki wybuchowe i wycofujemy się do Dogsville.

– Nie tak szybko – odezwał się Nolan. Wszelkie emocje zastąpiła znów chłodna rzeczowość. – Powinniśmy najpierw skontaktować się z Golden Leaves. Nie wiemy, czy mają wystarczająco dużo łóżek dla nowych ocalałych. Ba, nie wiemy nawet, czy transportowanie ich na taką odległość w ogóle ma sens. Jeśli w Golden Leaves nie radzą sobie z przywracaniem ich do życia, to po co mamy ryzykować?

Doug pokiwał głową.

– Racja – powiedział. – Hej, Mig! Uruchomcie generator! Pora na naradę z domem starców!

Doug kręcił wszystkimi możliwymi pokrętłami, klął i zżymał się, a mimo to głos Marcusa niemalże tonął wśród trzasków i zgrzytów. Wendy poprawiła słuchawki, pokazała górnikowi uniesiony kciuk i odezwała się:

– Marcus? Marcus, słyszysz mnie?

Nolan założył drugą parę słuchawek. Uśmiechnął się do Wendy, ale dziewczyna odniosła wrażenie, że jest skupiony i spięty. Obiecała sobie jednak, że zastanowi się nad tym później, bo pilniejsze było podzielenie się z bratem wieścią o sukcesie. Rozmawiali wcześniej kilkakrotnie – to właśnie Marcus podsunął jej parę udanych pomysłów – i Wendy nie mogła się doczekać, gdy przekaże mu, że jak zwykle miał rację.

– Wendy? – zaszumiał Marcus.

– Marcus, udało się! – zawołała rozpromieniona dziewczyna. – Rozwaliliśmy pierwszy habitat, zupełnie jak w *Starcrafcie*! Bez strat i...

– Super! – zachrobotał jej brat, ledwie słyszalny. – Wszystko chyba się dobrze... pierwszych ocalałych... w tym również... jakieś pięć dni...

– Marcus, w ogóle cię nie rozumiem! Mów głośniej!

– Co? Powieście wyżej antenę, bo... każdym razie mówiłem, że... w tym również Heather!

– Co? – Wendy pochyliła się nad radiostacją, jakby mogło to poprawić jakość transmisji. – Powtórz! Co się stało z Heather?

Nie rozumiała słów, ale wyczuwała w głosie brata entuzjazm i radość. Spojrzała na Nolana.

– Rozumiesz coś z tego, co on powiedział? – wyszeptała drżącym głosem.

Ten pokręcił głową, nie patrząc na nią.

– Marcus, powtórz!

– Heather i Flame... oraz jeszcze paru... najwyraźniej nie mieli nic...

– Heather odzyskała przytomność? Oraz Flame? – Rozradowana Wendy spojrzała na Nolana, ale jej uniesienie znikło, gdy ujrzała pochmurny grymas na jego twarzy. Z ociąganiem skupiła się na słowach brata.

– Nie, ale śni! Mówi przez sen! Za kilka godzin...

Nolan niespodziewanie wyrwał jej słuchawkę z gniazdka. Był blady i pochmurny.

– Co się dzieje? – Wendy spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Przecież to dobre wieści!

– Posłuchaj.

Boczne drzwi vana, w którym znajdowała się lekka radiostacja polowa, były uchylone. Słychać było ożywione, pełne niepokoju rozmowy górników, przerywane dobiegającymi z oddali seriami z broni maszynowej.

– Co się, u licha, wyprawia?

Drzwi odsunęły się z głuchym rumorem. Do środka zajrzał poruszony Doug.

– Jakie wieści z domu starców?

– Chyba dobre – powiedziała niepewnie Wendy. – Mieliśmy kiepskie połączenie, ale z tego, co usłyszeliśmy, ludzie zaczynają dochodzić do siebie.

– Super, młoda. Siadaj za kierownicę i jedź do Golden Leaves.

– Czemu? Co się dzieje?

– Słyszysz te wystrzały? – Doug machnął ręką. – To 50 BMG. Nie mamy takiego na wyposażeniu.

– To chyba nie powód, żeby mnie wyganiać? – Wendy oparła pięści o biodra.

– Młoda, powiedziałaś nam wszystko o naszych Darach i wspaniale opracowałaś pierwszą akcję. Zadbaj więc, by to nie poszło na marne. – Górnik wskazał samochód, w którym ułożono ocalałych. – Zawieź ich do Golden Leaves i potem skontaktuj się z nami. Wszystko wskazuje na to, że z jakiegoś powodu mamy do czynienia z ludźmi. Z dobrze uzbrojonymi ludźmi. Zostaw to nam.

– A ja pojadę z tobą – odezwał się ponurym głosem Nolan i położył dziewczynie dłoń na ramieniu.

Wendy zmusiła się do uśmiechu, ale nie przyszło jej to łatwo. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że w sercu Nolana zaszła gwałtowna przemiana. Co ją wywołało? Czyżby nie cieszył się z tego, że Heather i pozostali dochodzą do siebie? Co się działo z tym szaleńcem?

Wendy westchnęła. Z każdą chwilą była coraz bardziej znużona kolejnymi sekretami.

GAS
EAT

Ogrzewanie w ciężarówce nie działało. Pochylona nad kierownicą Wendy szczękała zębami i trzęsła się na całym ciele, ale nawet to nie przeszkadzało dziewczynie tak bardzo jak milczenie Nolana. Chłopak nie powiedział ani słowa od chwili, gdy rozstali się z Dougiem i jego bojownikami. Przez cały czas patrzył w okno i obgryzał paznokcie, a na pytania Wendy, z początku wesołe, a z czasem coraz bardziej niespokojne, odpowiadał zdawkowo albo zgoła wcale.

„Co go ugryzło?" – myślała zgnębiona Wendy.

Czuła niepewność i narastający przestrach. Niepokoiła się o Douga i jego chłopaków. Silnik ciężarówki pracował hałaśliwie, zwłaszcza na niższych biegach, i dziewczyna nie miała pewności, ale wydawało jej się, że kanonada za ich plecami przybrała na sile i ucichła raptownie. Nie wiedziała, czy to dobry znak, czy zły. To, że silnik ciężarówki kaszlał i parskał, a wrzucenie czwartego biegu udało się jak dotąd tylko raz, zdecydowanie było złym znakiem. Ponure milczenie Nolana i świadomość, że ona ponosi odpowiedzialność za życie kilkudziesięciu nieprzytomnych jeńców Przeźroczystych, tylko pogarszały sytuację.

„Oddałabym wiele za kubek ciepłej herbaty – pomyślała, ostrożnie objeżdżając wyrwę w jezdni. – Albo za jeden uśmiech”.

Zerknęła ukradkiem na Nolana, ale ten siedział nieruchomo, wpatrzony w zaśnieżony, martwy krajobraz.

Słońce, które opromieniało ich poranną akcję, skryło się za stalowoszarymi chmurami. Uniesienie i radość ze zwycięstwa znikły już dawno. Wendy miała wrażenie, że do walki doszło wieki temu lub zgoła w innym świecie. W tym, w którym Nolan był normalnym, uśmiechniętym chłopakiem.

Silnik powarkiwał, skrzynia biegu zgrzytała. Nolan milczał. Ciężarówka powoli brnęła wśród wraków samochodów i dziur w jezdni. Czas wlókł się niemiłosiernie.

– Zatrzymaj się na tej stacji benzynowej – odezwał się niespodziewanie chłopak.

– Co? – Dziewczyna nie była w stanie powstrzymać zdumienia.

– Zatrzymaj się na tej stacji. Muszę się wysikać.

Wendy chciała zapytać, dlaczego upiera się, by to zrobić na stacji benzynowej, skoro toalety zapewne i tak nie działają, a z kranów nie leci woda, ale w oczach Nolana ujrzała coś, co zniechęciło ją do zadawania pytań. Wzruszyła więc ramionami, posłusznie zjechała na bok i zatrzymała samochód niedaleko ogromnej cysterny. Bała się wyłączyć silnik, wrzuciła więc jałowy bieg i zgrabiałymi palcami rozpostarła mapę stanu, by sprawdzić drogę. Zerknęła na Nolana, który w istocie skierował się w stronę opuszczonego „dinera” obok budynku stacji, i skupiła się na mapie, na której wcześniej zaznaczono Golden Leaves. Światło było coraz słabsze.

– Zaraz, zaraz – szeptała, wodząc palcem po plątaninie nieznanych sobie dróg. – Gdzie ja właściwie jestem... Doug mówił, by trzymać się szosy numer 5 aż do Foss. Chyba minęliśmy już jakieś miasteczko, ale czy to było Foss? Nie, raczej coś na G... A to co?

Przez monotonny warkot silnika ciężarówki przedarł się nowy odgłos: przenikliwy, wysoki warkot. Wendy wyprostowała się gwałtownie i ujrzała Nolana, który siedział na sportowym motocyklu i dodawał gazu, jakby szykował się do wyjazdu.

– Hej! – zawołała. – Hej, zatrzymaj się!

Nie bacząc na nic, wyskoczyła z szoferki ciężarówki i popędziła w stronę motocykla. Nolan zauważył ją i pospiesznie dopiął znaleziony kask, ale wtedy silnik zgasł. Wendy desperacko złapała za kierownicę motocykla.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołała z mieszaniną przestrachu i zdumienia.

– Zejdź mi z drogi! – warknął Nolan i kopnął rozrusznik.

– Chyba oszalałeś, jeśli myślisz, że pozwolę ci po prostu wyjechać! – Dziewczyna kurczowo zacisnęła dłonie na kierownicy i szeroko rozstawiła nogi, jakby szykowała się do walki. – Jeśli coś cię gryzie, to mi o tym, do cholery, powiedz!

Nolan zerwał kask i rzucił go z wściekłością na zaśnieżoną trawę. Jego oczy błysnęły ze złością, ale Wendy ani myślała się ugiąć.

– O co ci chodzi? – Dziewczyna odsłoniła zęby. Jej lęk i niepewność przeobrażały się w coraz gwałtowniejszą złość. – Dlaczego chcesz uciec? Masz coś ważnego do załatwienia?

– To nie twoja sprawa, Wendy.

– Nie moja? A niby czyja? Została nas garstka na tym przeklętym świecie! Nie potrzebujemy kłótni ani tajemnic.

– Zgadza się, nie potrzebujemy. Więc zostaw mnie w spokoju.

– Nie! – wrzasnęła Wendy. Jej krzyk odbił się od ściany stacji benzynowej i poniósł daleko. – Nie, nie i jeszcze raz nie!

Przygryzła wargę i przez moment oddychała ciężko, wpatrując się w jego oczy, znów chłodne i spokojne.

– Chodzi o Wilcox, Macharsky'ego i Baskee'ego? – szepnęła. – Tych trzech facetów z Dogsville? Zabiłeś ich, tak? Na litość boską,

Nolan, powiedz coś! Jeśli gnębią cię jakieś wyrzuty sumienia i z tego powodu chcesz...

Przerwał jej suchy, nieprzyjemny śmiech pełen sarkazmu.

– Nie, Wendy – powiedział Nolan ze zmęczeniem. – To nie wyrzuty sumienia. Też pomysł, nawiasem mówiąc. Łatwiej w tym świecie o bezprzewodowy Internet niż o skrupuły czy sumienie.

– Heather miała mnóstwo skrupułów.

– Tak. – Nolan pokiwał głową. Przez moment wpatrywał się w dal, a potem rzekł: – Dobrze, skoro nalegasz, powiem ci o wszystkim. Czytałaś jej pamiętnik i byłaś w Dogsville, a więc zapewne masz jakie takie pojęcie o tym, co się ze mną działo od chwili opuszczenia Domu. Chwila zastrzelenia Ethana wstrząsnęła mną bardziej, niż się komukolwiek wydaje. Miałem wrażenie, że pokonałem ostateczną granicę i od tej pory jestem skazany na dolę człowieka złego i pozbawionego wszelkich emocji. Z takim nastawieniem przybyłem do Dogsville, gdzie Mitch rozpętał prywatny dżihad, wycelowany we wszystkich, którzy posiadali Dary. Czyli, jak się później okazało, we wszystkich, którzy nie potrafili ich należycie ukryć. Nie mam pojęcia, dlaczego od razu nie porzuciłem tego miejsca. Może po prostu chciałem gdzieś przynależeć. Potrzebowałem ludzi, towarzystwa, jakiegoś porządku, dyscypliny. No i bawiłem się w tę idiotyczną grę, dopóki na drodze nie stanął mi Flame. Kojarzysz tego człowieka?

– Owszem – bąknęła Wendy. – To ten Anglik z motocyklowego gangu, który później towarzyszył Heather, tak? Znaleźliśmy go razem z nią.

– Taaa... – parsknął Nolan i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Przeklęty dupek.

– Heather dobrze o nim pisze. Zupełnie jakby... Jakby łączyło ich coś więcej niż tylko przyjaźń.

Dmuchnął lodowaty wiatr, przed twarzą Nolana zatańczyły białe drobinki.

– To tym gorzej dla niej. – Chłopak wyprostował się na siodełku motocykla. – Bo to sukinsyn bez litości i zimny intrygant. Chcesz wiedzieć, kim byli Wilcox, Baskee i Macharsky? To trzej więźniowie Mitcha. Nie wiem, który z nich – chyba Baskee – namówił Flame'a, by ich uwolnił. Straszył, że jeśli tego nie zrobi, doniesie Staremu, że Flame również ma Dar. Anglik się wystraszył i w ten sam sposób zaszantażował mnie. Powiedział mi, że jeśli nie zabiję tych trzech, to opowie Mitchowi o wszystkim, co widział w Domu.

– I zabiłeś ich? – spytała bezgłośnie Wendy.

– Wilcox był brutalem i człowiekiem tak obrzydliwym, że własna matka by po nim nie płakała – rzekł oschłym głosem Nolan. W jego zmęczonych oczach odbijało się białe zimowe słońce. – Macharsky był bezdomnym świrem, ale Baskee... Cóż, był normalnym człowiekiem, takim jak ty czy ja, tylko zdesperowanym i mało przewidującym. Mam całą trójkę na sumieniu.

Wendy chciała go pocieszyć, mówiąc, że Frank Macharsky żyje i ma się jak najlepiej, ale milczała. Skądś wiedziała, że jeśli teraz mu przerwie, Nolan nigdy już nie dokończy swej historii.

– Uciekłem z Dogsville, bo nie mogłem już tam wytrzymać. Wiem, że Flame mnie nie zakapował, ale ludzie skądś wiedzieli o tym, co zrobiłem. Ba, widziałaś to w ich oczach. Oni wiedzą, kto zabił tę trójkę. Gdy trafiłem na orbitę Rady Ocalenia Ludzkości, byłem już innym człowiekiem. Zmieniłem się i nie chciałem zabijać. Miałem nadzieję, że uda mi się wykorzystać mój Dar w lepszej sprawie. Czytałaś o tych ludziach, prawda? Wiesz, kim byli telepatka Beverly, pułkownik Webbster, Ramsey, Pratt, prawda? Razem tworzyli bandę najbardziej bezwzględnych drani na świecie.

Wendy pokiwała głową. Wiatr zelżał, jakby i on wsłuchał się w opowieść.

– Sęk w tym, że byli skuteczni. Ten zrujnowany, nieszczęsny świat dokładnie takich ludzi potrzebował. Byli w stanie wskrzesić naszą cywilizację, naprawdę. Wierzyłem w nich i pomagałem im ze

wszystkich sił. Aż do tej nocy, gdy usłyszałem w krótkofalówce głos Heather.

Tym razem Nolan milczał przez dłuższą chwilę. W jego oku błysnęła zdradziecka łza, którą starł wściekłym gestem.

– Spotkaliśmy się na boisku baseballowym, na ławce trenera, jak podczas jakiejś cholernej randki – ciągnął cichym głosem. – Oboje mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Próbowała mi wyperswadować przynależność do Rady, tłumaczyła, że są złymi ludźmi, a ja usiłowałem ją przekonać, że się myli. I nie wiem, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie pojawił się Flame. Wjechał znienacka na boisko, zrył murawę tym swoim idiotycznym motocyklem, wyciągnął pistolet i zaczął do mnie strzelać. Coś wrzeszczał, ale go nie słuchałem. Bałem się, że trafi Heather, bo pruł jak idiota, nie celując. Pech chciał, że trafił przerdzewiałą belkę wspierającą daszek. Ta spadła i uderzyła mnie w głowę. Straciłem przytomność.

Nabrał tchu i uśmiechnął się krzywo.

– Gdy się ocknąłem, było już po wszystkim. W tym czasie Przeźroczyści zaatakowali bowiem terytorium Rady i wszystko zniszczyli. Heather i Flame zniknęli, a wraz z nimi resztki porządku, jaki udało się stworzyć. Tego samego dnia przez przypadek natknąłem się na Lee i jego rozbitków. Resztę już znasz.

– I co teraz? – spytała głuchym głosem Wendy. – Dlaczego chcesz uciekać?

– Bo nie wiem, co zrobię, gdy ujrzę tego Flame'a. – Twarz Nolana na moment zniekształcił grymas nienawiści. – Nie winię go o to, że wrobił mnie w zabójstwo trzech osób. To moja wina, sam okazałem się idiotą. Winię go natomiast o to, że wybrał sobie niewłaściwy moment na zabawę w księcia z bajki. Gdyby owa belka nie spadła mi na głowę, być może zdołałbym ocalić Radę. Pozabijałbym te ludostwory i pomógłbym uciec ludziom. Jeszcze mielibyśmy szansę.

– Ale przecież nadal ją mamy! – zawołała poruszona Wendy. – Zniszczyliśmy dwa habitaty Przeźroczystych!

– Może to racja. – Nolan uśmiechnął się z trudem. – Ale i tak nie mogę jechać z tobą. Nie chcę, by kolejni ludzie uznali mnie za mordercę, nawet jeśli mam prawo do zemsty. Jedź dalej sama, tak będzie najlepiej. Ja wrócę do Douga i reszty, spróbuję im jakoś pomóc. A ty... Jedź do Golden Leaves. Pozdrów ode mnie Heather, jeśli się przebudziła. A z Flame'em... Cóż, zrób, co ci się żywnie podoba.

Wyglądało na to, że po rozstaniu z Nolanem los wreszcie zaczął się do Wendy uśmiechać. Ciężkie chmury grożące śnieżycą litościwie prószyły rzadkim śniegiem, natychmiast odpędzanym porywistymi podmuchami wiatru. Silnik starej ciężarówki pracował miarowo i nawet droga okazała się łatwa. Po upływie półtorej godziny dziewczyna dostrzegła wreszcie stary, oszroniały billboard z reklamą Golden Leaves, informujący, że do obiektu pozostało jedynie półtorej mili.

Reszta drogi rozmazała się Wendy w pamięci. Pamiętała tylko urywki – znak drogowy, o który zawadziła na zakręcie, zakutanego w ciężki płaszcz Parkera, który na jej widok zbiegł po oblodzonych schodach i niemalże wyciągnął ją z szoferki, Marcusa, który zmiażdżył ją w objęciach w sieni, innych ludzi, krzyki i śmiechy. Nagła fala ciepła w progu, smakowite zapachy, dźwięki, coraz bardziej donośne głosy, pytania, mętlik w głowie... I naraz kolory zaczęły wirować, coraz szybciej i szybciej, aż przerodziły się w ciemność.

Zbudziła ją świadomość, że coś jest nie w porządku.

Leżała na czymś miękkim i było jej ciepło. Skądś dobiegał cichutki melodyjny śpiew, wyczuwała też delikatny, smakowity zapach. Rosół? Tak, zdecydowanie rosół... Tylko że... Tylko że to wszystko nie powinno mieć miejsca. Koniec Świata nastąpił wiele miesięcy temu, upadła Rada, pojawili się Przeźroczyści, nadeszła zima i... I odszedł Nolan. Resztki świata zawaliły się w gruzy.

Nie było już miejsca na wygodę czy błogość. Nie było już miejsca na...

– Wstaniesz w końcu? – Tuż nad jej uchem odezwał się energiczny głos, ten sam, który przed momentem nucił wesołą melodię.

Wendy otworzyła oczy. Ujrzała twarz ciemnoskórej staruszki o siwych włosach, która energicznymi ruchami poprawiała jej pościel. Uśmiechała się przy tym promiennie, pokazując mocne, zdrowe zęby.

– O, nie śpisz. Super. Masz ochotę zjeść coś dobrego? – spytała Murzynka i nie czekając na odpowiedź, odwróciła się w stronę szpitalnego wózka, na którym stała przykryta waza oraz głęboki talerz z łyżką.

– Czy to... – szepnęła ochrypłym głosem Wendy.

– Tak, to Golden Leaves, ostatni działający dom starców w Nevadzie, ostatnimi czasy zamieniony na obóz dla uchodźców – oznajmiła wesoło staruszka. – Mam na imię Bess. Będziesz jadła sama czy mam cię nakarmić?

– Rany boskie, nie, skądże... – Wendy usiadła w pościeli. – Dam sobie radę. Proszę pani...

– Bess.

– Właśnie. Bess, co się właściwie ze mną stało?

– Zemdlałaś. Stanley twierdzi, że oszołomił cię jego wdzięk, ale ja sądzę, że zmógł cię brak snu, nadmiar stresu i kiepska dieta. Naleję ci zupy, dobrze?

Bess nachyliła się nad wazą. Po pokoju poniósł się najsmakowitszy zapach, jaki dziewczyna kiedykolwiek czuła. Jak na komendę jej żołądek głośno zaburczał. Bess nalała pełen talerz i ułożyła go na specjalnej tacy dla pacjentów.

– Tylko nie rozlej! – ostrzegła. – Nie mam ostatnio czasu na pranie. Pewna narwana dziewczyna przywiozła mi kilkudziesięciu nowych podopiecznych, wiesz?

– A więc udało się? – Wendy uśmiechnęła się.

– Tak. – Bess podprowadziła wózek do drzwi i oparła dłonie na klamce. – Ludzie, których wyrwaliście tym tam Przeźroczystym, powoli dochodzą do siebie. Większość nadal śpi, ale to normalne, zdrowe sny, z ruchami gałek ocznych i nawet gadaniem od rzeczy. Niektórzy budzą się na moment. Nic nie mówią, ale patrzą na nas, uśmiechają się, wiedzą, że są bezpieczni.

– A są? – Wendy odłożyła łyżkę i spojrzała na Bess z powagą.

– Tak, dziecko – odparła Murzynka, ale tym razem umknęła spojrzeniem w bok. – Przynajmniej na razie. Ej, kawalerze! Zapraszam!

Ostatnie słowa skierowane były do kogoś na korytarzu. Ledwie Bess wypchnęła wózek na zewnątrz, a do środka wpadł Marcus, rozpromieniony i radosny.

– Ha, wreszcie się obudziłaś! – huknął od progu. – Wyściskałbym cię raz jeszcze, ale widzę, że Bess nalała ci już swego cudownego rosołu. Jedz w spokoju, siostrzyczko, bo nic lepszego nie jest w stanie przytrafić się człowiekowi ani przed Końcem Świata, ani po nim.

Wendy uśmiechnęła się szeroko i wsunęła pełną łyżkę do ust.

– Rany, ale dobre – westchnęła.

Naprawdę nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła coś równie dobrego. Ciepło aromatycznej zupy rozlewało się po całym jej ciele. Pałaszowała, aż jej się uszy trzęsły, i zerkała na brata, który usiadł

na krześle i pogrążył się we własnych myślach. Rozstali się ledwie dziesięć dni temu, ale dziewczyna miała wrażenie, że nie widziała go przez rok bądź dłużej. Wydawał jej się bardziej zahartowany i męski niż kiedykolwiek wcześniej.

Niestety, znała go zbyt dobrze i wiedziała, że jego uśmiech nie jest do końca szczery. Dokończyła rosół, odstawiła talerz na stolik nocny i spojrzała na niego śmiało.

– No, mów – powiedziała ze spokojem, który zaskoczył ją samą.

– Co mam mówić?

– Masz jakieś złe wieści, wiem to. Wal. Im prędzej dowiem się o wszystkim, tym lepiej.

– No dobra. – Marcus nabrał tchu. – Przeźroczyści okazali się za sprytni jak na twój plan.

– Co to oznacza? – Strach przeszył jej serce.

– Oni uczą się szybko, Wendy. Błyskawicznie, rzekłbym. Zniszczyli Radę, gdy tylko uświadomili sobie, jakie stanowi zagrożenie. Ba, zniszczyli... Starli ją z powierzchni ziemi w kilkunastu miejscach jednocześnie. Nie potrafili skutecznie zareagować po zniszczeniu pierwszego habitatu, ale gdy utracili drugi, ich reakcja była natychmiastowa. Wybudzili część ludzi z letargu i dali im broń.

Wendy zacisnęła powieki.

– O Boże – westchnęła zdruzgotana. – A więc po Odmienionych stworzyli sobie drugą armię?

– Wszystko na to wskazuje.

– Strzały. – Wendy otworzyła oczy. – Nim odjechaliśmy spod drugiego habitatu, rozległa się jakaś strzelanina. Doug powiedział, że to na pewno nie broń z Dogsville. Zostali, by to sprawdzić. Doug? Co z nim?

– Nie wiemy – westchnął Marcus. – Usłyszeliśmy przez radio, że są atakowani przez innych ludzi, sterowanych ową wibrującą pieśnią Przeźroczystych. Jeden z ludzi Douga stracił w walce słuchawki i

natychmiast oszalał. Trzeba było go zabić, bo rzucił się na Knoxtona z nożem. Potem łączność się urwała. Nie wiemy, w jaką technologię Przeźroczyści wyposażyli swą nową armię, ale bez wątpienia jest ona liczna i całkowicie pozbawiona jakichkolwiek emocji. Nie mamy pojęcia, co robić.

Wendy spojrzała na okno, za którym wirowała śnieżyca, a potem ukryła twarz w dłoniach. Gdy znów spojrzała na brata, w jej oczach krył się bezbrzeżny żal.

– Czyli to wszystko na nic? – spytała bezbarwnym głosem. – Te gnojki nas pokonały?

– Nie wiem. – Marcus pokręcił głową. – Możemy spróbować jeszcze... Nie, nie wiem. Naprawdę nie wiem. Trzeba by w nich walnąć czymś naprawdę solidnym, co załatwiłoby ich od razu. Jak w *Wojnie światów*. Sęk w tym, że nikt nie ma pomysłu, co by to miało być.

– Ja też nie – szepnęła Wendy. – Rany, tak mi przykro.

– Mnie też. – Marcus pokiwał głową, ale zaraz się rozpromienił. – Spoko, może jeszcze coś wymyślimy!

– Jasne. – Wendy miała nadzieję, że udaje entuzjazm i nadzieję lepiej od brata. Wyjrzała poza krawędź łóżka i dostrzegła parę szpitalnych kapci. – Posłuchaj, Marcus. Nie jestem obłożnie chora i spacer dobrze by mi zrobił. Możesz mnie zaprowadzić do Heather i Flame'a?

Brat o nic nie pytał. Pomógł siostrze nałożyć szlafrok, objął ją wpół i wspólnie wyszli na cichy, uśpiony korytarz, pachnący świeżością i środkami czystości. Zza którychś drzwi dobiegała wesoła melodia Bess.

– Tam leżą ci, których przywiozłaś – szepnął jej Marcus do ucha, jakby się bał, że kogoś obudzi. – Heather jest tu.

Otworzył przed nią drzwi i weszli do pokoju, w którym znajdowało się sześć łóżek oraz miękki fotel. Na każdym z łóżek leżał jakiś

rekonwalescent, ale Wendy od razu odnalazła wzrokiem Heather. Przyjaciółka wydawała się drobniejsza, niż ją sobie zapamiętała, ale jej bladość nie wydawała się aż tak chorobliwa, a na twarzy błąkał się ciepły uśmiech. Wendy pogładziła ją po policzku.

„Cieszę się, że jesteś bezpieczna – pomyślała. – Dojdź do siebie. Nigdy nie uwierzysz, w co się wpakowałam, próbując iść w twoje ślady".

Potem spojrzała na Flame'a i odruchowo wniknęła myślami w otaczającą go aurę. Ku jej szczeremu zdumieniu odnalazła echa Daru Brytyjczyka.

„Aha – pomyślała. – Już wszystko wiem. Pomyliłeś się, Nolan. Flame może i błądził, może zabijał. Może parokrotnie okazał się bezdusznym draniem, ale tuż przed atakiem Przeźroczystych na Radę nie chciał nikomu zrobić nic złego. Jego Dar ostrzegał go, że ktoś gdzieś planuje straszny czyn. Wydawało mu się, że to ty chcesz wyrządzić krzywdę Heather, a tymczasem jego Dar wykrywał nadchodzącą inwazję Przeźroczystych. Popełnił błąd w ocenie i tyle. Chciał dobrze. Winisz go za to? Przyszłoby ci do głowy, że Przeźroczyści planują zmasowany, precyzyjny atak?".

Westchnęła ciężko i podeszła do okna. Wichura nieco zelżała, ale podmuchy nadal ciskały tumanami śniegu po otaczającym dom ogrodzie. Wyobraziła sobie Nolana, samotnego na motocyklu gdzieś pośród tej zawieruchy, i poczuła ukłucie rozpaczy.

„Jedziesz na pewną śmierć. Nie ma już Douga i reszty. Nie ma Dogsville. Boże, Nolan, cofnij się. Oddałabym dziesięć lat życia za to, byś usłyszał mą prośbę i zawrócił".

Wichura szalała na zewnątrz, bezlitosna i obojętna. Fotel skrzypnął pod ciężarem siadającego Marcusa. Na korytarzu rozległy się kroki dwojga ludzi i pospieszne tupotanie, towarzyszące otrzepywaniu butów ze śniegu, a potem wesoły śmiech. Zaskoczona Wendy spojrzała w stronę drzwi. Tak mógł się śmiać tylko ktoś

pozbawiony jakichkolwiek zmartwień. Czy po Końcu Świata ktoś był w stanie zdobyć się na tak wielką beztroskę?

– Też pomysł! – mówiła jakaś kobieta z humorem. Jej głos był znajomy. – W taką pogodę na spacer mnie wyciągać? Odbiło ci, Gordon! Całkiem ci odbiło!

– Skoro się zgodziłaś, to i z tobą nie najlepiej – odparł męski głos, jeszcze bardziej znajomy. Przed oczami Wendy natychmiast stanęło opuszczone mieszkanie na przedmieściach Marington i Pratt z karabinem maszynowym.

„To Gordon i Ellen Prattowie!" – pomyślała Wendy i zamrugała z niedowierzaniem oczami. Rozparty na fotelu Marcus pokiwał głową, jakby odczytał jej myśli, i przewrócił oczami.

– Ellen podobno obudziła się kilka dni po przybyciu Gordona – dodał. – Przebaczyła mu wszystko kilka minut po przebudzeniu. Od tego czasu jesteśmy świadkami niekończącej się love story.

– A wy co tu porabiacie, gołąbki? – huknęła Bess na korytarzu. – Kto będzie po was sprzątał, co? Kto zetrze ten śnieg?

– Robi się, Bess.

Wendy niespodziewanie nabrała tchu, tknięta nową myślą. Przełknęła ślinę, pokręciła głową i spojrzała na brata. W jej szeroko otwartych oczach błysnęła nadzieja.

– Trzeba by w nich walnąć czymś naprawdę solidnym, tak? – spytała cicho, ledwie słyszalnym głosem. – Rany, Marcus, chyba wiem czym.

Świetlica w Golden Leaves miała uprzyjemniać pobyt wszystkim pensjonariuszom. Znajdował się tam stół bilardowy z zielonym płótnem przybrudzonym kilkoma ciemnymi plamami, był nieczynny oczywiście wielki telewizor plazmowy, był zestaw hi-fi z karaoke oraz rozliczne kanapy i fotele. Garstkę ocalałych interesowała jednakże jedynie szeroka ława, przy której w dobrych czasach zapewne grano w *Scrabble* czy *Monopoly*, a teraz planowano ostatni atak cywilizacji na wszechpotężnego wroga.

– Żałuję, że nie ma z nami doktor Cameron – mówił Marcus i zacierał dłonie, jakby było mu bardzo zimno. – Wiem o Przeźroczystych tyle co wy, a może i mniej. Wszyscy jednak chyba zgodzicie się ze mną, że ich największą siłą jest to, że błyskawicznie wyciągają wnioski.

Odpowiedziało mu milczenie. Bob Malloy, wysoki staruszek w marynarce ze skórzanymi łatami na łokciach, były żołnierz i niekwestionowany przywódca Golden Leaves, pyknął z fajki.

– Z tego, co mówisz, młody człowieku, każdą taktykę można zastosować jedynie raz – powiedział rzeczowym, spokojnym tonem. – Przeźroczyści od razu łapią się, co w nich walnęło, i wymyślają remedium.

– Otóż to, panie Malloy. – Marcus pokiwał głową. – Dlatego też musimy założyć, że Dogsville przestało istnieć.

Odpowiedziała mu głucha cisza. Wendy przełknęła ślinę.

– Nie chcę, by to głupio zabrzmiało, ale... – Pobladły młodzieniec odkaszlnął. – Ale możemy to w pewien sposób wykorzystać. Przeźroczyści nie myślą tak jak my. Nie znają pojęcia garnizonu czy okupacji. Zniszczywszy Dogsville, uznają problem za rozwiązany i wrócą do siebie.

– I to jest takie fajne? – Joy wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Posłuchajcie mnie do końca...

Tabliczka z nazwą Dogsville i mało przyjaznym komentarzem pod adresem tego, kto miałby ochotę interesować się jego rozwojem demograficznym, była przewrócona i wgnieciona w śnieg. Wendy podniosła się nieco i ujrzała ślady opon biegnące ku miasteczku. Obok nich śnieżną połać przecinały inne, liczne.

– A więc nie dość, że potrafią posługiwać się bronią palną, to jeszcze prowadzą pojazdy – powiedziała do Parkera. Oczywiście miała na myśli nową, ludzką armię Przeźroczystych, którą roboczo nazywano mumiami. W obliczu nadciągającego końca, drugiego już w ciągu ostatnich paru miesięcy, nikt nie zawracał sobie głowy wymyślaniem lepszego terminu.

– Nie to jest najgorsze – odezwał się siedzący z tyłu Marcus.

– A co jest?

– Nadjechali od południa, a więc z przeciwnego kierunku niż ten, w którym leży najbliższy habitat. Innymi słowy: wzięli miasto w kleszcze. Doskonale zaplanowali ten atak.

– Jaka jest szansa, że nadal się w nim znajdują?

– Niewielka. – Marcus wzruszył ramionami. – Dlaczego miałoby im zależeć na okupacji?

Parker, który od czasu przybycia do Golden Leaves mówił jeszcze mniej niż wcześniej, bez słowa wcisnął pedał gazu. Ogromne opony jeepa cherokee zanurzyły się w śniegu i poniosły samochód w stronę miasta. Wendy odwróciła się i przez zabrudzoną tylną szybę spojrzała na drugi pojazd ich ekspedycji, szare subaru, które popełzło wolno w ślad za nimi. Wpatrywała się w nie przez chwilę, głównie po to, by nie musieć patrzeć przed siebie. Nie chciała spoglądać na Dogsville. Chciała jak najdłużej pielęgnować w sobie iluzję, że ostatnia twierdza nadal istnieje.

– Jasna cholera – westchnął z rozpaczą siedzący obok niej Joy.

Słowa te zburzyły resztki nadziei. Wendy odwróciła się i ujrzała słupy czarnych dymów trujące zimowe niebo. Wzbijały się znad ośnieżonych zabudowań, znad porozbijanych samochodów i wypalonych domów. W miejscu, gdzie jeszcze przed kilkoma dniami wznosiła się potężna brama, w tej chwili ziała ciemna dziura, tak szeroka, że przejechałby przez nią szkolny autobus.

Nikt już nic nie mówił.

Niewielki konwój jechał powoli, mijając leje po wybuchach granatów i zwęglone wraki. Tu i ówdzie w śniegu leżały czyjeś zwłoki, nieważne: obrońcy czy napastnika. Nikt ich nie okrzyknął, nikt nie zatrzymał. Dogsville stało się miastem duchów.

Parker zatrzymał pojazd na głównej ulicy, przed sklepem z meblami z wybitą witryną. Wyłączył silnik i wyszedł na zewnątrz. Wendy, Joy i Marcus zrobili to samo. Subaru zaparkowało nieopodal. Przez moment jedynymi słyszalnymi odgłosami były świst wiatru i chrzęst szklanych okruchów pod butami Indianina.

– Ale masakra – westchnął Joy i zapalił skręta. – A więc jednak.

– Tak – rzekł suchym głosem Marcus. – To było do przewidzenia.

– To po co myśmy tu przyjechali?

– Tłumaczyłem ci wielokrotnie – warknął Marcus. – Przeźroczyści błyskawicznie kontrują wszelkie nasze posunięcia, ale wciąż nie znają się na ludzkim sposobie prowadzenia wojny. Jak widzisz, nie trzymają tu garnizonu ani nie wysyłają patroli! Uznali, że temat został zamknięty z chwilą pokonania ludzi Mitcha. Jest to więc w tej chwili najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Wendy zacisnęła powieki i wtedy usłyszała dzikie, stłumione wrzaski, dobiegające z nieodległego budynku. Rozpoznała je od razu.

– Co nie oznacza, że najprzyjemniejsze – westchnęła.

– Kto się tak wydziera? – zaniepokoił się Joy i odruchowo chwycił za broń.

– Chcesz zobaczyć? – Wendy uśmiechnęła się złowrogo. – To chodź ze mną.

– Innymi słowy: Dogsville stanie się idealnym punktem zbornym dla nas i grupy z Domu.

– Grupy z Domu. – Oczy Parkera błyszczały złowrogo. – Złożyłem obietnicę, że będę strzegł Domu ze wszystkich sił. A ty chcesz wmieszać ich w tę rozróbę? Chcesz ściągnąć na nich uwagę Przeźroczystych? Po co?

– Myślisz, że mieszkańcy Domu są bezpieczni? – odezwała się Wendy. – Przeźroczyści to jak do tej pory najdoskonalsza kultura ludostworów, Casey, tak doskonała, że nie wiem, czy zgoła zasługuje na tę samą nazwę co reszta tych potworów. Co więcej, są tak inteligentni, że prędzej czy później odnajdą Dom i utkają sobie tam kolejny kokon. Zrozum wreszcie, że izolacja na pewno naszych przyjaciół nie zbawi. Być może odwlecze wyrok, ale nikogo nie ocali. Gdybyś to zrozumiał, nie musiałabym od was uciekać.

Jej głos lekko zadrżał.

– Co takiego? – Casey zamrugał oczami. – Chcesz powiedzieć, że to wszystko moja wina?

– Nie. Absolutnie nie. Tylko tego brakowało, byśmy sobie teraz zaczęli wypominać stare winy. – Wendy rozparła się na skrzypiącej kanapie i spróbowała się uśmiechnąć. – Jesteś wspaniałym obrońcą Domu, Casey, ale warto sobie zadać pytanie, po co właściwie ów Dom chronimy.

Casey milczał, pochmurny, i wpatrywał się w okno, do połowy zasypane śniegiem.

– Heather ostrzegała nas w swoim pamiętniku – odezwał się Marcus. – Trzeba było reagować wcześniej. Może nie doszłoby do tylu tragedii. Wszyscy ponosimy winę i tyle.

Odpowiedziała mu ponura cisza.

– Dobrze – burknął w końcu Casey. – Powiadomimy Dom. Kto ma przybyć?

– Przyda nam się Barry, który ma dar uzdrawiania, oraz Jane, która potrafi wykryć ludzi z wielkiej odległości – rzekła Wendy.

– I Chewie – dodał Marcus.

– Zgoda – rzekła dziewczyna, a potem westchnęła raz jeszcze, nabierając odwagi, i śmiało spojrzała na Caseya.

– Skoro zeszliśmy na temat pamiętnika Heather, musimy zamknąć jeszcze jedną kwestię – powiedziała. – Jestem niemalże pewna, że ktoś wyrwał z niego dwie ostatnie kartki. Przeczucie mi mówi, że opisano w nich coś, co mogło zagrażać bezpieczeństwu Domu. Czy to ty je wyrwałeś, Casey?

– Nie. – Indianin zmiażdżył dziewczynę wzrokiem. – Nie i nie wiem, dlaczego miałbym to zrobić. Mam ci przysięgać, Wendy?

– Wystarczy mi twoje słowo – odparła dziewczyna. – W takim razie poproszę, by w grupie z Domu znalazł się ktoś jeszcze.

Nawet za kratkami Mitch był przerażającym człowiekiem. Zaciskał ogromne włochate dłonie na prętach z taką siłą, iż wydawało się, że te lada moment ustąpią pod jego furią. Przekrwione oczy zdawały się teraz całkiem zalane krwią, a wściekły grymas upodobnił byłego przywódcę Dogsville do rozszalałego zwierzęcia.

– I kogóż my tu mamy? – wycharczał na widok Wendy. – Samozwańcza przywódczyni wolnej Ameryki? I jak twoje czary-mary? Udało ci się wygrać tę wojnę?

– Jeszcze nie, Mitch – odpowiedziała śmiało i podeszła do krat tak blisko, iż zdawało się, że mężczyzna lada moment ją pochwyci. – Cierpliwości.

– Wendy, nie idź dalej – ostrzegł ją zaniepokojony Joy, unosząc pistolet maszynowy, ale ani dziewczyna, ani więzień nie zwrócili na to uwagi.

– Naprawdę w to wierzysz? – Mitch kręcił głową. Grzywa jego brudnych, posklejanych włosów zafalowała. – I to ty nazwałaś mnie szaleńcem? Widziałaś może to, co te cholerne poczwary zrobiły z moim miastem?

– Widziałam.

– To wszystko przez ciebie! – Mitch wrzasnął z taką pasją, że na twarzy Wendy wylądowały drobinki śliny. – Przez ciebie! Gdybyś się nie wtrąciła, ty i ten twój kochaś, wszyscy oni by żyli!

– Może.

– Może? Jak możesz być taka głupia?

Huknęły gdzieś drzwi, załomotały czyjeś buty na schodach. W korytarzu prowadzącym do celi pojawił się Parker. Uniósł brew na widok rozszalałego Mitcha, ale skupił uwagę na Wendy.

– Przyjechała grupa z Domu – powiedział krótko.

– Chodźmy, Joy. – Wendy odwróciła się od krat. Jej twarz była nieporuszona od chwili opuszczenia Golden Leaves.

– Co?! – ryknął Mitch. – Masz zamiar mnie tu zostawić? Chcesz, bym umarł z głodu? Ty przeklęta, nadęta smarku...

Joy przepuścił Wendy przodem i zatrzasnął drzwi, ucinając tyradę w połowie. Na ulicy ponownie uderzył w nich mroźny wiatr, niosący tumany śniegu, ale widać było sfatygowanego, poobijanego mercedesa, który zatrzymał się przy cherokee. Ze środka gramolił się właśnie rozpromieniony Barry w czapce świętego Mikołaja, osobliwie kontrastującej z jego ciemną skórą. Obok samochodu rozradowany Marcus ściskał Chewiego, Jane śmiała się i zmagała z wydętą wiatrem chustą, ale uwaga dziewczyny skupiona była na pasażerze skulonym na tylnym siedzeniu.

– Wendy, kopę lat! – Barry przygarnął dziewczynę do szerokiej piersi. – Już myśleliśmy, że nigdy się nie spotkamy!

– Ja też się cieszę! – Wendy udała uśmiech i wyślizgnęła się z objęć ogromnego kucharza, a potem spojrzała na czwartego przybysza, który nie kwapił się, by wyjść z samochodu. – Co się z nim dzieje? Chory?

– Tak! Ze strachu – śmiał się Barry. Jego zęby były bielsze od śniegu. – Ten człowiek to największy tchórz na Matce Ziemi.

– Marudził przez całą drogę! – powiedziała Jane wesołym głosem, którzy przywodził na myśl ciepło i przytulność Domu. – Gadał, że nie nadaje się na żadną wojnę i nie chce, by ktoś znowu go zabił. W pewnym momencie sama już chciałam to zrobić. Po co kazałaś go tu ściągnąć?

– Mam przeczucie, że się nam przyda – wycedziła przez zęby Wendy. – Joy, chodź ze mną.

– Co znowu? – zdziwił się młody grotołaz. Dziewczyna podeszła do tylnych drzwi mercedesa i otworzyła je bezceremonialnym szarpnięciem.

– Wyłaź! – rozkazała.

– Rany, Wendy, już idę, już! – bąknął pasażer mercedesa, gramoląc się na zewnątrz.

Frank Macharsky nie zmienił się nic a nic. Nadal miał na sobie sfatygowany filcowy płaszcz, czapkę uszankę i znoszone wojskowe buciory, jego oblicze powlekał kilkudniowy zarost, ale niebieskie, nieco załzawione oczy połyskiwały strachem. Dłonie w wełnianych, przyciętych rękawiczkach, którymi wyjął papierosa, lekko drżały.

– Miło cię widzieć, Wendy! – powiedział, udając beztroskę. – Niezły bajzel, co? Założę się, że...

– Przywiozłeś do Domu pod Pękniętym Niebem pamiętnik Heather – powiedziała bez ogródek Wendy. Jej pobladła twarz ani drgnęła, a oczy wydawały się pozbawione życia w tym samym stopniu co zniszczone miasto. – Czytałeś go, prawda?

– Tak! – Frank bezskutecznie usiłował skrzesać ogień, ale wysłużone zippo odmawiało posłuszeństwa. – Czy tylko tego chciałaś się dowiedzieć? Wendy, skarbie, nie obraziłbym się, gdybyś mi zadała to pytanie przez radio. Czy...

– Brakuje w nim dwóch ostatnich kartek. Czy to ty je wyrwałeś?

– Nie, skądże! – roześmiał się tramp. – Po co miałbym cokolwiek wyrywać?

Wsunął papierosa do ust i odwrócił twarz, chcąc się zasłonić przed wiatrem, ale Wendy wyrwała go, rzuciła na śnieg i przydepnęła. Frank spojrzał na nią z wyrzutem.

– Dlatego, że jesteś świrem, który wierzy w każdą możliwą teorię spiskową. Powtórzę pytanie i dobrze ci radzę, byś się zastanowił nad odpowiedzią. Wyrwałeś dwie ostatnie strony?

– Nie, skarbie, ja...

– Nie nazywaj mnie skarbem!!! – Wendy zrobiła krok w jego kierunku i wrzasnęła tak głośno, że na moment umilkł nawet ryczący bezsilnie Mitch. – Tylko trzy osoby dokładnie przeczytały pamiętnik

Heather. Ja niczego z niego nie usuwałam, Casey przysiągł, że tego nie zrobił, a ja mu wierzę. Pozostajesz więc ty! Co było na wyrwanych przez ciebie stronach?

Frank kręcił głową z oszołomieniem tak szczerym, że Joy złapał Wendy za rękę i szepnął coś, by ją uspokoić. Dziewczyna wyszarpnęła dłoń z wściekłością.

– Słyszysz tego szaleńca? – syknęła złowrogo, wskazując drzwi, za którymi uwięziono Mitcha. – Marzy tylko o tym, by wyładować swą furię na kimkolwiek, w szczególności zaś na kimś, kto włada jakimś Darem. Z uwagi na to, że sam nie potrafi zasnąć, znęcałby się nad swą ofiarą bez chwili przerwy przez długie, długie tygodnie. Zwłaszcza gdyby ofiarą był ktoś, kto nie może umrzeć!

– Czy ty mi grozisz, Wendy? – Frank wyprostował się i bez powodzenia próbował zmierzyć dziewczynę groźnym wzrokiem.

– Nie, nie grożę. – Twarz dziewczyny przeistoczyła się w złowrogą maskę. Stojący obok niej Joy naraz zrozumiał swą rolę i bez słowa uniósł lufę karabinu. Pozostali przyglądali się scenie w milczeniu. „Mam nadzieję, że wiesz, co robisz" – mówił wzrok Marcusa. „Odbiło ci!" – głosiła mina Barry'ego. Jane zrobiła już krok w stronę Wendy i uniosła ręce, jakby chciała ją powstrzymać, ale dziewczyna wykonała krok w stronę Franka, odgradzając się tym samym od gospodyni Domu pod Pękniętym Niebem.

– Przedstawiam jedynie konsekwencje – dodała głosem chłodniejszym od wiatru.

Frank odetchnął i pokręcił głową, nie patrząc na nikogo.

– Dobra – szepnął. – W porządku. Były dwie kartki, które wyrwałem. Tylko dwie. I nie myśl sobie, że zrobiłem to ze strachu! – Wycelował w Wendy drżący palec z brudnym paznokciem. – Mało kto wie tyle o machlojkach rządu amerykańskiego co ja! Mało kto poznał tyle sekretów reptilianów! Nie mogłem pozwolić, by ludzie się o tym dowiedzieli! Musiałem was ochronić!

– Przed czym chciałeś nas chronić? – warknęła Wendy. Wiatr kąsał jej twarz, ale w ogóle na to nie zważała.

– Tuż po naszym rozstaniu Heather odkryła, że z reptilianami można rozmawiać – westchnął Frank. – No, przesadziłem z tą rozmową. Można im telepatycznie przekazać coś niecoś. Jak na przykład to, że się nie stanowi dla nich zagrożenia. Przekonała ich, by przepuścili ją przez swoje terytorium. Nie mam pojęcia, co planowała, i nie udało mi się tego od niej wydobyć. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Próbowałem odpalić autobus, gdy zobaczyłem, jak biegnie. Ucieszyłem się, bo myślałem, że chce się zabrać z nami, ale ona tylko wyrwała mi z ręki pamiętnik, dopisała kilka słów i znów pobiegła ku Marington. Powiedziała tylko, że ktoś na nią czeka. I że nie chcę tego kogoś nigdy oglądać. Na pierwszym postoju przeczytałem jej ostatnią notatkę i ciarki mnie przeszły. Rany boskie, wyobrażacie sobie, co by było, gdyby ludzie się o tym dowiedzieli? Wiecie, co by było, gdyby ludzie odkryli możliwość telepatycznej komunikacji z Przeźroczystymi? Przestalibyśmy sobie ufać, bo każdy z nas mógłby stać się zdrajcą i...

– Przestań gadać – szepnęła Wendy. Jej słowa, choć ciche, miały w sobie groźną moc i tramp posłusznie zamilkł. Dziewczyna przez moment oddychała ciężko, a potem spojrzała na subaru. Bob Malloy stał przy drzwiach kierowcy i pykał z fajki. Wzrok Wendy odszukał jednak pasażerów siedzących na tylnym siedzeniu. Gordon jak zwykle otaczał Ellen ramieniem.

Wendy uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Casey, usiądę w samochodzie Boba – powiedziała. – Ty i Barry jedźcie tuż za nami. Jedźcie powoli, jak najwolniej. Utrzymujmy kontakt przez krótkofalówki.

– Powoli? – zdziwił się Indianin. – Mieliśmy wpaść, narobić zamieszania i...

– Powoli. Chyba mam lepszy sposób. Jeśli nie zadziała, wracamy do planu Marcusa. A ty – spojrzała na skonfundowanego trampa –

unikaj już własnych pomysłów. Wszelakich. Bo świat się zmienił, jak zapewne zauważyłeś, i najcenniejszą rzeczą w nim jest zdrowy rozsądek.

Pochłonięta własnymi myślami Wendy przez dłuższą chwilę piła mocną herbatę, którą wręczyła jej niezastąpiona Bess. Gdy wreszcie wyrwała się z zadumy, ujrzała, jak Marcus wskazuje zaznaczone na mapie pozycje znanych habitatów Przeźroczystych. Uśmiechnęła się, słysząc jego głos, męski, poważny, rzeczowy. Co się stało z tym nerdem z nadwagą, noszącym sandały i koszulkę Dream Theater?

„A co się stało ze mną? – pomyślała z goryczą. – Ty jeden, Nolan, umiałbyś odpowiedzieć na to pytanie".

Pochyliła się nad mapą i stwierdziła, że habitaty układają się w nieregularny okrąg przerwany w miejscu, gdzie przypuściła jedyny skuteczny atak z bojownikami z Dogsville.

– Wydaje mi się, że najlepszym rozwiązaniem będzie wdarcie się tędy. – Marcus wskazał lukę i westchnął ciężko. – Przy czym będzie to niestety atak samobójczy. Jest nas zaledwie garstka i przybycie naszych przyjaciół z Domu niewiele pomoże. Jeśli Przeźroczyści nadal trzymają mumie pod bronią, zrobi się gorąco. Nawet bardzo gorąco.

– Spokojnie, chłopcze. – Głuchą ciszę przerwał głos Boba Malloya. Staruszek pykał fajeczkę ze stoickim spokojem, ale jego oczy się śmiały. – Jako dwudziestoparoletni chłopak walczyłem pod Hue i w oblężeniu Khe Sanh w Wietnamie. Nigdy nie widziałem żadnego z tych waszych Przeźroczystych, ale jakoś mi się nie chce wierzyć, by okazali się gorsi od czubków z Wietkongu.

– Chce się pan wybrać z nami? – Zdumienie Marcusa nie miało granic.

– Chłopcze, jeśli myślisz, że pozwolę wam pojechać beze mnie, jesteś równie stuknięty jak te mutanty – oznajmił Bob i pyknął

z fajki. Jego słowa podniosły wszystkich na duchu. Marcus uśmiechnął się nieco, Casey pokiwał z uznaniem głową, a Joy zaklaskał. Wendy zaś wykorzystała chwilę i odszukała wzrokiem Gordona, który od początku narady nie powiedział ani słowa.

„Jesteś na pewno na to gotów?" – spytała wzrokiem.

Gordon Pratt uśmiechnął się ze spokojem i objął ramieniem Ellen.

„Jestem. Poprawka. Jesteśmy".

Ellen spojrzała na męża, jakby właśnie odczytała jego myśli. Wendy przymknęła oczy. Zupełnie zapomniała, że żona Gordona jeszcze we śnie wykształciła własną formę telepatii. Po przebudzeniu jej Dar z każdym dniem działał coraz precyzyjniej.

– Ja też pojadę z wami – powiedziała głośno, z odwagą. – Telepata może się przydać w tym samym stopniu co snajper.

Wiatr przybrał na sile. Jego gwałtowne podmuchy targały jadącym powoli samochodem, a pracujące pospiesznie wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem śniegu gromadzącego się na przedniej szybie. Skupiony na prowadzeniu Bob Malloy przeklinał pod nosem i co chwila zerkał w lusterko wsteczne. Siedząca obok niego Wendy spostrzegła, że weteran z Wietnamu co rusz ociera czoło. Nie dziwiła się. Napięcie stawało się trudne do zniesienia.

Spojrzała w bok. Gdzieś pośród śnieżnej bieli zamajaczyły pierwsze ciemne kształty. Ujęła krótkofalówkę i szepnęła:

– Pierwsza grupa na godzinie czternastej.

– Widzę. – Głośnik zachrzęścił głosem Marcusa, jadącego w drugim samochodzie niewielkiego konwoju. – Mumie czy ludostwory?

– Trudno powiedzieć. – Wendy przyjrzała się obcym przez lornetkę, ale zamieć skutecznie rozmywała wszelkie kształty. –

Wydaje mi się, że się zatrzymali.

– Na godzinie siódmej kolejna grupa – odezwał się po chwili Barry, prowadzący ostatni samochód. – Nie ruszają się! – dodał z entuzjazmem. – Wendy, to chyba działa!

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na Ellen, siedzącą tuż za nią. Żona Gordona Pratta była blada i miała przymknięte oczy. Gdyby nie lekki, nieśmiały uśmiech na twarzy, można by pomyśleć, że jest chora. Usta kobiety poruszały się niedostrzegalnie, zupełnie jakby przez cały czas powtarzała to samo zdanie. Wendy nie umiała czytać z ruchu warg, ale skądś wiedziała, że ta mówi w myślach: „Nic wam nie grozi. Nie jesteśmy niebezpieczni". Komunikat telepatyczny przebijał zamieć i mknął w stronę ośnieżonych, milczących, niewidocznych stąd habitatów. Zaskoczona Wendy uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej trafiał do celu.

„Przeźroczyści odebrali sygnał. Nie wiedzą, co on oznacza, ale na wszelki wypadek wysłali dwie grupy zwiadowcze" – zrozumiała.

Spojrzała na Gordona, który trzymał żonę za rękę. Wydawał się bardziej spięty i zdenerwowany od niej, ale uśmiechnął się, by dodać dziewczynie otuchy.

– Jesteś pewien? – spytała bardzo cicho, nie chcąc przerywać koncentracji Ellen.

– Po krzywdzie, jaką wyrządziłem Domowi? – Gordon uśmiechnął się krzywo. – Oczywiście, że tak.

– Wendy, spójrz na prawo – zazgrzytała krótkofalówka.

W śnieżnej kurzawie majaczył obły kształt habitatu MA/7, zniszczonego w jedynym wypadzie grupy z Dogsville.

– Wjeżdżamy już na ich terytorium – szepnęła. – Pozostało jeszcze jakieś pół godziny drogi, Gordon.

„O ile ulice przedmieść będą przejezdne. O ile Ellen nie zemdleje. O ile któryś z samochodów się nie zepsuje. O ile...".

Ellen kaszlnęła, a potem krzyknęła cicho. Niespodziewanie zerwała się, jakby chciała rzucić się do biegu. Uderzyła głową w sufit samochodu i natychmiast straciła przytomność. Wendy zdążyła jednak dostrzec przerażenie w jej oczach.

– Ellen! – Gordon gorączkowo szukał jej pulsu. – Ellen! Co się stało?

Wendy podniosła lornetkę do oczu i przygryzła wargę. Czająca się nieopodal grupa przeciwników poruszyła się i dziewczyna mogłaby przysiąc, że zmierzają w ich kierunku.

– Przeźroczyści stracili cierpliwość i chyba postanowili sprawdzić, skąd dobiega komunikat – powiedziała zmienionym głosem. – Dłużej nie dadzą się mamić, a my nie podjedziemy bliżej. Musimy...

– Zajmijcie się Ellen – syknął Gordon przez zaciśnięte zęby. – Obiecaj mi to, Wendy.

– Obiecuję.

– Dobrze. Sierżancie, pan pozwoli? Muszę zająć pańskie miejsce.

Malloy, który przysłuchiwał się wymianie zdań, zamrugał oczami.

– Czy ja dobrze rozumiem, że masz zamiar...

– Otóż to! – Gordon już wysiadał z samochodu. Do środka wtargnął zimny podmuch. – Pora na akcję, która zawstydzi nawet tych czubków z Wietkongu! Niech pan łapie Ellen!

– Wendy, obie grupy się ruszyły! – wrzeszczał Marcus.

– Wiem! Przykrywka spalona! Zabierzcie nas stąd!

– Robi się!

Światła potężnego cherokee błysnęły, silnik zaryczał niczym rozbudzony potwór. Samochód skoczył do przodu i wyhamował przy subaru w chwili, gdy Malloy i Wendy zdołali wyciągnąć ze środka Ellen. Kobieta była półprzytomna, ale wsparta o ramię krzepkiego staruszka zdołała utrzymać równowagę. Gordon, już za kierownicą subaru, obrzucił ją ostatnim spojrzeniem, pełnym miłości i tęsknoty, a potem zasalutował reszcie i wdusił pedał gazu. Podskakujący na

wybojach samochód popędził w głąb zasypanego śniegiem terytorium Przeźroczystych.

Jedna z grup napastników natychmiast zmieniła kierunek i pognała za subaru Gordona.

– Casey! – krzyczała Wendy, usiłując zagłuszyć ryk silników i wycie wiatru. – Casey! Spójrz!

Ogromnemu Indianinowi nie trzeba było powtarzać. Wyskoczył zza kierownicy, zmieniony na twarzy, złowieszczy niczym demon z opowieści jego przodków, i bez namysłu wyrzucił przed siebie ręce. Zrodzony przez jego moc straszliwy wiatr runął ku rozpędzonym napastnikom, zbijając ich z nóg i przewracając na śnieg. Subaru niknęło w kurzawie. Na oczach przerażonej Wendy rozpłynęły się czerwone światła tylne, a potem widok przesłonił jej Marcus.

– Wpakujemy ją do samochodu! – zawołał i zarzucił sobie drugą rękę Ellen na ramię. Dziewczyna dźwignęła półprzytomną telepatkę z drugiej strony i razem ułożyli ją na tylnym siedzeniu cherokee.

Wtedy huk wiatru przerwał suchy trzask. Wendy spojrzała za siebie i ujrzała Boba Malloya w klasycznej pozycji strzeleckiej z zarośniętym policzkiem przytkniętym do kolby karabinowej.

– O tym, że byłem snajperem, to chyba wam nie mówiłem, prawda? – syknął i pociągnął za spust.

Wszyscy na moment zapomnieli o powadze sytuacji. Jak oczarowani patrzyli na napastników, którzy usiłowali pokonać napór wiatru i podnieść się, ale padali jeden po drugim, rażeni celnymi pociskami Boba.

– Dość tego! – Świst wiatru przerwał przenikliwy okrzyk Jane. – Zapomnieliście już o tamtych przyjemniaczkach?

Wendy spojrzała za siebie. Nadbiegający bez wątpienia byli ludostworami. W biegu pochylali łyse, zniekształcone czaszki i celowali w grupkę desperatów ostrymi rogami, jakby chcieli rozszarpać blaszane drzwi samochodów na strzępy.

– W nogi! – ryknął przerażony Frank i wystawił lufę AK-47 przez okno.

Seria, choć niecelna, zatrzymała jednak rozpędzone ludostwory. Parker wskoczył za kierownicę i wdusił pedał gazu. Mercedes, którym kierował Barry, zatrzymał się przy Bobie. Sędziwy snajper wskoczył do środka i oba samochody ruszyły przez kurzawę.

– Gordon! – Wendy złapała krótkofalówkę. – Co u ciebie?

– Czerwona piątka, w gotowości! – dobiegło spośród trzasków.

Wendy uśmiechnęła się mimowolnie.

– Słyszałeś, Marcus? – zawołała głosem drżącym ze wzruszenia.

– Słyszałem! – zazgrzytała krótkofalówka w odpowiedzi. – Pora osłonić naszemu Skywalkerowi plecy. Ruszamy!

– Uwaga! Kolejni!

Dwa przedzierające się przez śnieżycę samochody nagle przeistoczyły się w ruchome twierdze. Okna zjechały w dół, a pasażerowie, ignorując zimno i szalejący wiatr, wystawili na zewnątrz lufy. Grad pocisków skosił kolejną grupę włochatych ludostworów i rozproszył następną, złożoną z nietoperzowatych, skaczących nieporadnie istot. Zza nieodległego wzgórza pojawiła się trzecia, składająca się z sadzących długimi susami czworonogów, jak dotąd najliczniejsza. Parker zatrąbił głośno i dodał gazu. Rozpędzony cherokee pędził przez zamieć, rycząc i błyskając długimi światłami, wlekąc za sobą długi warkocz roztańczonego śniegu.

– Ognia! – krzyknął Casey, wystawiając za okno rękę z przyciętym obrzynem.

Pocisk zatrzymał pierwszego z ludostworów w szczytowym punkcie skoku, kolejne odrzucił wyrzucony przez Marcusa granat. Któryś skoczył na maskę, zazgrzytał pazurami, usiłując się na niej utrzymać, i spadł pod koła potężnego pojazdu. Marcus i Wendy wychylili się z jednej strony samochodu, a Joy z drugiej. Cała trójka

nacisnęła spusty pistoletów maszynowych. Pociski siekły szeregi nadciągających ludostworów, zmuszając ostatnie z nich do ucieczki.

W głowie ogłuszonej kanonadą Wendy tykał zegar. Sekundy mijały przerażająco powoli.

„Pędź, Gordon, pędź!" – myślała, śląc ostatnie kule w pościgu za umykającymi Odmienionymi. Nachyliła się, by zmienić magazynek, i wtedy usłyszała krzyki dobiegające z krótkofalówki.

– Strzelają do nas! – wrzeszczał Barry.

– Mumie! – krzyknęła przerażona Wendy.

Casey już usłyszał. Zakręcił kierownicą i miażdżąc ciała rannych i zabitych ludostworów, ruszył z powrotem w kierunku, gdzie po raz ostatni widzieli mercedesa. Samochód ukazał się ich oczom już po kilku chwilach – dymiący pędził przez śnieżny krajobraz, ścigany przez powolne, ciemne figurki. Na oczach Wendy jedna z nich zatrzymała się i plunęła pociskiem, który powlókł ogon dymu i pomknął w ślad za uciekającym mercedesem, rozbijając niewielką muldę. Eksplozja była ogłuszająca, ale gdy wiatr rozwiał dym, okazało się, że pocisk nie wyrządził uciekającym żadnej szkody.

– Około trzydziestu! – ocenił trzeźwo Marcus, przyglądający się nacierającym przez lornetkę. – Mają broń maszynową i bazooki. Chyba żarty się skończy...

– Boże! – krzyknęła Wendy.

Wszystko było widoczne nawet pomimo śnieżycy. Wiatr litościwie osłabł na moment, a wtedy ujrzeli mercedesa z silnikiem buchającym płomieniami. Ktoś, chyba Frank, pomógł się wydostać Malloyowi, mignęły również postacie Barry'ego, Jane i Chewiego uginającego się pod ciężarem plecaka z amunicją. Nad ich głowami wyrastał ziejący dziurami habitat.

– Są cali! – wykrzyknęła Wendy. – Barry! – wrzasnęła przez krótkofalówkę. – Uciekajcie w stronę habitatu!

– Czego?

– No, szarej kuli! Idziemy wam z pomocą!

– Idziemy? – jęknął Joy. – Może pojedźmy, co?

– Aleś sobie moment na żarty znalazł. Casey!

Zaryczał silnik, zamigotały światła, szczęknęła przeładowywana broń. Cherokee ruszył ku samemu sercu zamieci, gdzie brnęło kilkudziesięciu uzbrojonych po zęby napastników. Wiatr to przybierał na sile, to słabł, odsłaniając co chwila niewyraźnie postacie uciekających. Mumie nadal nacierały, trzymane przez nie karabiny pluły ogniem. Któryś z uciekinierów padł, zalany krwią, ale pozostałym udało się dopaść do schronienia.

Więcej już nie udało się dojrzeć, gdyż mumie niespodziewanie zarejestrowały obecność nadciągającej, rozpędzonej terenówki. Kontrolowani przez Przeźroczystych ludzie jeden po drugim odwracali się w kierunku pojazdu i naciskali spusty, ale oślepieni reflektorami chybiali. Ich serie świstały w powietrzu, darły śnieg, jakiś pocisk oderwał lusterko wsteczne, inny wybił dziurę w przedniej szybie i przemknął przez całą długość samochodu.

– Zwariowaliście! – wrzeszczał Joy, wychylony z pojazdu. Próbował odpowiedzieć mumiom ogniem, ale samochód podskakiwał na wybojach, co uniemożliwiało celowanie. Parker, wciąż skupiony nad kierownicą, uderzył w przeciwników ostrym podmuchem wiatru, przewracając kilku najbliższych, a potem zahamował.

– Teraz! – wrzasnął.

Wendy chwyciła za broń i wychyliła się przez okno. Za nią uczynił to Marcus, a Parker sięgał po granaty. Zaterkotały serie, poniósł się huk eksplozji, kilku uzbrojonych przeciwników zwaliło się na śnieg, ale inni, obojętni na strach i zaskoczenie, unieśli broń i odpowiedzieli ogniem. Wyglądali jak ludzkie karykatury – bladzi, niezgrabni, wciąż pokryci skrawkami szarej masy – ale mimo to byli przerażającymi przeciwnikami. Szyba samochodu zamieniła się w pajęczynę pęknięć, spod maski buchnął dym, z przestrzelonej opony ze świstem uszło powietrze.

Potem Marcus krzyknął z bólu i złapał się za ramię.

– Parker! – krzyknęła z rozpaczą Wendy. – Zabierz nas stąd! Zginiemy!

Jej głos utonął wśród huku wystrzałów, ale Indianin ujrzał jej minę, dostrzegł wykrzywioną bólem twarz Marcusa i wszystko zrozumiał. Wdusił pedał gazu, ale silnik zawył ponuro, a potem buchnęły z niego białe kłęby pary.

– Rozwalili chłodnicę! – wrzasnął, przeładowując obrzyna. Otworzył drzwi, gotowy do wyskoczenia na zewnątrz, gdy niespodziewanie przeszyła je seria pocisków. Indianin cofnął się do wnętrza.

Wendy już nie myślała o oporze. Obrzuciła Marcusa przerażonym spojrzeniem i sięgnęła po krótkofalówkę.

– Gordon! – wrzasnęła. – Gordon!

Odpowiedziały jej jedynie głuche trzaski. Palba na zewnątrz nie cichła, a przez przestrzelone, dymiące dziury widać było, jak mumie nadciągają w idealnej tyralierze. Na końcach ich luf wciąż drgały płomyki wystrzałów.

– Musimy stąd uciekać! – krzyczał trupioblady Marcus, ściskając kurczowo zranione ramię.

– Na zewnątrz wystrzelają nas jak kaczki! – sprzeciwiła się Wendy.

– A tutaj...

Naraz ostrzał osłabł i rozległ się czyjś inny głos, głośny i pomstujący. Wendy uniosła głowę.

– Myśleliście, że wystarczy jedna kulka, żeby mnie zabić? – wrzeszczał zakrwawiony Frank, pozbawiony czapki, w rozwianym płaszczu, który wpadł między mumie i wywijał naokoło trzymanym za lufę karabinem jak maczugą. Jeden z napastników, trafiony w głowę, zwalił się na ziemię, inny próbował wymierzyć w szalejącego trampa pistolet maszynowy, ale zgiął się, uderzony w brzuch.

– Nie dał mi rady rząd amerykański! – sapał Frank, siejąc zniszczenie. – Nie zmogła mnie Rada Ocalenia Ludzkości! Ba, nawet hemoroidy mnie nie pokonały, a co dopiero wy, cholerne cyborgi!

Na oczach Wendy Frank rozprawił się jeszcze z dwoma napastnikami, gdy inny powalił go wreszcie dobrze wycelowaną kulą. Wendy krzyknęła, ale okazało się, że to dopiero początek kanonady, tym razem dobiegającej z zupełnie innego kierunku. Któryś z napastników padł, a po nim kolejny.

– Co się dzieje?! – wykrzyknął pobladły Joy, zmagający się z zaciętą bronią.

Krótkofalówka zazgrzytała głosem Barry'ego:

– Padnijcie, do cholery!

Wendy, choć przerażona do granic, nie była w stanie pokonać ciekawości i wyjrzała poza podziurawione kulami drzwi.

Od strony habitatu biegł Barry, przeładowując obrzyna i strzelając z biodra. Obok niego ujrzała Jane ze zwykłym karabinem i Chewiego, już bez plecaka, a dalej...

– Doug? Knoxton?

Górnicy z Dogsville zataczali się i potykali, z trudem podążając za Barrym. Kilku co chwila zatrzymywało się, by poodrywać przeszkadzające im kawałki szarej masy, ale większości udało się dotrzymać kroku. Niektórzy wymachiwali pistoletami, inni nożami bądź wręcz zwykłymi kijami. Wiatr niósł ich wojownicze wrzaski.

– Wyobraź sobie, Wendy, że Przeźroczyści zdołali już odbudować habitat i poupychali w nim najświeższą zdobycz – sapał Barry przez krótkofalówkę. W tle rozległ się chrzęst przeładowywanej broni, a potem huk wystrzału. – Ale najlepsze jest to, że mój Dar ich rozbudza! Haha!

Parker podczołgał się do czyjegoś karabinu i zaczął strzelać. Skulony na podłodze Marcus obwiązywał sobie ranę. Napastnicy

ginęli jeden po drugim. Do ogólnego zgiełku znów dołączył wrzask Franka. Wendy przymknęła oczy.

„Boże, może mamy jednak jeszcze jakąś szansę...” – pomyślała.

– Jestem gotów – szepnęła krótkofalówka głosem Pratta. – Chowajcie się.

EPILOG

Słońce powoli płynęło po błękitnym niebie, a ciągnąca się aż po horyzont tafla lodu skrzyła się radośnie.

„A więc to tak wygląda zwycięstwo? – myślała Wendy. – Super. Tylko dlaczego nie czuję euforii?”.

Szła powoli po lodowym pustkowiu z dłońmi w kieszeniach kurtki, wreszcie wolna od ciężaru broni, wreszcie uwolniona od ponurych myśli. Beznamiętnie spoglądała na mijany habitat, oznaczony swego czasu jako MA/5, odarty z szarej osłony, martwy i pusty.

„To koniec – myślała, próbując wzbudzić w sobie nienawiść do Przeźroczystych. – Zostaliście pokonani”.

Nic. Dalej nic. Miała w sobie tyle życia co otaczający ją pejzaż.

Mimowolnie pokręciła głową z niedowierzaniem. Talent Gordona Pratta był najbardziej tajemniczą i złowieszczą mocą, z jaką zetknęła się od dnia Końca Świata, jeszcze bardziej zabójczą i nieobliczalną od Daru Nolana. Swego czasu Gordon nienawidził Domu i panujących w nim porządków tak bardzo, że dzięki swej mocy zesłał na niego zagładę pod postacią hord ludostworów. Powodowała nim wówczas jedynie nienawiść. Teraz, gdy najważniejsza dlań była miłość, jego niosący zniszczenie Dar stawał

się jeszcze groźniejszy. W końcu walczył o świat, w którym mógłby spokojnie żyć wraz ze swą ukochaną.

Znalazłszy się w samym centrum terytorium Przeźroczystych, Pratt uwolnił żywioł, przy którym szalejąca wcześniej śnieżyca wydawała się przyjemnym zefirkiem. Rycząca z furią ściana powietrza, istne śnieżne tsunami, runęła w każdym kierunku, niszcząc budynki mieszkalne i mosty, a co najważniejsze, odzierając habitaty z mrozoszczelnej osłony. Do wnętrza szarych kul wtargnęły masy lodowatego powietrza, w okamgnieniu zabijając wszystkich Przeźroczystych. Paradoksalnie, uwięzieni w szarej masie ludzie byli lepiej chronieni od wrażliwych najeźdźców. Ci, których udało się już uwolnić, byli nieprzytomni, ale nic im nie groziło.

Poza tym, dzięki talentowi Barry'ego, szansa na ich przebudzenie rosła.

Wendy odruchowo rozejrzała się po raz kolejny. Daleko za sobą widziała swoich towarzyszy oraz kolejne samochody, przybyłe przypuszczalnie z Golden Leaves, ale jej uwagę przyciągnęło coś innego. Z dziury w warstwie ochronnej wokół habitatu MA/5, który wyrósł na miejscu niewielkiej galerii handlowej, wyłoniła się jakaś postać. Wendy znów pokręciła głową.

Choć temperatura z pewnością wynosiła kilka stopni poniżej zera, doktor Patricia Cameron nadal miała na sobie spódniczkę do kolan, żakiet i nieco podarte rajstopy. Jak zwykle nie zwracała też na swój strój najmniejszej uwagi. Powoli i ostrożnie schodziła na dół ku Wendy.

Na twarzy dziewczyny pojawił się blady uśmiech.

– Dzień dobry, pani doktor! – zawołała.

– Dobry, dobry! – burknęła tamta i zeskoczyła. Jej obcasy zapadły się w śniegu. – Umiesz to jakoś wytłumaczyć?

Zatoczyła przy tych słowach krąg ręką.

– Tak, ale raczej nie w naukowy sposób.

– Nauka jest w stanie wyjaśnić wszystko – odparła z przekonaniem Cameron.

– Nawet Dary? – spytała z przekąsem Wendy.

– Z pewnością potrwa to dłużej, ale jestem przekonana, że odpowiedni zespół badawczy szybko przedstawiłby sensowne hipotezy.

– Nie mamy zespołów badawczych – westchnęła dziewczyna. – Mamy jedynie grupę desperatów, która przez najbliższe dni będzie wyciągać ludzi z mrowisk Przeźroczystych, przywracać ich do życia, a potem budować cywilizację od nowa.

– Dobre i to – odparła Cameron. – Z chęcią się do was przyłączę. O ile... – spojrzała na Wendy z przestrachem – o ile nie powiedziałaś im wszystkim o moim Darze?

– Nie. Nikomu.

– To dobrze. – Cameron wbiła wzrok w dal. – Myślę, że ludzie wciąż mogliby dziwnie zareagować na to, co się ze mną stało. Widzisz, gdy uświadomiłam sobie, że świat legł w gruzach, całkiem się załamałam. Nienawidziłam mojego uniwersytetu, gdzie tworzenie koterii i walka o granty były ważniejsze od badań naukowych. Nienawidziłam zanieczyszczonego Marington, mojego pustego męża, natrętnej siostry i jej rozpieszczonych, wrzaskliwych dzieci, ale gdy nastąpił Koniec, oddałabym wszystko, by to wróciło. Niestety, tak się nie działo, więc zapragnęłam umrzeć.

– I umarła pani.

– Tak. W dość szczególny sposób. Umarło moje ciało, ale rozum i dusza najwyraźniej przeżyły. Żyję więc nadal i prowadzę badania, które, mam nadzieję, kiedyś się do czegoś przydadzą.

– Już się przydały. – Wendy uśmiechnęła się. – A co będzie dalej? Skąd mamy pewność, że to jedyna kolonia Przeźroczystych na świecie? Może pojawi się kolejny, groźniejszy wróg? Przyda nam się

nauka w świecie pełnym Darów. Dobrze, że nie umarła pani do końca.

– Może i racja. – Cameron nie odwracała wzroku.

Przez moment stały w milczeniu, rozkoszując się błogą ciszą, aż tę zakłócił narastający pomruk silnika. Wendy odwróciła się z ociąganiem i ujrzała nadjeżdżającego jeepa, wlekącego za sobą śnieżny warkocz. Za kierownicą siedział Casey Parker, a obok niego...

– Heather! – wrzasnęła Wendy i rzuciła się do biegu.

Ledwie Parker zahamował, jego pasażerka wyskoczyła i popędziła w stronę Wendy. Potknęła się po kilku krokach, przewróciła w śnieg, ale roześmiana Wendy przypadła do niej, pomogła jej wstać i uściskała ją ze wszystkich sił.

– Boże, Heather! – Wendy śmiała się i płakała jednocześnie, nie wypuszczając przyjaciółki z objęć. – Nie masz pojęcia... Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

– Fakt, nie mam! – Heather odsunęła się nieco i spojrzała Wendy w oczy. Była wciąż blada i wymizerowana, ale na jej policzkach rozlewał się zdrowy rumieniec. – Nie mam pojęcia o niczym... Rany, wszyscy ciągle o tobie gadają! Wendy to, Wendy tamto! Dziewczyno, ty właśnie wygrałaś wojnę!

Wendy westchnęła i odwróciła głowę, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

– Chyba nie tak do końca – szepnęła. – Każdy zrobił, co do niego należało, a ja...

Spojrzała przyjaciółce w roziskrzone oczy.

– Ja tylko chciałam być taka jak ty – dodała drżącym głosem. Nie panowała już nad łzami. – To twoja zasługa, Heather. Dałaś mi wspaniały przykład.

– Głupoty gadasz – wykrztusiła Heather, wzruszona do granic.

Obie dziewczyny padły sobie w objęcia, szlochając i śmiejąc się. Casey podszedł do nich i przytulił je. Dzielnie opanował wzruszenie

i spojrzał na doktor Cameron.

– Dwie dziewczyny uratowały świat – oznajmił. – To chyba w istocie koniec świata.

– Coś mi się wydaje, drogi panie Parker, że mamy jeszcze sporo do uratowania – odezwała się rzeczowo doktor Cameron. – Uznaliśmy, że problem z Przeźroczystymi został niniejszym rozwiązany, ale czy aby na pewno? Skąd mamy pewność, czy nie pojawili się w innych częściach kraju? Poza tym na świecie włóczy się jeszcze niezliczona ilość istot, które tylko dla uproszczenia możemy nazwać ludostworami.

– Matka Natura nieźle z nas zakpiła – mruknął Parker i pokiwał ponuro głową.

– To nie Matka Natura, Casey – odezwała się Heather i puściła dłoń Wendy. – Podczas mojej samotnej wyprawy miałam wiele czasu do namysłu i doszłam do wniosku, że twoja teoria jest pozbawiona sensu. Pamiętam ten wieczór w Domu, gdy dzieliłeś się swoimi przemyśleniami. Powiedziałeś wówczas, że Koniec Świata to reakcja Matki Natury na nadmierną ekspansję cywilizacji, na stal, beton i szkło, na spaliny i trucizny. Niespodziewanie jej cierpliwość się skończyła i zamieniła wszystkich ludzi w potwory, pozostawiając tylko tych, którzy przebywali na jej łonie, z dala od cywilizacji. Ciekawa teoria, ale czy na pewno sensowna? Póki ludzie przebywali w miastach, nie mieli osobistego wpływu na równowagę w przyrodzie. Śmiecili i truli, ale przynajmniej trzymali się z daleka od lasów i łąk. A teraz? Miasta opuściły tysiące krwiożerczych potworów, które pożerają dzikie zwierzęta. Jesteś pewien, Casey, że Matka Natura by sobie tego życzyła?

Casey bąknął coś pod nosem.

– Nie ma czegoś takiego jak Matka Natura – żachnęła się doktor Cameron. – Każde zjawisko na świecie ma swoją przyczynę, a Koniec Świata nie jest wyjątkiem. Musimy ją odnaleźć i tyle.

– Czyli to wszystko – Wendy wskazała śnieżne pustkowia – to dopiero początek?

– Obawiam się, że tak. – Cameron zmarszczyła brwi. – Na szczęście dobry początek. Przykro mi, że obaliliśmy pana romantyczną teorię, panie Parker. – Biolożka spojrzała przy tym na Indianina. – Chcąc jednakże zrekompensować wstrząs, chciałabym spytać, czy pańskie zaproszenie na randkę po wojnie jest nadal aktualne?

– Słucham? – spytał Parker, zaskoczony jak nigdy. – O... oczywiście, że tak.

– To dobrze. – Cameron uśmiechnęła się ciepło. – Jest pan dzielnym człowiekiem. Gdy patrzę na pana, od razu żyć się chce.

Nastał wieczór i zmęczeni, ale wciąż rozradowani ludzie kończyli przenoszenie więźniów Przeźroczystych do samochodów ciężarowych, które jeden po drugim odjeżdżały do Golden Leaves. Wendy pomagała w miarę możliwości, ale bez przerwy łapała za lornetkę i omiatała wzrokiem dal. Tymczasem to właśnie Heather zauważyła samotnego wędrowca.

– Patrz, ktoś idzie! – zawołała.

Wendy błyskawicznie podniosła lornetkę do oczu i z bijącym mocno sercem wyregulowała ostrość. Ujrzała zataczającego się Gordona Pratta.

Jej serce ścisnął ostry zawód. Opuściła lornetkę.

– Nie jego spodziewałaś się ujrzeć – oznajmiła Heather, przyglądając się jej bacznie.

– Nie – odparła zduszonym głosem Wendy. – Nie jego. Choć dobrze, że przeżył. Czeka na niego kochająca żona.

Jej wzrok zamgliła niespodziewana, zdradziecka łza.

– Znajdziesz go. – Słowa Heather dobiegały z wielkiej oddali. – A może to on cię odnajdzie?

– A skąd to możesz wiedzieć? – wybuchła Wendy. – Skąd w ogóle wiesz, na kogo czekam?

– Wiem i już. – Uśmiech Heather był ciepły i pełen współczucia. – Bo kiedyś byłam w tym samym miejscu co ty teraz. Bo na końcu każdej wielkiej przygody gdzieś czeka miłość. Gordon się jej doczekał. Ja chyba też się jej doczekam. – Zarumieniła się nieco. – Może Casey też odnalazł miłość? Dlaczego więc z tobą miałoby być inaczej?

– Wiesz, chciałabym mieć twoją wiarę. – Wendy uśmiechnęła się przez łzy.

– Jedno jest pewne. – Heather objęła przyjaciółkę. Obie wpatrywały się w śnieżną dal, zalaną rdzawymi promieniami zachodzącego słońca. – To wszystko to dopiero początek. Nie wiadomo, co się wydarzy jutro, ale ja mam dobre przeczucia.

– Trudno się nie zgodzić – westchnęła Wendy. – W końcu zaraz wrócimy do Golden Leaves na gorący rosół Bess i noc w czystej pościeli.

Joy, siedzący za kierownicą ostatniego samochodu, ponaglił je trąbieniem. Dziewczęta pospieszyły w jego kierunku. Wendy zmierzyła śnieżną dal ostatnim spojrzeniem.

„Znajdę cię” – obiecała sobie.